

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/620

1999



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

A. KORASZEWSKI: **POLSKA WIEŚ**

K. WOLICKI: **WOJNA I ZMIANY MIEJSC**

L. UNGER:

**WIDZIANE Z MOSKWY I Z BRUKSELI
A TO POLSKA WŁAŚNIE...**

M. WILK: **GLOSARIUSZ ROSYJSKI**

SPIS RZECZY

Andrzej Koraszewski:	<i>Polska wieś</i>	3
Krzysztof Wolicki:	<i>Wojna i zmiany miejsc</i>	15
Leszek Szaruga:	<i>„Inaczej niżście to sobie wyobrażali”?</i>	23
Mariusz Wilk:	<i>Glosariusz rosyjski (I)</i>	29
Irit Amiel:	<i>Daniel</i>	34
WIERSZE		
Stanisław Dłuski:	<i>Podwórza</i>	37
Sylwia Frołow:	<i>Moja dusza nie moja</i>	38
Grzegorz Wróblewski:	<i>Ważna wiadomość</i>	39
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Moskwy</i> ..	40
KRAJ		
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	65
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	78
Piotr Daszkiewicz:	<i>Cena ekologii czy cena głupoty?</i> ..	87
—	<i>A to Polska właśnie...</i>	91
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Dominik Morawski:	<i>Watykan a prawosławie</i>	98
SĄSIEDZI		
Andrzej Friszke:	<i>Konferencja w Lipsku</i>	108
Bohdan Osadczuk:	<i>Ukraina bez Czornowola</i>	112
Arkadiusz Pacholski:	<i>Cmentarz ukraiński w Kaliszu-Szczypiornie</i>	116
—	<i>Kronika białoruska</i>	118
NOTATKI REDAKTORA		
KSIAŻKI		
Leszek Szaruga:	<i>Być pisarzem</i>	123
Dorota Walczak-Delanois:	<i>Podróżowanie — Poszukiwanie — Pamiętanie</i>	129
Wolfgang Schlott:	<i>„Księgozbiór przemysłników” Stempowski</i>	137

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1999

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Ewa i Janusz Lipieccy, Beaumont (Francja) – po raz 2-gi	F. 1.000,00
Jerzy Lipchytz, Göteborg (Szwecja) – po raz 6-ty – SEK 200,00	F. 145,00
Witold Mikułowski, Warszawa – zamiast kwiatów na grób Państwa Langrodów	F. 270,00
Maria Parkot, Warren, MI (USA) – dla uczczenia pamięci śp. płk. Antoniego Wacława Chmielewskiego, zmarłego 13.12.1998 w Warren, b. dowódcy 1-go Dyw. 4-ego P.A.L.-u, żołnierza 5-tej Dywizji Kresowej 2-go Korpusu – dol. 100,00	F. 600,00
Eugenia Piórkowska, Nowy Jork – po raz 10-ty – dol. 34,00	F. 204,00
K. Steve Rasiej, Teaneck, NJ (USA) – po raz 21-szy – dol. 34,00	F. 204,00
Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 9-ty	F. 500,00
B. Rebzda, Argentyna – zapis testamentowy – dol. 1.000,00	F. 6.000,00
L. i M. Stauber, Niemcy – dla uczczenia pamięci naszych Przyjaciół Kazimierzy Żuławskiej i Jej synów Wawrzyńca, Marka i Juliusza, Ewy Werfel oraz Anny i Piotra Rawiczów, zmarłych w różnym czasie i w różnych miejscach Europy	F. 500,00
Marian Talarczyk, Port Augusta, S.A. (Australia)	F. 50,00
Zamiast kwiatów na grób Tadeusza Marii Sempinskiego, artysty malarza, byłego więźnia Lubianki, zmarłego 31.08. w Västerås (Szwecja) – Seweryn Palicki, Lidingö (Szwecja) – SEK 200,00	F. 145,00

DZIĘKUJEMY

DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW «KULTURY»

Gorąco prosimy osoby czy instytucje, które będą wpłacały pieniądze na nasze konta pocztowe:

18 228 56W Paris (konto francuskie) i 18 228 38B Paris (konto zagraniczne) o zastąpienie słowa „Paris” cyframi 020 co, jak nam powiedziano, znaczy PARIS. Ostatnio w Niemczech i w Danii nie przyjęto dla nas pieniędzy – zarówno bank jak i poczta – oświadczając, że musimy zmienić konto, gdyż 18 228 38B nie istnieje. Na nasze oburzenie jakim prawem zmieniono nasze konto bez porozumienia się z nami (w/w konto mamy od 50-ciu lat) wyjaśniono nam, że nic nie zmieniono, że numery są takie same jak były, ale już przed trzema laty zastąpiono „Paris” numerem 020 i nie rozumieją dlaczego dopiero teraz instytucje zagraniczne na to zwróciły uwagę.

W każdym razie prosimy żeby wysyłając do nas pieniądze na konto pocztowe podawać nasze numery:

18 228 56W020 lub 18 228 38 B020

Francuskie banki przeszły już na „euro” co wywołało wszędzie nieporządk i błędy. Ponieważ my także musieliśmy przejść na komputery, z góry przepraszamy gdyby były jakieś błędy.

Redakcja KULTURY

Polska wieś

Powoli wkraczam w drugą fazę kontaktu z polską rzeczywistością stając się równocześnie jej częścią. Te obserwacje z bliska potwierdzają moje wcześniejsze odczucia, że jeśli idzie o polską wieś to centralnym problemem jest sprawa mentalności. Apatia, straszliwa nieufność poczucie beznadziei i wędrówka między totalnym buntem a pogodzeniem się z tym, że nic się nie da zrobić. *Homo sovieticus* a więc skutki demoralizacji przez system komunistyczny, splata się z czymś, co można by określić jako *homo catholicus*. Nie chodzi tu oczywiście o wyznanie wiary jako takiej, a o wielopokoleniowy charakter tradycji. (Jeden z najbardziej świątliwych okolicznych rolników przekonuje mnie, że stan rolnictwa w tym regionie jest konsekwencją faktu, iż jest ono zdominowane przez „rolników folwarcznych”, którym nadano ziemię, ale dopiero dziś, w dwa lub trzy pokolenia później, spotykają się z prawdziwym rynkiem i z samorządem.) Ruch ludowy przestał istnieć i nie ma już szans na odrodzenie. Spółdzielczość rozbito skutecznie, chociaż niektórzy twierdzą że stare struktury mogły być odzyskiwane przez bardziej autentyczny ruch spółdzielczy. Jest w tym wiele racji, równocześnie obserwuję jak silne są „układy”. Wielu wójtów, burmistrzów, prezesów banków i spółdzielni we wsiach i w małych miasteczkach (również w Dobrzyniu) to dawna, dziś sprywatyzowana i silnie ze sobą powiązana komunistyczna nomenklatura wyznająca zasadę „niech jest jak jest”. Jej rozbitcie niebywale utrudnia systematyczna kompromitacja ludzi z nowych partii politycznych*.

* Patrz artykuł „D.K. Dobrzyń” (Kultura 3/618, 1999 r.).

Tu, na wsi, *homo sovieticus* tworzy amalgamat z *homo catholicusem*, tragicznie niskie wykształcenie, środowisko wyjąłowane z inteligencji (kto tylko mógł oczywiście uciekł), podniesiona do n-tej potęgi nieumiejętność organizowania się, dyskusowania, podejmowania samodzielnych decyzji i zbiorowego działania.

Politycy z miejskich partii politycznych i publicyści najlepszych pism mają tendencję do naprawiania polskiego rolnictwa, bez poważniejszej refleksji nad realiami polskiej wsi. Stąd jednogłośnie wołanie o szybką zmianę struktury gospodarstw rolnych. W efekcie, po dziesięciu latach od upadku komunizmu, nadal trudno kupić traktor i sprzęt dopasowany do istniejącej struktury rolnej. Ostatni kryzys i bunt wsi przeciw politykom raz jeszcze pokazał stopień oderwania tych polityków od rzeczywistości, która jest udziałem ponad połowy mieszkańców tego kraju (mam tu na myśli zarówno mieszkańców wsi jak i mieszkańców małych miasteczek takich jak Dobrzyń, Lipno, Rypin i setek innych, które są wyłącznie ośrodkami „obsługi” wsi, i tym samym ich los uzależniony jest od polityki rozwoju wsi).

Stawka na dobrych, świątłych rolników, właścicieli dużych gospodarstw rolnych, to równocześnie polityka przyspieszenia dalszej degrengolady wszystkich pozostałych mieszkańców wsi. Bodaj najbardziej wyraźnie ujął to ostatnio Michał Zieliński na łamach *Tygodnika Powszechnego*. Otóż proponuje on wsparcie dla około 200 tysięcy rolników prowadzących solidne, towarowe gospodarstwa. Kolejna kategoria to 700 tysięcy gospodarstw, w których tylko część właścicieli zasługuje na miano rolników, cała reszta to zdaniem tego autora „lumpen-agrariusze”, żyjący z roku na rok, dzięki prymitywnej uprawie ziemi.

Zieliński proponuje formalno-prawne wyodrębnienie gospodarstw rozwojowych, na które skierowana by była polityka rozwoju rolnictwa, „pozostałe gospodarstwa” – pisze – korzystać powinny z dwojakiego rodzaju zasilania: socjalnego i antyprodukcyjnego”. Jeśli dobrze rozumiem co pisze komentator ekonomiczny *Tygodnika Powszechnego* i poważny autorytet w kręgu polskich publicystów zajmujących się problematyką ekonomiczną, to ni mniej ni więcej tylko przejście na garnuszek podatników około trzech milionów

osób zatrudnionych dziś w rolnictwie, czyli wraz z rodzinami plus-minus (o milion osób w tego rodzaju dyskusji nie warto się spierać) ośmiu do dziesięciu milionów mieszkańców Polski. Można pogratulować poczucia rzeczywistości i ekonomicznej wyobraźni. Koszty, jak pisze autor, nie będą aż takie wysokie, bo „ci ludzie mają już jakiś dom, mają żywność, opał. Trzeba im będzie tylko stworzyć minimalne warunki uczestnictwa w życiu społecznym, kształcenia dzieci, itp.” Jako ekonomista, Zieliński powinien wiedzieć jakie koszty dla budżetu pociągnęłaby taka operacja, jako leseferysta Michał Zieliński powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że żadne zasiłki nie działają w rzeczywistości tak, jak to sobie zakładają ustawodawcy i że wypychanie ludzi w uzależnienie od zasiłków jest z reguły również wypychaniem ich na stałe z rynku pracy.

Jeszcze poważniejsza kwestia, to sprawa szans kolejnego pokolenia, które wchodzić będzie na rynek pracy za kilka lat. Badania zachodnie nie pozostawiają tu żadnej wątpliwości, obserwacja polskiej rzeczywistości również – dzieci rodziców żyjących na zasiłkach mają znacznie mniejsze szanse zdobycia dobrych kwalifikacji niż dzieci rodziców pracujących. Ponad dziewięćdziesiąt procent młodzieży wiejskiej nie chce pozostać w zawodach rolniczych. Każdy nauczyciel ze szkoły wiejskiej może przekazać swoje obserwacje na temat absolwentów, którym się realizacja tego marzenia udaje. Fakt, że z maleńkimi wyjątkami są to dzieci z domów, w których są dochody z pracy, wymaga interpretacji nie tylko ekonomicznej, ale i socjologicznej. Dzieci, których rodzice utrzymują dom z pracy zarobkowej w warsztacie własnym czy z pracy najemnej, funkcjonują w szkole inaczej, aniżeli dzieci rodziców uprawiających kawałek ziemi na własne potrzeby i oczekujących na zasiłki. Bezczynność, beznadzieja, sporadyczne dochody, połączone często z naruszaniem prawa, apatia i bardzo często dodatkowo alkoholizm połączony z depresjami i negacją norm społecznych, nie są i nie mogą być stymulujące dla młodego pokolenia. Dla Unii Europejskiej jest rzeczą niezmiernie ważną ilu polskich rolników zakwalifikuje się do objęcia ich subwencjami z kieszeni zachodniego podatnika. Dla nas jest rzeczą jeszcze ważniejszą, jaką część społeczeństwa pozostawimy poza marginesem rynku pracy. Dlatego, niezależnie od konieczności respektowania stowarzyszeniowych

umów, musimy myśleć nie tylko w kategorii modernizacji rolnictwa, ale przede wszystkim modernizacji struktury zawodowej na polskiej wsi i to nie w oparciu o rozważania harcerzy-teoretyków a wychodząc z analizy stanu obecnego i rzeczywistych możliwości. Przywiązanie do zawodu rolnika ludzi już czynnych zawodowo z młodszego i średniego pokolenia jest również iluzoryczne. Znaczna część młodych rolników bez żalu rozstałaby się ze swoim zawodem gdyby tylko istniały po temu szanse, te szanse rosną jednak tylko wraz z wzrostem dochodów w gospodarstwach rolnych i wraz z wzrostem dochodów gminy (gdy pojawia się możliwość lokalnych inwestycji w infrastrukturę). Nowy model dwuzawodowości (Zieliński wydaje się być przywiązany do komunistycznej koncepcji chłopo-robotnika) to podniesienie wydajności i jakości produkcji w małym i średnim gospodarstwie, ograniczenie czasu jego obsługi i łączenie pracy w rolnictwie z pracą urzędnika lub pracownika lokalnej firmy.

Nowa spółdzielczość wyłania się w postaci tzw. grup producenckich i jest tu trochę interesujących wzorów. Te grupy producenckie, to lokalne zrzeszenia rolników mających specjalistyczne gospodarstwa, a więc tych, którzy już jakoś doszłusowali do nowoczesności. Jak pomóc tym, których Zieliński nazywa „lumpen-agrariuszami”? Czy istnieje szansa na opracowanie jakiejś taktyki mobilizacji tej grupy jako całości, czy też poszukiwać należy strategii „wyłuskiwania” i stymulowania tych, których da się tu jeszcze odzyskać? Mieszkam w regionie, w którym idea polityki nastawionej na radykalne podniesienie jakości pracy i wydajności w całej tej grupie może wydawać się utopią. Mamy w tej grupie sporą (nikt nie wie jak dużą) grupę ludzi opóźnionych w rozwoju. W tutejszej szkole nauczycielka prowadząca klasę specjalną opowiada mi, że część uczniów nigdy nie wychodzi poza poziom trzeciej, czwartej klasy. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy ich umysły były uszkodzone od urodzenia, czy jest to efekt pierwszych lat rozwoju bez żadnej stymulacji. Poziom ich rodziców jest podobny i szkoła, odkrywając problem gdzieś w ósmym, dziewiątym roku życia, jest już praktycznie rzecz biorąc bezradna.

Jest to oczywiście margines (rąbek 16 uczniów na 700)

ale w pewnym stopniu problem dotyczy znacznie większej grupy. Domy bez książki, alkoholizm rodziców, bezmyślne ślęczenie przed telewizorem, rodzice nie mający nadziei na pracę, bez zainteresowań, bez wizji dla siebie i swoich dzieci. Nauczyciele (jeśli dobrzy i z jakimiś ambicjami) koncentrują się na lepszych uczniach, bo tu przynajmniej widać jakieś wyniki, gorsi odbębniają swoje zajęcia, w równym stopniu zniechęcając do nauki i tych lepszych, i tych gorszych uczniów.

Rolnik pozostający na poziomie trzeciej-czwartej klasy szkoły podstawowej nie jest tu rzadkością. Jego przedstawienie się na bardziej nowoczesny sposób gospodarowania musi być po części wymuszone przez pewne regulacje. Tymczasem właśnie ta kategoria jest w największym stopniu pozostawiona sama sobie. Tu jest najmniejsze zainteresowanie jakimikolwiek formami spółdzielczości i największa nieufność do ośrodków poradnictwa zawodowego, do nowych metod upraw, do fachowej informacji na temat rynku. Co gorsza, polskie urzędy i komercyjne ośrodki usługowe nie potrafią pisać prostych, zrozumiałych dla każdego informacji. Każdy sili się na uczony język, co oznacza, że nawet jeśli jakaś informacja dociera, to jest ona dla wielu niezrozumiała.

Jakikolwiek plan zmiany zachowań w grupie owych „lumpen-agrariuszy” wymagałby wieloszczeblowej strategii i kadr ludzi w gminach, którzy mogliby ową strategię wcielić w życie. Nie ma tych kadr, nie ma ludzi, którzy mieliby jakąkolwiek motywację, aby cokolwiek w tym kierunku robić. Po części jest to zrozumiałe, bo byłaby to praca niewdzięczna i skazana na ograniczone powodzenie.

Strategia „wyłuskiwania” poszczególnych jednostek mających jakieś ambicje i gotowych szukać pomocy wymaga również ludzi gotowych do podjęcia tego wysiłku. Fakt, że w urzędzie gminy raz czy dwa razy w tygodniu siedzi specjalista gotowy do udzielania chętnym porad, to zdecydowanie zbyt mało. W samorządach gminnych i powiatowych do owych „lumpen-agrariuszy” panuje pogarda i niechęć granicząca z nienawiścią. Jako klienci są kłopotliwi, jako sąsiedzi również, bo czasem wysypią śmieci pod płot, czasem są agresywni i hałaśliwi, na drogach są zmorą ze swoimi nieoświetlonymi furmankami, rowerami i traktorami, ich pola i sady są źród-

tem zarazy i zachwaszczenia, a wszelkie dyskusje z nimi nie należą do łatwych. Do tych ludzi z równą niechęcią odnosi się urzędnik, nauczyciel, lekarz, weterynarz czy ksiądz. Oczywiście istnieje jakaś gradacja tej niechęci, ale można powiedzieć, że mamy swoją kastę nietykalnych.

Co to wszystko ma wspólnego z istotą, którą określiłem jako *homo catholicus*? Od pierwszych kontaktów z piśmienictwem Webera fascynowało mnie nie tylko pytanie jak opisywana przez niego etyka protestancka powstawała (a tu mamy odmienne wzory kalwinizmu, luteranizmu, Kościoła anglikańskiego, różnych sekt, wśród których bodaj najciekawszą byli kwakrzy, itp.) ale również pytanie o to, gdzie kryły się hamulce powstrzymujące rozwijanie się podobnej etyki pracy w tradycji katolickiej? Po tamtej stronie mamy długotrwałe procesy historyczne, a więc przede wszystkim rozbięcie systemu stanowego, demokratyzację systemu oświaty, demokratyzację systemu władzy i (rzecz szczególnie ważna) wolny handel, a więc mechanizmy ruchliwości społecznej oparte raczej na pracowitości i pomysłowości niż na lojalnościach. Powstały warunki, dzięki którym pracowitość nie tylko była opłacalna, ale pozwalała się wspinać po drabinie społecznej. Nie wszystko dokonało się od razu, ale już w szesnastym stuleciu można było zauważyć znaczące różnice ilościowe, które szybko zmieniły się w różnice jakościowe.

Wiara jest nie tylko wiarą, ale i najważniejszym nośnikiem wzorów zachowań społecznych. Katolicyzm oznaczał przedłużenie okresu istnienia kultury szlacheckiej, zniewolenia większości społeczeństwa, zahamowanie urbanizacji, opóźnienie rewolucji oświatowej, pogardę elit do ciemnych mas i ustawiczny lęk przed zbuntowanym chamem. Czy można pozostać przy wierze ojców i pozbyć się ich obrzydliwych obyczajów? Na czym właściwie owe obrzydliwości w naszych obyczajach polegają? Dlaczego jesteśmy tak straszliwie i do kości brzydzy, odpychający i ociekający hipokryzją? Istnieje trudne do ujawnienia przez socjologów, ale całkiem dobrze wyczuwalne w codziennym życiu, powszechne przeświadczenie, że współżycie z innymi zasadza się na oszustwie. Nie warto normalnie starać się o pracę, bo jeśli nie mam protekcji to jestem skazany na niepowodzenie, nie warto zakładać sadu, bo najprawdopodobniej w hurtowni wtrynią mi porażone sa-

dzonki, a jeśli nawet uda mi się bez protekcji kupić porządny towar, to przecież mi trzy czwarte ukradną. Nie warto interesować się polityką i szukać czegoś nowego, bo nowi politycy będą z pewnością gorsi od starych. Te postawy zasadzają się na bogatym doświadczeniu. Zachowania samorządowych polityków (wszystkich odcieni z UW włącznie) całkowicie potwierdzają powszechne odczucia szarego człowieka, że władza jest przede wszystkim okazją do korupcji. To co się robi w majestacie prawa jest tylko czubkiem góry lodowej. Potwierdzone fakty prowadzą do łatwego dawania wiary niestworzonym opowieściom. Na widoczną dla wszystkich chciwość kapłanów nakłada się ich koszmarna hipokryzja. Czy podane przez *Gazetę Wyborczą* informacje o opublikowanych przez biskupa Gołębiowskiego finansach diecezji koszalińsko-kołobrzesckiej oraz o dochodach biskupa i jego podwładnych są szczytem wszystkiego? Podejrzewam, że codzienna praktyka wielu proboszczów ma znacznie gorszy wpływ na mentalność społeczeństwa jako całości. To samo możemy powiedzieć o praktykach nauczycieli, lekarzy, prawników a więc tych grup zawodowych, które z racji swoich funkcji „kapłańskich” (pojęcie być może anachroniczne, Ossowski wolał tu używać określenia „szeroko rozumiana warstwa nauczycielska”, ale ja wolę mówić o funkcjach kapłańskich, gdyż wszystkie te trzy zawody wyewoluowały z profesji kapłana i w pewnym sensie są do niej zbliżone) kształtują i stanowią wzorce postaw moralnych. Jeśli idzie o praktyki korupcyjne nauczycieli, to z jednej strony mamy „towar” jakim są stopnie i promocje, z drugiej (praktyki bodaj bardziej widoczne) korzystanie z usług dostarczanych przez rodziców dzieci. Jeśli idzie o lekarzy, to do notorycznych praktyk należy dawanie lewych zwolnień, mamy tu również do czynienia z handlem dostępem do kosztownych usług szpitalnych, do drogich leków, a wreszcie z handlem świadectwami o trwałej niezdolności do pracy. (Tu interesująca informacja przekazana mi przez lekarza: wielu lekarzy ma listę weteranów, którym przysługują darmowe leki, na nazwiska z tej listy wystawia się leki dla krewnych i znajomych, praktyka ponoć powszechna.) Czy i ilu mamy zakupnych sędziów? W opinii części społeczeństwa, w sądach wszystko się daje „załatwić”. Przypadki ujawnionej i ukaranej

korupcji sędziów są sporadyczne. (Z wielu względów byłyby one znacznie bardziej istotne niż kary dla geriatrycznych drani, którzy nie mają już żadnego wpływu na naszą dzisiejszą rzeczywistość.) Czy podany niżej przykład postaw prawników może stanowić podstawę do generalizacji? Po rozprawie adopcyjnej kobieta, która zaadoptowała dziecko skarży się, już w rozmowie towarzyskiej, że przysługujący w takiej sytuacji urlop macierzyński wynosi tylko cztery tygodnie. Młoda sędzina bez chwili namysłu stwierdza, że po upływie tego czasu matka będzie musiała „zakombinować sobie jakieś zwolnienie”. I znów żadne badania socjologiczne nam tego nie wykażą jednak zebrany i wiarygodny materiał anegdotyczny wydaje się wskazywać na silnie rozpowszechniony instrumentalny stosunek prawników do prawa. Ujawnia się to szczególnie często w prywatnych rozmowach na temat unikania podatków, na marginesie rozmów o wynagrodzeniach w wymiarze sprawiedliwości, w rozmowach o mechanice załatwiania takich czy innych spraw życiowych.

Co ma to wszystko wspólnego z istniejącymi w tradycji katolickiej hamulcami wykształcenia etyki pracy analogicznej do tej, która istnieje w tradycji protestanckiej, buddyjskiej czy konfucjańskiej? Cynizm i hipokryzja warstwy kapłańskiej był bez wątpienia głównym powodem reformacyjnego buntu, towarzyszyła mu jednak zarówno wiara w siebie zdobywających swoje prawa polityczne nowych warstw społecznych jak i silne przekonanie nowej warstwy kapłańskiej w możliwość istnienia społeczeństwa bez korupcji. Ta utopia, szczególnie silnie obecna w mniejszych sektach religijnych, w warunkach kolonizacji nowych terenów, prowadziła do tworzenia wspólnot totalnych, w pewnym sensie poza państwem. Splecione z władzą świecką główne nurty protestantyzmu, pozostawiały znacznie szersze pole działania dla wszelkiego rodzaju oportunistów tym niemniej, przynajmniej w tak istotnej dla Webera warstwie liturgicznej, niebawem silnie akcentowały kwestie indywidualnej odpowiedzialności i rzetelności w stosunkach z bliźnimi.

Jeśli *homo sovieticus* jest tylko cienką dodatkową nakładką na istotę, którą moglibyśmy określić jako *homo catholicus*, jesteśmy w poważnym kłopotcie. Powstaje wrażenie beznadziei, niemożności wzmocnienia postaw bazujących na

przekonaniu, że rzetelność, uczciwość i pracowitość mogłyby być głównym źródłem osobistego sukcesu. Co więcej, obserwacje dzisiejszych postaw Polaków podpowiadają, iż większość z pierwszej (już dziesięcioletniej) lekcji kapitalizmu wyciągnęła wniosek wręcz odwrotny.

Cynizm i hipokryzja szeroko pojętej warstwy kapłańskiej to bardzo ważna, ale nie jedyna przeszkoda na drodze do wzmocnienia przekonania o sensowności praktykowania rzetelności, uczciwości i pracowitości, ale jest tu również kolizja naszego świata z nowoczesnością stworzoną przez innych. Spróbujmy to opisać na przykładzie moich dobrzyńskich doświadczeń. Ostatnio wygraliśmy batalię z hydroforem. Hydrofor urządzenie proste, w swojej niemal obecnej formie znane od 150 lat (tylko silnik elektryczny przydano mu nieco później). Wojowaliśmy z nim od pierwszego dnia. Najpierw czyszczono nam zbiornik, potem studnię, potem wymieniano części elektryczne, potem pompę. Tu zaczyna się właściwa opowieść, bo rzemieślnik, który pompę dostarczył i montował potrzebował przepić zarobioną sumę (a suma w przeliczeniu na alkohol była spora). Przez kolejne dni nie można go było odszukać, aż wreszcie się odnalazł w stanie upojenia na terenie swojego macierzystego zakładu pracy. Moja piekielna awantura musiała jednak wystraszyć szefa firmy, bo następnego dnia przyjechała cała ekipa wymienić drobny detal w studni. Przywieźli rowerami cztery drabiny, powiązali je sznurami i rozpoczęła się operacja jak z dowcipu o Irlandczykach (Polakach w USA) wkręcających żarówkę. Pytam więc nadzorującego brygadę szefa firmy, czy nie opłaca się do takich robót zakup prostej sznurowej drabinki? Owszem, teoretycznie obniżyłoby to znacznie koszty, ale najdalej po tygodniu taka drabinka by zniknęła, więc w efekcie siła robocza posługująca się bardziej prymitywnym sprzętem jest tańsza.

We wszystkich tych naszych przygodach z remontem domu powtarza się ten sam motyw – ludzie nie cenią swojego czasu, ludzka praca jest bajecznie tania i byle jaka. Również i to doświadczenie, że rzemieślnik nie dociera do domu z otrzymanym wynagrodzeniem jest właściwie normą. Burmistrz nie chce zatrudniać bezrobotnych mimo, że ma na to specjalne fundusze. Wyjaśnia mi, że koszt pogubionych lub zniszczonych narzędzi jest większy niż wartość wykonanej

pracy. Czy jest jakieś wyjście z tego błędnego koła? W świecie, w którym jest coraz więcej skomplikowanych urządzeń, w błyskawicznym tempie rośnie przepaść między kwalifikacjami (i mentalnością) tutejszych rzemieślników, a wiedzą potrzebną do wykonania danej pracy. Czy ze swoimi siedmioma klasami szkoły podstawowej staną się „ludźmi zbędnymi”? Gigantyczna podaż tej taniej, ale nieprzystosowanej do dzisiejszego świata siły roboczej ma widoczny wpływ na cały proces modernizacji. Część firm wyrzuca tych niedouczonej i zapitych na bruk, część (wcale niemała) próbuje zarobić na tej taniej sile roboczej, narażając klienta na fuzerkę, na ordynarne kradzieże i zniszczenia spowodowane nieprawdopodobną wręcz głupotą. Rolnik (ów „lumpen-agrariusz”) nie tylko nie ma środków na korzystanie z tych usług, ale w żadnym przypadku nie może sobie pozwolić na związane z tym ryzyko. W efekcie pozostaje na etapie samowystarczalności – sam sobie remontuje narzędzia, sam naprawia dom, sam przycina swoje drzewa, i tak dalej, i tak dalej. Podniesienie wydajności w małych i średnich gospodarstwach uzależnione jest w dużym stopniu od włączenia tych gospodarstw w podział pracy, od ucieczki od wiecznej amatorszczyzny i załatwiania wszystkiego „gospodarskimi” metodami. Na Zachodzie załatwiła to państwowa i spółdzielcza sieć obsługi rolnika. U nas państwowa sieć nadzoru i poradnictwa zanika, spółdzielczej nie ma.

Przez lata, patrzyłem jak w Polsce z uporem zwalano wszystkie wady w zachowaniach naszych bliźnich na istotę zwaną *homo sovieticusem* i kiedy to robiły osoby w sutanach (często te najsympatyczniejsze) myślałem sobie, że w piętę gonią. Nasz poczciwy *homo soveticus* do złudzenia przypomina stereotypowe postaci z Hiszpanii, Portugalii, Irlandii czy zza oceanu, gdzie demoralizujący wpływ komunizmu był raczej znikomy. Można zapytać co się stało z protestancką etyką Niemców z landów wschodnich? Tak, prawda, mam z tym kłopot. Wiem zbyt mało o byłej NRD, ale i w Szwecji, i w Anglii widziałem jak w ostatnich dekadach w oczach rozkładało się to wszystko, co wedle podręczników składało się na ową etykę protestancką. Wszystko? Chyba niezupełnie. Pojawiły się rozdmuchane postawy roszczeniowe, nasiliły się oszustwa podatkowe, w Anglii pojawiło

się sporo rzemieślniczego partactwa, jakie jest nadal nie do pomyślenia w Szwecji. Do rozpadu etyki protestanckiej jeszcze jednak daleko, chociaż jej sama podstawa – poczucie odpowiedzialności za własny los i za los swoich dzieci, została nadgryziona przez nadmiar opieki państwa. Co zostało? Zdolność podejmowania zbiorowych decyzji przez dzieci w wieku lat dziesięciu, znacznie wyższy poziom systemów edukacyjnych (w masówce), większa sprawność techniczna, o niebo wyższa rzetelność w kontaktach z innymi, wyższy poziom zaufania do instytucji demokratycznych, większa zdolność współdziałania w grupach i większa schludność.

Elementy tej „etyki protestanckiej” przeniosły się do europejskich krajów katolickich wraz z objęciem ich przez Unię Europejską. Możliwość wejścia Polski do Unii pojawiła się jednak zbyt późno, w momencie gdy idea wyrównywania cywilizacyjnego poziomu mieszkańców wsi przestała być kamieniem węgielnym tej organizacji. Na zmianę postaw polskich elit politycznych w tej kwestii nie ma co liczyć i bardzo mi trudno uwierzyć w jakiś „pakt dla wsi”. Polska wieś i związane z tą wsią małe miasto, to środowiska skazane wyłącznie na własne siły, czyli na samodzielne wyciąganie się za włosy z topieli. Jediną nadzieją tej wsi wydaje mi się być samorząd. Mimo wszystkich wad reformy samorządowej (sposób wprowadzania reformy terytorialnej, czyli powiatów i samorządowych województw jest wręcz karygodny), mieszkańcy Polski uczą się samorządności. Jestem głęboko przekonany, że odrodzenie się spółdzielczości czy innych form zbiorowego działania musi być poprzedzone wiarą że na szczeblu lokalnym możliwy jest wpływ na decyzje polityków. Równolegle obserwowałem nagły wzrost popularności Andrzeja Leppera wśród mieszkańców polskiej wsi i pozornie drobny konflikt w swojej gminie, gdzie władze podjęły błędną moim zdaniem decyzję w sprawie lokalizacji jednego z gimnazjów. Spowodowane tą decyzją zebrania i dyskusje pozwalają na nutę optymizmu. Stawka na Leppera była owym tradycyjnym szamotaniem się między buntem a rezygnacją, reakcją na decyzję władz gminy było poszukiwanie praktycznych rozwiązań, analiza rzeczywistych możliwości działania, lekcja mobilizowania opinii i tworzenia struktur organizacyjnych. Inni przechodzili przez ten kurs kilka pokoleń temu. W Polsce do-

konuje się on w dramatycznych warunkach lawinowo postępującej dalszej degradacji cywilizacyjnej wsi. Stwarza to oczywiście nadzwyczajne warunki dla ruchów ultraradykalnych. Równocześnie jednak do ludzi powoli dociera świadomość tego, że gmina jest instytucją samorządową i że na rząd nie bardzo warto się oglądać. To nowe doświadczenie może (może ale nie musi) prowadzić do stępienia postaw roszczeniowych wobec państwa i stworzyć pierwsze zręby zbiorowego działania na szczeblu lokalnym. Tylko w ten sposób można przełamać długą tradycję oczekiwania na łaskę dworu, rządu, takiego czy innego pana. Jest to jednak tragiczny wyścig z czasem. Czy zdążą zanim zwyciężą koncepcje Michała Zielińskiego i innych, czy zdążą zanim znajdą się w getcie, z którego dla większości nie będzie już żadnego wyjścia? Obserwując ten świat z bliska, doprawdy trudno o optymizm.

Andrzej KORASZEWSKI

Dobrzyń, 1 kwietnia 1999 r.

Wojna i zmiany miejsc

1.

W Warszawie pierwszym skutkiem przystąpienia do NATO stało się wyraźne rozmożenie frontów politycznych. Sięgnęło ono głębiej niż tylko poziomu gestykulacji, jak opisana w poprzedniej *Kulturze* zapowiedź pojednawczego uścisku dłoni Wałęsy i Kwaśniewskiego. Na ekranach telewizorów panowie z AWS, UW i SLD wymieniali uprzejmości, dziennikarze fetowali wszystkich zasłużonych, dzięki którym Polska znalazła się w NATO, ambasador Stanów Zjednoczonych Daniel Fried, dwoił się i troił, rozchwytywany na salonach i oblegany przez dziennikarki. Zapanowała atmosfera narodowego triumfu, że oto Polska jest wreszcie bezpieczna, jak nigdy od – tutaj licytacja dat – dwustu, trzystu, czterystu lat... Licytację wygrał Daniel Fried: „jak nigdy od czasów Stefana Batorego”. Bronisław Geremek, minister spraw zagranicznych, po prostu tokował, i nawet Janusz Onyszkiewicz, najpoczciwszy z ministrów obrony, robił stosownie do okoliczności marsowe miny. Podkreślano z naciskiem, że akces do NATO jest wspólnym sukcesem wszystkich liczących się sił politycznych i wszyscy deklarowali radość z tej wspólnoty, aczkolwiek najbardziej i bez reszty cieszyli się politycy z Unii Wolności, wnet miało się okazać, że nie całkiem mieli rację.

Przywódcy SLD doczekali się wreszcie formalnego uznania atlantyckich zaślug ich rządów za poprzedniej kadencji parlamentu: polscy postkomuniści są oto teraz pełnoprawnymi sojusznikami i przyjaciółmi Ameryki. To coś więcej niż posłowanie do Rady Europy. Wprawdzie prawica nie zaprzestanie, oczywiście, atakować SLD za pochodzenie, ale

skuteczność tej propagandy będzie teraz znacznie słabsza, w otoczeniu Leszka Millera zauważa się nawet, może przedwcześnie, że główne pismo antykomunistów, dziennik *Życie*, jako ostatnio oklapło. W dalszej perspektywie ostateczne zatarcie piętna pochodzenia na SLD – tak jak to rozumieją przywódcy typu Millera czy Borowskiego – powinno przywrócić stronnictwu polityczną swobodę ruchów i ewentualnie umożliwić podjęcie ponownie strategii współpracy z Unią Wolności: liberałowie wszystkich kolorów, łączcie się... Antyatlantyckie fanaberie PPS Ikonowicza będą w porównaniu z tymi zyskami drobną stratą.

W obozie prawicy satysfakcja z przystąpienia do NATO była, paradoksalnie, bardziej zniuansowana. Wszyscy lub prawie wszyscy się cieszyli, ale dwie szkoły narodowców nie były całkiem zadowolone. Spadkobiercy, jak sami sądzą, Piłsudskiego, a w istocie znacznie bliższego protoplasty, Leszka Moczulskiego, nie chcą, by Polska była ot, takim sobie, szeregowym członkiem NATO. Powinna być głównym partnerem USA w Europie Środkowo-Wschodniej... Niestety. Polska nie ma na to dość sił, więc nasi „piłsudczycy” nie są zupełnie szczęśliwi. Z kolei wyznawcy pierwszeństwa idei narodowej przed wszelkimi strukturami nadnarodowymi – również takimi jak NATO (wzorem de Gaulle’a rozróżniają oni bardzo wyraźnie pomiędzy Paktem Atlantyckim a jego Organizacją czyli NATO) – boją się utraty nadmiernej porcji suwerenności. Ci sceptycy gromadzą się głównie w ZChN i ruchu Radia Maryja. Czterech posłów ZChN, który już przedtem zostali wykluczeni z AWS za niesubordynację i utworzyli Nasze Koło, wyrzucono obecnie również z ZChN. Wiadomo, że głównym motywem był właśnie afiszowany brak entuzjazmu dla NATO. Ze swej strony o. Rydzik powściąga ostatnio na antenie swoich narodowców secesjonistów z Rodziny Polskiej Piotra Jaroszyńskiego i daje więcej miejsca prawomyślnym katolikom z AWS. Innymi słowy – podobnie jak w SLD – wątpliwości wobec atlantyzmu wyglądały najpierw w AWS jak zanikające chmurki na błękitnym niebie...

2.

I wtedy NATO zaczęło bombardować Serbów. Interwencja ta została przedstawiona jako pierwsze zastosowanie nowej

strategii (doktryny?) Paktu Atlantyckiego, której inicjatorem są Stany Zjednoczone. Entuzjaści ukuli z miejsca formułkę o „pierwszej wojnie XXI wieku”, która się toczy o wartości etyczne, o prawa człowieka, a „względy strategiczne, bezpieczeństwo narodowe państw NATO, terytorium, zasoby naturalne, a nawet ideologia – nie odgrywają żadnej w istocie roli”. Aleksander Smolar, który w *Gazecie Wyborczej* (10-11 kwietnia) tak właśnie scharakteryzował tę wojnę, przyznając więc Stanom Zjednoczonym dozę altruizmu, którą można by obdzielić wszystkie mocarstwa w dotychczasowych dziejach, zauważa jednak:

„NATO rozpoczęło operację militarną łamiąc prawo międzynarodowe, dokonując agresji na suwerenne państwo. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości (...) Można łatwo zrozumieć decyzję NATO. Niedostosowanie norm prawa międzynarodowego do obecnych warunków i wartości, które świat w coraz większym stopniu uznaje, jest oczywiste. Czy można było pozwolić na to, aby Moskwa i Pekin zawetowały w Radzie Bezpieczeństwa NZ uchwałę o akcji w Kosowie (...) Czy można też rezygnować z ‘prawa do interwencji’ w bliskim, europejskim kraju pod pretekstem, że jest wiele innych miejsc, gdzie rozgrywają się tragedie zgotowane przez miejscowych tyranów?

Ale, z drugiej strony, czy można pogodzić się z tym, że jedyne dziś mocarstwo czy grupa państw sojuszniczych przyznaje sobie prawo interweniowania, gdy uzna, że zagrożone są normy, które wyznaje? Czy nie rodzi to niebezpieczeństwa regresu – od uniwersalizmu prawa międzynarodowego, ze wszystkimi jego niedoskonałościami, do dyktatu silniejszych, przyznających sobie prawo do normalnej krucjaty, dyktatu ‘mścicieli’, którzy wezmą na siebie zadanie narzucenia pokoju regionalnego i światowego? Czy lekceważenie suwerenności narodów nie znajdzie w przyszłości naśladowców? (...) Czy nie obserwujemy dziś – w nowych okolicznościach, w nowej szacie – powrotu do tradycyjnej, XIX-wiecznej polityki imperialnej, tyle że w miejsce ‘misji białego człowieka’ pojawia się misjonarski stosunek państw liberalno-demokratycznych do reszty świata?”

Po czym Smolar pisze:

„Trudno nie dostrzec rozmijania się oczekiwań krajów

Europy Środkowej i Wschodniej, które zostały właśnie do Sojuszu przyjęte, bądź też do niego aspirują, z realną ewolucją NATO. Przede wszystkim dotyczy to Polski. Pragnęliśmy znaleźć się w Pakcie przede wszystkim po to, żeby zabezpieczyć się przed kolejnym zagrożeniem ze Wschodu. Kierowaliśmy się obawami przed Rosją, przed jej tradycyjną agresywnością, ale również przed nowymi formami destabilizacji i dominacji regionalnej. (...) Minęły niecałe dwa tygodnie od uroczystego przyjęcia nas do NATO i oto uświadomiliśmy sobie, że Sojusz znacząco oddalił się od swoich klasycznych form działania i celów, dla których był przedmiotem naszych marzeń. Znaleźliśmy się w organizacji, która jest w trakcie gruntownej przebudowy i której losy nie są pewne. Być może właśnie się decydują."

To brzmi prawie jak historia o pułapce na myszy – i może być miarą rozczarowania elity kierowniczej Unii Wolności, która uważa się za autora akcesu i najgłośniejszą święciła sukces.

Kociokwik jest jednak powszechny. Rząd wyżyma z Balcerowicza pieniądze na pomoc dla Albańczyków, ale wicepremier nieugięcie broni budżetu i wydziela z rezerw każdy grosz. Najpierw zaproszono do Polski 1000 uchodźców, potem doproszono drugi 1000, ale przywieziono jak dotąd (15 kwietnia) tylko 60. Brak pieniędzy na wynajem i ubezpieczenie samolotów... Zapowiedziano wysłanie 140 żołnierzy do Albanii do „robót ziemnoinstalacyjnych”. Ogłasza się zbiórki charytatywne, które przynoszą żenująco nikłe wyniki, co nie przeszkadza prezydentom rozpylić się nad rzekomą hojnością Polaków. Prawda jest taka, że rząd znajduje się w kleszczach pomiędzy zobowiązaniami sojuszniczymi i chęcią wykazania się, a szczupłością środków i oczywistą powściągliwością opinii. Ponad połowa ankietowanych uważa, że jeśli pomagać, to ofiarom z obu stron.

Opozycja, zwłaszcza SLD, miewa się nie lepiej. Leszek Miller jest właśnie zajęty przekształcaniem SLD w jednolitą partię, zgodnie z wymaganiami konstytucji. Musi więc wyłączyć formalnie z Sojuszu podmioty takie jak OPZZ, nie tracąc ich jako bazy politycznej. To trudna operacja, bo działacze 32 obecnych podmiotów zrzeszonych w SLD chcą mieć zapewniony jakiś udział w profitach wyborczych i jakiś wpływ na politykę nowego SLD. I oto nagle kierownictwu SLD

spadają na głowę bomby NATO. Prasa bliska SLD zajęła po części stanowisko wyraźnie proserbskie, jeśli nie wprost antyamerykańskie. W elektoracie SLD jest, zdaje się, jeszcze gorzej. Działacze z kierownictwa (Leszek Miller, Marek Borowski, Wiesław Kaczmarek) dzielnie bronią sprawy NATO, ale nowa partia wystartuje, tak czy inaczej, całkiem skołatana. Może się okazać, że marginalne dotąd formacje jak PPS (wchodząca w skład SLD) czy Ruch Ludzi Pracy, który zamierza się usamodzielnąć jako partia z bazą związkową – nagle urosną kosztem SdRP. Byłoby to dla Leszka Millera i jego ludzi tym groźniejsze, że PPS i RLP reprezentują raczej lewicę socjalną w SLD; krystalizacja sporu na dwóch jednocześnie płaszczyznach mogłaby spowodować jeśli nie rozłam, to zmianę kierownictwa na takie, które potrafi przynajmniej załagodzić konflikt. Tymczasem mnożą się naciski na przywódców SLD ze strony „dołów”, które domagają się wyraźnej korekty liberalnego kursu społeczno-gospodarczego na rzecz jakiejś odmiany państwa opiekuńczego. Redaktor naczelny *Trybuny* Janusz Rolicki ogłosił (*Trybuna* nr 68) zatytułowany „O kapitalizm z ludzką twarzą” programowy artykuł w tej sprawie, a prof. Józef Kaleta, ekonomista z Wrocławia, poseł na Sejm i główny eksponent opozycji wobec liberalnej polityki społeczno-gospodarczej SLD wystąpił w czterech kolejnych numerach tejże gazety z projektem kontrprogramu. Jest więc już, by użyć tradycyjnego języka, gotowa „płaszczyzna mniejszości”. Jeśli się do niej dopisze motyw antywojenny, proporcje sił w SLD mogą ulec odwróceniu. Oczywiście, Leszek Miller na pewno nie podejmie otwartej walki. Będzie raczej próbował zacierać różnice i położyć cały nacisk na przygotowanie „wspólnego” zwycięstwa wyborczego, najpierw w walce o prezydenturę w 2000-nym i potem o legislaturę w 2001 r. Aleksander Kwaśniewski, który jest najbardziej zasłużony w realizacji dotychczasowej linii SLD robi, co tylko zdoła, aby podtrzymać Millera (i własne szanse).

W Sejmie, 9 kwietnia, w głosowaniu nad informacją rządu „o podstawowych kierunkach polityki zagranicznej” za przyjęciem informacji było 321 posłów, 18 było przeciw, 61 wstrzymało się od głosu. Oznacza to, że wojna na Bałkanach spowodowała wyraźne nadwątlenie (jeśli nie zerwanie) konsensusu w zakresie polityki zagranicznej. W SLD, przeciw

głosowało 5 posłów, wstrzymało się 36. Od głosu wstrzymała się też większość PSL i czterech posłów AWS oraz ROP Jana Olszewskiego. Nasze Koło Łopuszańskiego i KPN-OP Adama Słomki były przeciw, podobnie jak jeden poseł AWS. Jednocześnie za rządem głosowała tylko Unia Wolności... i mniejszość niemiecka.

3.

Sprawy międzynarodowe przyćmiły wprawdzie zagadnienia krajowe, ale ich nie wyparły z pola widzenia opinii i polityków. Trwa szarpanina społeczeństwa z czterema reformami premiera Buzka; teraz na tapecie jest reforma oświaty, której realizacja zaczyna się od pierwszego września i oto (badania CBOS) znamienity trend opinii: za „potrzebną i pilną” uważało tę reformę 71% Polaków w 1996, 61% w 1997, 44% w 1998 i tylko 23% obecnie. A przekazanie szkół samorządom popiera już tylko 47%, wobec 65% przed rokiem. Krótko mówiąc, im bliżej reformy tym gorzej, Polacy mają wrażenie, że się im narzuca rozwiązanie, których nie rozumieją i nie popierają, a na dodatek – robi się to nieumiejętnie (autobusów na dowożenie dzieci do szkół nie ma nadal!).

W sztabach koalicji narasta złe samopoczucie polityków. Dotychczas dominowała, i zresztą nadal jeszcze dominuje, świadomość, że musimy trzymać się razem, my – koalicja i my – AWS, ponieważ tylko razem odnosimy sukcesy. Teraz jednak pojawia się i toruje sobie drogę myśl, że być może sukcesy się skończyły. O epopei z NATO pisałem wyżej. Z gospodarką nic się niby nie dzieje złego, ale byczo już nie jest. Ministerstwo Finansów wygotowało jeszcze jeden „plan” na lata do 2010, którego optymistyczny wariant wzrostu PKB o 7-8% rocznie przyniosłby „podwojenie bogactwa” i którego warunkiem są wszystkie znane recepty Balcerowicza. Ale tych 7-8% rocznie przez 11 lat nikt nie bierze na serio, a owo „podwojenie bogactwa” każe pytać – u kogo? I czy nawet jeżeli zebrak podwoi swoje, a milioner swoje, to obaj mają się cieszyć? Polacy już się nauczyli, że wzrost gospodarczy w doktrynie liberalnej nieuchronnie pogłębia różnice społeczne.

Krótko mówiąc, żadnych spektakularnych sukcesów nie będzie, sukcesem będzie już sama szara rzeczywistość bez za-

paści. W tych warunkach może by się rozejrzeć za alternatywami politycznych planów i sojuszy? Okazją do takich przymiarek będzie wkrótce praca nad zmianami w ordynacji wyborczej do parlamentu. Wymusza je przede wszystkim dezaktualizacja ordynacji senackiej wobec tego, że jest 16 województw a nie 49. Ale główne spory toczyć się będą wokół nowego konstruowania okręgów wyborczych do Sejmu. Jeśli ich będzie dużo, tyle np. co powiatów, to na każdy wypadnie 1-2 mandaty i wybory staną się większościowe, w Sejmie ostanie się dwa kluby... AWS z SLD mogłyby taką ordynację przeformować i nawet przełamać veto prezydenta, ale po pierwsze żadne z nich nie może mieć pewności, że dobrze na tym wyjdzie, a po drugie oba mogą mieć pewność, że pozbawieni możliwości wyboru, wyborcy odnajdą się albo w domu albo na ulicy. Demokracja parlamentarna w Polsce mogłaby takiej ordynacji nie przetrwać. Jeśli pominąć pomysły liberałów, żeby ograniczyć ilość parlamentarzystów np. do 100 deputowanych – pomysły nierealne, bo gdzież fotele, mandaty i apanaże dla pozostałych 360? – to pozostaje zegarmistrzowska dłubanina przy wyznaczaniu granic okręgów i wyliczaniu mandatów. Próbną deklarację stanowisk koalicji już są: AWS, a ściślej mówiąc, Ruch Społeczny AWS w osobie Jacka Rybickiego preferowałby okręgi 4 mandatowe (do maksimum 7) a Unia Wolności (Andrzej Potocki, rzecznik klubu) 8-10 mandatowe. SLD się jeszcze nie wypowiedział, ale podobno preferuje także „siedem, osiem mandatów”. Im mniej mandatów w okręgu, tym mniejsze szanse mniejszych partii. Ale na tę zależność nakłada się konieczność, w dużych formacjach, które są tak czy inaczej koalicjami, ulokowania na tzw. miejscach mandatowych wszystkich swoich frakcji. Dlatego nie może być zbyt mało mandatów w okręgu, toteż wstępna odzywka posła Rybickiego jest tylko początkiem licytacji. Rekonstrukcja AWS z jego czterema nogami (por. poprzednia *Kultura*) idzie jak po grudzie, ponieważ w partii rządzącej chodzi przecież nie tylko o podział przyszłych mandatów, lecz również obecnych stanowisk a RSAWS rękami swoich ministrów od faworów – Tomaszewskiego w MSWiA oraz Wąsacza w Ministerstwie Skarbu bezwzględnie wypycha młodszych kolegów. Konflikty z Unią Wolności na wyższym, ministerialnym poziomie, są zbyt znane, żeby tutaj do nich

wracać: Ministerstwo Kultury trafiło do AWS, a tymczasem obiecanych 4 sekretarzy stanu premier nie podpisuje. Zwlekać Jerzy Buzek umie doskonale.

Spoistość koalicji i jej większego członu jest na półmetku kadencji mniejsza niż na starcie – i słabnie. Niby się nic nie zmienia, ale w razie burzy statek może się przełamać. A na taką burzę się zanoszą przy osławionej ustawie o działach administracji rządowej. Przyjęta w poprzedniej kadencji z poparciem UW miała wejść w życie 1 stycznia ale nie weszła, bo Unia Wolności uznała, że potrzebna jest nowelizacja. Nowy termin wyznaczono na 1 kwietnia i rzeczywiście ustawa weszła w życie ale nie działa, bo zdaniem ekspertów potrzebne są przepisy wprowadzające. Nowelizacja też nie została przygotowana, teraz pracuje nad nią kilku tuzów z koalicji – Syryjczyk (UW), Rokita (AWS-SKL), Marcinkiewicz (AWS-ZChN). Ustawa polega w ogólności na tym, że dzieli administrację na działy, „klocki lego” (określenie *Rzeczpospolitej*), które premier może zestawiać. Teraz Unia Wolności boi się, jak się zdaje, nadmiaru kompetencji dla premiera Jerzego Buzka, AWS zaś też się boi, że jak nowa ustawa zacznie działać, to trzeba będzie dokonać obiecywanej „wielkiej” rekonstrukcji rządu. To właśnie może się okazać burzą, od której rozleci się nadgryziony przez korniki żaglowiec.

Krzysztof WOLICKI

Warszawa, 15 kwietnia

P.S. Gryziemy swoich. Rzecznik „Ojczyzny” ogłosił, że opóźnienie procesu lustracyjnego wynikać „może” z tego, iż są jakieś materiały na Jerzego Buzka.

„Inaczej, niżście to sobie wyobrażali”?

1.

Mija dziesięć lat niepodległości i, trzeba to sobie otwarcie powiedzieć, wciąż brak literatury, która by zaświadczała wymiar tego doświadczenia zarówno w planie egzystencji jednostkowej, jak społecznej. Jest trochę tak, jak w „Generale Barczu” Juliusza Kadena-Bandrowskiego, którego bohater, legionista i pisarz, składając swą powieść u wydawcy w połowie lat dwudziestych, niedługo więc po wybuchu radości z „odzyskanego śmietnika”, słyszy odeń pełne zachwyty sądy o nowym, młodym wówczas pisarstwie, że jest ono prawdziwym wyrazem nowych czasów: „U nich nie ma wojen – powiada wydawca – ojczyzn, cierpiętnictwa... Na całkiem innej płaszczyźnie... Inaczej, niżście to sobie wyobrażali”.

Podobnie i dziś: młoda, powstająca od połowy lat osiemdziesiątych literatura, daleka jest od owych ojczyzn i cierpiętnictwa. Więcej nawet – młodzi autorzy, zarówno w swych utworach jak w wypowiedziach o własnej twórczości, często od cierpiętnictwa i ojczyzn się demonstracyjnie odwracają. Nie chcą tych wszystkich „etosów”, nie potrzebne im do niczego moralizowanie, nie zwraca ich uwagi wymiar społeczny dokonujących się w kraju przekształceń i przemian.

Można powiedzieć, że dziś znów – dla innych jednak przyczyn – można konstatować niedobór literackiej refleksji dotyczącej życia publicznego. Czyżby znów prawda literatury miała się rozmiąć z prawdą życia społecznego i historii? I nie dlatego tym razem, że, jak w całym okresie PRL, poddawana jest cenzuralnym ograniczeniom, ale dlatego, że nie ma już potrze-

by z nimi walczyć. Czy stało się więc tak, że przedtem mieliśmy do czynienia ze swego rodzaju nadwrażliwością w tej sferze, co dzisiaj „odrabiane” jest tej wrażliwości zupełnym wygaszeniem? Czy też oznacza to tylko, iż wraz z wybiciem się na niepodległość i rozmoszczeniem w przestrzeni znów „odzyskanego śmietnika”, literatura – a może nawet szerzej: sztuka – zaczęła nade wszystko zabiegać o własną w tej przestrzeni suwerenność?

Gdy sięgam do takich książek jak „Miazga” Andrzejewskiego, „Kompleks polski” lub „Mała apokalipsa” Konwickiego, „Nierzeczywistość” Brandysa, „Wielki strach” i „Milczenie” Strykowski, „Początek” Szczypiorskiego, do opowiadań Filipowicza czy Nowakowskiego, i Orłosa, wówczas przypominam sobie dyskusje toczone wtedy, gdy owe książki były czytane – dyskusje w trakcie których wielu spośród biorących w nich udział zastanawiało się nad tym, jakie bogactwo refleksji społecznej i historycznej będzie niosła ze sobą literatura od cenzury wolna. Jeśli dziś tego rodzaju refleksje w prozie polskiej odnajdują, to na tym poziomie co najwyżej, jaki prezentowała proza „małego realizmu” lat sześćdziesiątych, która również unikała jak ognia owych ojczyzn i cierpiętnictwa, o których wspomina wydawca w powieści Kadena.

Można, opisując stan literatury powstającej w ostatnim dziesięcioleciu, mówić o wyschnięciu nurtu pisarstwa społecznego i historycznego. Jeśli porównywać ten okres z pierwszym dziesięcioleciem po roku 1918, wówczas trudno by się doszukać w nim powieści pełniących takie funkcje i wywołujących tak ożywione dyskusje jak „Przedwiośnie” Żeromskiego czy wspomniany tu „Generał Barcz”, książki głośne, omawiane w całej liczącej się prasie tamtych lat. Przy czym w obu wypadkach chodzi o utwory może nie najwyższej rangi artystycznej – choć w wypadku „Barcza” jest o co kruszyć kopie – ale napisane z pasją znamionującą żywy stosunek do współczesności, zdolność pochwycenia rytmu i klimatu zachodzących przemian. Inaczej mówiąc: chodzi o literaturę – niech wreszcie padnie to przeklęte i wyklęte słowo – zaangażowaną. Chodzi więc o taką literaturę, która nie tylko zaświadcza zainteresowanie problemami życia społeczeństwa, ale która jednocześnie owo społeczeństwo angażuje w śledzenie zagadnień literackich. Tak właśnie w wypadku obu tych powieści było.

2.

Chciałbym być dobrze zrozumiany: to nie jest apel o tworzenie takiej literatury lecz jedynie opis sytuacji literatury powstającej obecnie. Nie jestem zwolennikiem krytyki programującej, szczególnie jeśli uprawiają ją sami pisarze, którym w takim wypadku radzę zawsze, by, jeśli im czegoś brak, sami ów niedostatek wypełniali. Chciałbym natomiast zrozumieć, dlaczego właśnie wtedy, gdy, zdawałoby się, spełnione zostały warunki dla tworzenia pisarstwa zdolnego bez żadnych ograniczeń podjąć sprawy społeczne – pisarstwa, którego brak w poprzednich dziesięcioleciach krytyka wciąż podnosiła – dlaczego więc w tych nowych, sprzyjających warunkach autorzy od tej problematyki się odwrócili.

Jak się wydaje, istnieje w tej kwestii kilka stanowisk. Pierwsze z nich to sąd o skompromitowaniu literatury „zaangażowanej” jako z konieczności poddanej manipulacji ideologicznej, przekształcającej pisarstwo w swoistą działalność partyjną, zmuszającą do stronnictwa i dydaktyzmu politycznego. Drugie przekonanie to sąd, iż literatura „zaangażowana” z zasady musi być literaturą artystycznie słabą, skażoną użytkowością, zredukowaną do propagandy – taka literatura, wedle wyznawców tego przekonania, z natury rzeczy kwestie estetyczne stawia na dalszym planie, zaś system napięć tworzących strukturę utworu podporządkowuje zasadzie ekspozycji politycznego stanowiska narratora utożsamianego z autorem. Trzecie, związane z poprzednim przekonaniem powiada, że taka „zaangażowana” literatura skazana jest na dorażność, a tym samym wyłączona z wielkiego, toczącego się poza czasem dialogu kulturowego, że zatem nie podejmuje problematyki uniwersalnej i nie jest w stanie sprostać wyzwaniom prawdziwej sztuki, a wręcz przeciwnie – stanowi owej sztuki redukcję, zaś uniwersalny system wartości, szczególnie estetycznych, podporządkowuje potrzebom chwili i określonej opcji politycznej.

Jakby summa owych sądów jest zdanie mówiące, iż historyzm i „polityczność” stanowią swego rodzaju zbędny balast, obciążenie narodowego pisarstwa – przy czym i to ostatnie pojęcie także traktowane jest tu podejrzliwie, gdyż w świecie bez centrum i w przestrzeni wielokulturowej ów ton czy rys

narodowy traktowany jest także jako jakiś rodzaj zniewolenia. Jest to stanowisko do pewnego stopnia zasadne, w końcu nie przypadkiem pisał Miłosz o tym, że „historyczność niszczy nam substancję”, wszakże nie oznacza to, iż nie można owej historyczności jakoś artystycznie spożytkować i przeformułować. Podobnie rzecz ma się z ową narodową tożsamością – by w ogóle sensownie bronić idei wielokulturowości, nie można niszczyć czy poddawać w wątpliwość własnej kulturowej odrębności, choć równie niebezpieczne, rzecz jasna, jest czynienie z niej jedyne go miernika wartości sztuki.

Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości – wytworzyła się atmosfera swoistego szantażu moralnego, w której manifestacja buntu przeciw „zaangażowaniu”, wszelkiej historyczności, a już z pewnością polityczności, jest traktowana jako wyraz oporu czy nawet artystycznego nieposłuszeństwa wobec systemu zniewolenia, jakim jest w polskiej literaturze tradycja pisarstwa podejmującego problematykę społeczną i polityczną. Ten klimat z kolei tworzy lęk przed pozostaniem poza głównym obecnie nurtem artystycznych poszukiwań, w szczególności zaś obawę przed potraktowaniem utworów „zaangażowanych” jako wyrazu bezwolnego poddawania się owemu z lekka staroświeckiemu czy wręcz – jak sądzą niektórzy – reakcyjnemu nurtowi narodowej tradycji i jednocześnie przed uznaniem tych utworów za rezygnację ze „świętego buntu artysty”.

Ale nie bez niepokoju też niektórzy z młodych krytyków – jak np. Karol Maliszewski – zwracają uwagę na fakt, iż tworzona przez ich rówieśników literatura oddala się od spraw ogólnospołecznych, zamyka się zaś, co dotyczy zwłaszcza poezji, w swoistej „poetyce grepsu” i szyfrów zrozumiałych jedynie w zamkniętych, towarzyskich kręgach. Obawy te o tyle są przesadzone, iż taka właśnie literatura – tworzona dla kilku osób i w zamkniętym gronie – istniała zawsze, czasem też okazywała się, wbrew nawet swym własnym założeniom i celom, literaturą „dla ludzi”. Niemniej owe spostrzeżenia wydają się ważne – stanowią one, jak sądzę, wyraz jakiegoś niedosytu, odzwierciedlają poczucie braku. Bo i rzeczywiście niewiele jest utworów, które mogłyby dziś pobudzić do reakcji nie tylko owego mitycznego „przeciętnego czytelnika”, lecz choćby zajmującego się problemami kultury dziennikarza gazety codziennej. Nie oznacza to, rzecz jasna, że należy od

razu namawiać Olgę Tokarczuk do opisanie konfliktów społecznych współczesnego Dolnego Śląska czy namawiać mieszkającego w Bieszczadach Andrzeja Stasiuka do pisanie od nowa „Na wysokiej połoninie”.

3.

Żyjemy w okresie swoistego zablokowania społecznej wrażliwości literatury. Ta blokada ma po części charakter psychologiczny i sięga swymi korzeniami okresu powojennego. Jeżeli tak można powiedzieć, to jest ta sytuacja jednym z wielu negatywnych skutków socrealizmu. Tym bardziej, iż ówczesne polityczne zaangażowanie literatury – w wielu wypadkach wszak szczere, choć głupie i budzące dziś grozę – podlega dramatycznemu, procesowi rozliczeń: oskarża się – co skądinąd też jest zrozumiałe – pisarzy o współtworzenie systemu ideologicznego a nawet policyjnego zniewolenia, o udział w antynarodowym terrorze politycznym. W efekcie wszelkie polityczne czy tylko społeczne zaangażowanie literatury, jeśli się pojawia, traktowane jest z dystansem i obawą o to, że utwór zostanie zmanipulowany, iż jego autora policzy się w szeregi zwolenników jakiejś politycznej koterii (wszak o niczym innym w naszej polityce nie da się serio mówić), że wreszcie sens i znaczenia utworu zostaną zredukowane i spłaszczone.

Te obawy są zasadne, ale nie znaczy to, iż właśnie one winny decydować o kształcie poszukiwań artystycznych. Sfera sztuki jest sferą wolności, a to oznacza, iż każda wypowiedź literacka związana być musi z ryzykiem. Otóż, jak się wydaje, w swej ogromnej większości współczesna literatura polska ryzyka takiego podjąć się boi, w efekcie czego następuje jej marginalizacja dużo większa, niż ma to miejsce w społeczeństwach o ugruntowanej demokracji, jak choćby w Niemczech, gdzie w ostatnim dziesięcioleciu ukazało się sporo utworów – mówię tu przede wszystkim o prozie – nie stroniących od ostrego nieraz i dramatycznie krytycznego podejmowania kwestii społecznych czy nawet politycznych, by tylko przy pisarstwie Güntera Grassa i Christy Wolff pozostać.

Literatura jest także zadaniem poznawczym, w większym zapewne stopniu niż wszelkie inne sztuki „otwartym” dla publiczności, gdyż język literatury jest językiem najbardziej w

odbiorze społecznym komunikatywnym. Można rzecz jasna twierdzić – co podnosi wielu uczestników literackich dyskusji w ostatnich latach – że to przede wszystkim, a może nawet wyłącznie, sztuka pięknego opowiadania. Rzecz w tym, iż coraz częściej jest to opowiadanie o niczym lub o tym, co interesuje niewielu. Im znów – chciałbym podkreślić, że nie jest to z mej strony zarzut, lecz jedynie opis zjawiska. Być może zresztą taki okres zdystansowania się wobec spraw społecznych czy problemów historycznych jest rzeczywiście literaturze polskiej potrzebny, może to faza jakiegoś lizania ran doznanych w poprzednim półwieczu.

Byłoby jednak czymś w moim przekonaniu niebezpiecznym utrwalenie przekonania o tym, iż ten krąg zagadnień, na które tu zwracam uwagę, jest z zasady literacko „gorszy” czy mniej istotny. Wiara w to, że historia się zakończyła jest wstępem do historycznego samobójstwa każdej kultury, która wiarę taką przyjmie. Sytuowanie życia bohaterów literackich poza czy ponad historią jest pogłębianiem złudzenia, iż życie takie rzeczywiście jest możliwe. Podobne złudzenia, czasem nawet bardzo piękne i wyrażane w sposób artystycznie przekonujący, są – jeśli pozostają bez odzewu i gdy nie są poddawane krytycznej dyskusji – usypianiem wrażliwości, wygaszaniem czujności.

Poeta dziś przestał „być w Polsce barometrem”, jak o tym pisał Miłosz. Jeśli coś go interesuje, to często wyłącznie temperatura własnego ciała. Owszem – mówię to z całą odpowiedzialnością – otrzymujemy dziś do czytania coraz więcej naprawdę sprawnie, a nieraz i pięknie napisanych książek. Rzecz w tym, iż coraz częściej są to utwory „literackie” – w tym sensie, że interesują wyłącznie wąskie grono specjalistów pozostających hermetycznie zamkniętymi dla reszty publiczności. I nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby nie fakt, że między nimi a literaturą popularną czy trywialną nie ma nic, nie ma nade wszystko takich dzieł, które by były dla owej szerszej rzeszy odbiorców interesujące i jednocześnie zachowywały dbałość o swój kształt artystyczny. Można, oczywiście, odpowiedzieć na to, że literatura naprawdę godna tego miana nigdy nie będzie dostępna dla „profanów”, ale – pomijając już arogancję podobnych twierdzeń – odpowiedź taką uznać należy za intelektualnie nie tyle podejrzaną, co jałową jeśli nie wprost głupią.

Leszek SZARUGA

Glosariusz rosyjski (I)

Ustęp wstępny

„Zazwyczaj uważamy słowo za cień rzeczywistości, za jej odbicie. Dokładniej byłoby powiedzieć na odwrót: rzeczywistość jest cieniem słowa. Filozofia jest naprawdę filologią, głęboką, twórczą eksploracją słowa”.

Bruno Schulz

Łazi mi po głowie rodzaj dziennika przeplatanego glosami, bo ja wiem, może typu „Słownika-dziennika” Jamesa?

Richard James – angielski filolog i poeta – przybył do Chołmogorów 16 lipca 1618 roku ze swiątą poselską od króla Jakuba I. Na wieść o „...szajkach Polaków, grasujących po kraju” poseł Diggs zawrócił do Anglii, a reszta świty dotarła do Moskwy, gdzie była przyjęta przez Michaiła Fiodorowicza. W drodze powrotnej James zimował w Chołmogorach, bo Białe Morze zamarzło. Plonem jego pobytu na *Russkom Sjewierie* był plik rękopisów, przywiezionych do Anglii. Niestety, większość z nich zaginęła – w tym opis podróży do Moskwy. Pośród zachowanej spuścizny po Jamesie znaleziono notes, samodzielnie zrobiony i oprawiony w czarną skórę ze srebrnymi skuwkami – ni to diariusz, ni glosariusz – w nim James notował ruskie słówka, niektóre opatrując komentarzem, inne zaś obrazkami ze swojego doświadczenia, a dzisiaj uczeni znajdują tam cenny materiał do badań bytu i obyczajów *Russkiego Sjewiera* z początków XVII wieku*.

* „Słownik-dziennik” Jamesa odnalazł w roku 1847 doktor Hamel

Gdy Richard James przybił do brzegów *Moscovii*, to nie Archangielsk (wtedy była to nieduża twierdza przy monastyrze Michała Archanioła), lecz Chołmogory pełniły funkcję węzła handlowego *Russkogo Sjewiera*, gdzie krzyżowały się szlaki handlowe z najdalszej Północy – stamtąd do Moskwy wieziono sól, rybę i futra, focze skóry, kły morsów i tran, ptaki łowieckie, dziczyznę i puch; tam zawożono konopie i wełny ze Smoleńska i Briańska, juchty z Tuły, воск z Kazania, rybny klej z Astrachania, rogożę z Rżewa i len znad Donu, i potaż z Kaługi, i dziegieć z Kostromy, i mydło z Suzdala, i słoninę z Władymira i Szui, i świńską szczecinę z Muroma i Wiatki, oraz ziarno i sukno ze wszej *Moscovii* – istna mozaika mów i narzeczy, ślady ich widać w notesie Anglika.

Wśród ruskich słów z różnych gwar (nowgorodzkiej, moskiewskiej czy górnowołyńskiej) można w „Słowniku-dzienniku” Jamesa odnaleźć także wyrazy polskie i samojedzkie, ukraińskie, karelskie, saamskie tudzież komi. James notował nazwy roślin, potraw, świąt i zwierząt, wiatrów, monet, miar i broni, środków transportu i narzędzi pracy, części odzieży świeckiej i stroju monachów, gier w karty i gier w kości, gatunków alkoholi i rodzajów miodu... Zapisywał powiedzonka, idiomy i mat, przysłowia morskie i terminy rybackie, i formułki cerkiewne i przekleństwa kabackie, i odzywki bladeckie... Utrwalał byt *Pomorow* w przepisach kulinarnych, w receptach zielarskich i zaklinaniach, w pozdrowieniach, w wyrazach miłości i ły. Pomiędzy odmianą słówka *lublju* (*ya lublu, ti lubish, on lubit, ya lubilah...* tu forma czasu przeszłego wskazuje, że wyraz ten usłyszał z ust kobiety), od której rozpoczął „Słownik-dziennik”, a porzekadłem *Christos woskries, Mikula wyruczaj* (Chrystus zmartwychwstał, Mikula pożycz), którym go zakończył, Richard James zawarł nie tylko obraz życia *Pomorow*, ale i swoją ruską przysługę.

Bowiem uważna lektura notesu Jamesa pozwala w nim znaleźć więcej, aniżeli tylko słówka czy wyrażonka – tam cień

w Bodleian Library w Oksfordzie. Pod koniec XIX stulecia manuskrytem zainteresował się rosyjski uczony Paweł Simoni, lecz kopię przezeń zamówioną wykonano tak niechlujnie, że publikowanie notesu nie miało sensu. Dopiero fotokopia rękopisu, otrzymana z Oksfordu w 1935 roku, pozwoliła akademikowi Larinowi, na odczytanie i wydanie notesu Jamesa w 1959 roku w Leningradzie.

rzeczywistości pada od słów. (Ot, choćby polonizm *bizabi*, czyli „bij! zabij!” – ślad rodaków w narzeczu *Pomorow*). Zapiski idą w porządku chronologicznym, nie alfabetycznym, to znaczy, że notował nowe słowa dzień po dniu (niekiedy je powtarzał z innym komentarzem), w miarę jak mu się jawiły z chaosu żywej mowy dookoła. Odczytywane po kolei tworzą łańcuch wydarzeń i obrazów roku Pańskiego: przeszły mrozy *kreszczenskije*, była *Iordan’* na Dwinie, *maslenica*, Wielki Post i Niedziela Palmowa (nazywana tu *Wierbnoj* od witek wierzbowych), *rosgowiny* (koniec postu) i paschalny *triezwon* (wielki dzwon na Wielkanoc), i już wiosna, *talaja* woda podmywa zaspy śnieżne, ożywa iwina i olcha, oracze szykują sochy na pole, baby rozsady dla ogrodu, zakukała kukulka, *doguliali* noc Kupały i pora się żegnać, *miła moja sudarynia...*

Podczas lektury widać też, jak się rodzi *genre*: z początku James ogranicza się do skąpych, jednowyrazowych angielskich odpowiedników ruskich słów, potem zaczyna wprowadzać coraz obszerniejsze noty o charakterze encyklopedycznym, często po łacinie (zwłaszcza w miejscach nieprzystojnych). Styl owych zapisków bywa różny, w zależności od tematu: to sucho-naukowy i dokładny, to soczysty i obrazowy, to znów ironiczny, ba, złośliwy, gdy się tyczy obyczajów lub sądów, nie budzących sympatii autora. Weźmy słówko *wiera*: „...tak nazywają i religię, i obrzędy, i wszelkie obyczaje, i gdy się pytasz, dla przykładu, dlaczego kradną, to mówią, że taka ich wiara, że tak przywykli”. Albo *schima*: „...to specjalna odzież z sukna z naszytym krzyżem, jaką odziewają tu na człowieka poważnie chorego. Odzież taką sprzedają na rynku. Tych zaś, co w niej chodzą, zwą *schimnikami*”. I dalej po łacinie: „Mówił mi to człowiek, który sam się dowiedział o wszystkim od dziewczuszki w *schimie*, co mu się oddała łaćniej, niżli na to pozwalała świętość jej odzieży. Kto zakłada *schimu*, ten nawet po postrzyżynach w monachy bywa powtórnie strzyżony na krzyż, z czterech stron: od czoła do potylicy i od skroni do skroni. Oni tej *schimy* nie zdejmują tu nigdy, w niej i chodzą, i śpią, i żyją, i umierają, i w niej są pogrzebani”. Albo *kanun* „...tak nazywają dni poprzedzające wielkie święta, na przykład *Kreszczenije*, wtedy dużo się modlą, jedzą tylko chleb raz dziennie, a wielu z nich w ogóle

nic nie jada. W dni owe mają prawo warzyć bragę, od której będą potem pijani przez całe święto. W 1619 roku od urodzenia Chrystusa na *Kreszczenie* w Chołmogorach oczyszili duży kwadrat na lodzie, po środku zrobili niewielki przereb, nad którym się modlili, śpiewali i chodzili wokoło ze świecami, kadzidłem, ikonami, potem rozbili skorupkę lodu i woda od razu się podniosła. W wodę tę pogrążali się trzykroć z głową i uszami, a miejsce nazywali *Iordan* na pamiątkę Chrztu Pana. Kiedyśmy po zakończeniu obrzędu podeszli, aby z bliska popatrzeć, jeden z ich popów powiedział, że nasza wiara była do ichniej podobna i choć ją zostawiliśmy, to jeszcze do niej wrócimy”.

W ten sposób podróżny słowniczek Jamesa przekształcił się w rodzaj krótkich szkiców, wyrastających ze słów.

Knigopisanije

„...bo książki są jako rzeki, napętniające świat cały; w nich głębie są niezmierzone, one w żalu nas pocieszają, wstrzemięźliwości uczą”.

„Powieść minionych lat”

Z Muzeum Papiernictwa w Dusznikach Zdroju przysłała na Sołowki paczka z papierem ręcznie czerpanym, który zamówiłem jesienią ubiegłego roku na prośbę Brata. Tutaj takiego nie robią. Długo uzgadnialiśmy z panią Bożeną Makowską, dyrektorką Muzeum, format arkuszy i barwę, i fakturę – rzecz w tym, by *czerniło* się nie rozlewało, wsia-
kając, pióro porowatości nie czuło i ślad zostawiało, cienki jak włos. Duszniki nie zawiodły, papier przysłał doskonały.

Brat zamierzył pójść na wspak czasom słowa masowego, bełkotu mediów i panoszenia się internetu, i wrócić do książki ręcznie pisanej, wznawiając dawny kunszt sołowieckich skrybów. Pomysł w Rosji nienowowy, starczy wspomnieć nie wydane manuskrypty Remizowa, własnoręcznie przezeń ilustrowane i oprawiane, czy też wydawanie książek „prawie na prawach rękopisu” przez Rozanowa i jego złorzeczenia pod adresem Gutenberga. Jednak zamiar Brata sięga dalej niż ni-by-rękopisy Rozanowa i manuskrypty Remizowa, Brat chciałby nie tylko odtworzyć średniowieczną technikę *knigo-*

pisanija – od papieru ręcznie czerpanego do pióra łabędziego i *czerniła* swojego wyrobu – lecz i regułę starych mistrzów wskrzesić, regułę odosobnienia i milczenia.

– Dziś każdy piszący marzy być sławnym, spieszy się, publikuje, często rzeczy niedojrzałe, nie przemyślane, byle co roku nową książkę wydać, na listę trafić, na antenę, na ekran. To duch demokracji, o której Rozanow pisał, że „jest tendencją naszej epoki, bowiem o ile do XIX stulecia wszystko się zamykało w korporacji i zatajało się wewnątrz siebie – w planach, odkryciach, myśleniu, dążeniach – o tyle od samego początku XIX wieku wszystko się obnaża, pędzi ku gawiedzi i szuka poklasku. Nikt dziś nie umie lekceważyć sukcesu: nie być czytany, nie słyszeć braw – to jakby nie żyć”. Gawiedź, gapie... oni ci narzucą swoje gusta, wystarczy raz dać się złapać. Miejscem pisarza jest Pustelnia – nie Rynek. Zauważ, że na Rusi siedemnastego wieku „baśniosłowne opowieści”, czyli czytała wszelkiej maści dla hałastry, były anonimowe i żaden szanujący się *kniznik* nie trzymał ich w swojej bibliotece. Albo weźmy ilustracje: dawni mistrzowie miniatury, niczym alchemicy, sami ucierali farby – drobili elementy organicznego świata i mieszały ingredencje, dociekając sekretów substancji – nim przystąpili do książki, by ów świat odtworzyć, w barwach. A dzisiaj się nabywa tubki farb w sklepie, jak hot-dogi... Niegdyś złoto malowało się złotem, nie żółcią.

Brat chce zacząć w Wielki Post od „Żywota Eleazara z Anzera”. Na razie uciera farby na miniatury.

Mariusz WILK

Daniel

Dopiero pół wieku po wyzwoleniu zdecydował się wreszcie pojechać w swoje strony rodzinne. Jak nigdy jeszcze, w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, zapragnął nagle zobaczyć znów tę ziemię, gdzie rozgrywały się owe dantejskie sceny.

Gdy wyszedł z obozu w styczniu 1945 roku, mierzył metr osiemdziesiąt i ważył trzydzieści kilo. Postanowił wtedy zacząć nowe życie. Nie szukać nikogo. Nie powracać nigdy do przeszłości. Najadać się do syta. Zrobić fortunę. Zwiedzić świat. I noc w noc omdlewać w ramionach najpiękniejszych kobiet. Uważał, że jemu, Danielowi uratowanemu z lwiej jamy, należy się od życia i od świata wszystko, czego zapagnie ciało i dusza.

Nie chciał mieć rodziny, aby nie być nikomu w niczym zobowiązanym, a szczególnie nie chciał przynosić dzieci na ten obłądny świat, bo pamiętał, ile razy przeklinał, że żyje.

Teraz był już milionerem. W kieszeni marynarki tkwiły mu niedbale dwa paszporty – amerykański i izraelski, a jego handlowe i pasażerskie okręty żeglowały morzami i oceanami, przewożąc z jednego krańca świata na drugi turystów i rozmaite towary.

Mógł przylecieć z Nowego Jorku do Warszawy swoim prywatnym samolotem firmy „West Wind” a na Okęciu czekałby nań szofer z limuzyną. Lecz on postanowił kupić normalny pasażerski bilet lotniczy i nieogolony, szczerbaty kierowca zawiózł go zwyczajną taksówką do rodzinnego miasteczka. Mimo początku lata nadal było chłodno, mżył rzadki, nużący deszczyk, a nisko nad głową wisało ołowiane niebo. I tylko poprzez smród spalin i smoły docierała doń chwilami

znajoma, upajająca woń kwitnących bzów. Ciężko i wolno szedł zaułkami swego smutnego dzieciństwa, zachlapanymi starym, zaskorupałym i świeżym, rzadkim błotem. Patrzył na odrapane, zaniedbane domy i myślał, że gdyby tylko chciał, mógłby odrestaurować pięknie to miasteczko. Kojarzyło mu się to z „Wizytą starszej pani” Dürrenmatta i zastanawiał się, czego ona, będąc na jego miejscu, zażądałaby w zamian.

Bez trudu odnalazł wąską uliczkę i niewielki domek, gdzie mieszkał z babcią, siostrami, rodzicami i z Moniusiem – swoim bliźniakiem. Wszystko tu było jak dawniej, tylko jakieś skurczone, zapadłe, jak gdyby tonące w szarej, błotnistej ziemi. Tu, w małej, pachnącej klejem i kurzem izdebce, na niskim zydelku, siedział jego ojciec – szewc z ustami pełnymi krótkich drewnianych gwoździaków, którymi szybko i sprawnie przybijał zelówki i blaszki, naprawiając zdarte podeszwy swoich ubogich żydowskich sąsiadów.

I stał tam jak wrośnięty w ziemię, niby to wytworny starszy pan w jasnej włoskiej panamie, w angielskim trenczu i w nowych szwajcarskich butach „Bally”, ale naprawdę to umorusany, mały żydowski chłopak w załatany paletku, wyświechtanej czapce, i mokrych, dziurawych bucikach, których ojciec nie ma czasu naprawić, bo musi zarobić kilka złotych na sobotnią rybę i chałę dla licznej rodziny.

– Wiadomo przecież, że syn szewca boso chodzi – żartuje ojciec na głos po żydowsku, a do ucha szepce mu po polsku – w niedzielę, w niedzielę zreperuję ci i będziesz miał buty jak nowe...

Ale niedzieli już nie było, bo w sobotę Niemcy zagnali na Bełzec wszystkich Żydów z miasteczka i tylko on jeden jedyny umknął do lasu, wdrapał się na najwyższe drzewo i tam przesiedział całą dobę, skostniały i głodny. A gdy zszedł, wydał go Niemcom gajowy za ćwiartkę wódki.

I nagle coś pękło w nim, rozerwało go na strzępy i załało wielką żałością i beznadziejną rozpaczą. I pomyślał przerażony, przeklinając samego siebie za tę myśl – więc możliwe, że gdyby nie ta wojna i to wszystko, co się stało, zostałby tu z nimi całe swoje życie i siedziałby dziś, jak kiedyś jego ojciec, na dziurawym, skórzanym zydelku, z ustami pełnymi gwoździ. Bez sinego numeru na przedramieniu, bez sześciu języków w krtani, bez floty okrętów, bez podróży po całej kuli

ziemskiej, bez nocnych koszmarów, które koją jedynie aksamitne ramiona i uda pachnących przygodnych kobiet. A może nawet bez tego złośliwego nowotworu w mózgu, który wkrótce wymaże mu bezlitośnie wszystko i wszystkich z pamięci i znów będą musieli umierać, ale już ich nikt więcej nie wskrzesi. I zaszlochało w nim słowami przeczytanego kiedyś wiersza:

*Do mego grobu zabiorę was wszystkich
i będziemy tam bardziej zmarli
My ofiary i ocalańcy tego gorzkiego
jak piołun dwudziestego wieku
i może wreszcie dotrzemy do
„Ciszy i przystani, Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani...”.*

1997

Irit AMIEL

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wiersze

Stanisław DŁUSKI

PODWÓRZA

Januszowi Szuberowi

Ciemne podwórza siwych ojców
wracają z podróży do nicości,
kałuże z resztką słońca, żółte

plamy porzucone przez
van Gogha, trawa święta jak
dłonie matek ofiarowane Bogu;

plecy domów zgarbione, dni
pogubione, a przecież w śniegu
wschodzą nasze kroki, jasne

podwórza wołają wygnańców,
kogut, ostatni Mohikanin,
ogłasza zwycięstwo życia

nad codzienną śmiercią kreta,
poszukiwacza piekła, górnika
naszej wygłodzonej ziemi,

naszej podwórkowej piosenki
o przerażeniu światem, czasem,
który łapie za gardło *chłopca*

mieszającego powidła, miesza
mu się dzień i noc, pamięć
tonie w alkoholach i kobietach;

ćma, zawsze wierna córka
ciemności, wypisuje bilet
wstępu do duszy domu.

29 grudnia 1998 r.

Stanisław DŁUSKI

Sylwia FROŁOW

MOJA DUSZA NIE MOJA

Tęskno mi...
dziwna tęsknota
bo jakże tu tęsknić
nie znając
tętentu kopyt woni ognisk
w mandżurskim stepie
płonącej złotem cerkwi
o zachodzie słońca
i tego języka
jak bajka w zamrożonej grudzie ziemi

Tęskno mi...
nie widząc
zapachu tajgi o zmierzchu
bagien nadwołżańskich jesienią
twarzy obrzmiałych
z syberiadą w oczach
dziwny ty narodzie!
z duszą gołębia w zranionym cielsku lwa
mniej w tobie sumienia
niż polskich dusz
kupionych w Kołymie!

jesteś moim nie moim
przeklętym prawidłem historii
ściskającym mocniej
z każdą kolejną łżą

i cenić ciebie trudno
jak trudno nie kochać

Tęskno mi...
Dostojewskim
nostalgia Czechowa Rublowem
w cerkiewnej desce
i zawsze po polsku
inaczej nie potrafię

Sylwia FROŁOW

Grzegorz WRÓBLEWSKI

WAŻNA WIADOMOŚĆ

Przechadzając się po lesie
spotkałem zmarłego przed laty
przyjaciela. Szedł cierpliwie za mną,
a kiedy odpoczywałem... on również
siadał na sąsiednim pniju. Nic nie mówił,
a ja o nic go nie zapytałem. Patrzyliśmy
sobie w oczy. Zupełnie jak dawniej. Potem
wróciłem do miasta i położyłem się spać.

Tamtej nocy zobaczyłem go znów.
Śniło mi się, że byliśmy w tym samym
lesie. I tak jak poprzednio o nic go nie
zapytałem. On też nic nie mówił.

Grzegorz WRÓBLEWSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i z Moskwy

I. PLANETA „KIEPKA”

Trudny wybór

„Kieпки lepiej nie ruszać...” Wadim Dubnow jest zastępcą naczelnego redaktora tygodnika *Nowoje Wremia*, jednego z bastionów demokracji rosyjskiej. Dubnow, na początek, „sprzedaje” mi bezpłatnie popularny skrót w obiegu w Moskwie na użytek zagranicznych gości. „W Rosji – mówi – mamy wybór między politykami przekupnymi, ale niekompetentnymi i politykami przekupnymi, ale kompetentnymi. „Kieпка należy do tej drugiej kategorii”. To – podkreśla Dubnow – „w Rosji się liczy”. I ciągnie: „Kieпка to postać złożona. Cynik, ale inteligentny i pragmatyczny. Chodzi po ziemi. To naturalnie także populistą, nacjonalistą pokrytą patriotyczną farbą, narobił np. mnóstwo szkody w swej kampanii antyukraińskiej rewindykując rosyjskość Krymu i Sewastopola. Ale ‘kieпка’ – ciągnie Dubnow – to równocześnie jedyny liczący się polityk w Rosji, który miał wystarczająco dużo wyobraźni i odwagi aby natychmiast i bez reszty potępić antysemitki bełkot Makaszowa i postawę jaką w obronie tego faszysty zajął szef partii komunistycznej Ziuganow...”

„Czy będzie pan głosować na Kiepkę?” Na razie – mówi Dubnow – Kieпка nie ma konkurenta. No, a gdyby Kieпка doszedł rzeczywiście do władzy, to nie obawiałby się pan trudności dla waszej gazety? Tak, to niewykluczone. Kieпка jest bardzo drażliwy na punkcie mediów. Do tej pory wygrał

już przeciw prasie ponad 40 procesów o zniesławienie. To niebezpieczny facet...

Tylko w Moskwie

„Wara od ‘kieпки’”... Sasza prawie krzyczy, odwraca oczy od kierownicy, mało nie spowodował wypadku. Jest kategoryczny. „Moja pensja, emerytura mojego ojca, zasiłek mojej żony są płacone regularnie, co do dnia. Tak się dzieje tylko w Moskwie i nigdzie indziej. Pensja? Śmieszne, 1300 rubli miesięcznie” (jakieś 60 dolarów z końcem stycznia 99). Sasza jest szoferem, pracuje w miejskim garażu, gdzie otrzymuje „komandirówkę” na każdą jazdę oddzielnie. Przy okazji każdego służbowego wyjazdu Sasza stara się, i na ogół mu się to udaje, zrobić jedną albo i dwie tury „na łebka”, „na swój rachunek”. W ten sposób (tak robią wszyscy) z łatwością podwaja swój miesięczny dochód. Ze mną jest łatwiej, pracuję „na akord”, na telefoniczne zamówienie, jest dokładny i uprzejmy, on i jego municypalna „Wołga” nigdy się nie spóźniają. „Mój szef – mówi Sasza – wie, że moja pensja nie wystarczy na życie. Dlatego patrzy przez palce, a nawet sam mi mówi, że mogę nie od razu wracać z komandirówki...” Szef jego szefa także o tym wie, i także patrzy przez palce. I szef szefa szefa Saszy także...

„Łebki” w Moskwie to więcej niż kwestia transportu i niż kwestia stopy życiowej Saszy. To także instytucja użyteczności publicznej a nawet pogotowie ratunkowe. Bez „Saszów”, pobyt i praca w Moskwie byłyby prawdziwym koszmarem. To istnienie Saszy i jego „Wołgi” pozwalają przezwyciężyć najstraszliwszą katastrofę stolicy Rosji jaką jest... błoto, najgorsze na świecie, najbardziej lepkie, mordercza mieszanina śmieci z ubiegłej wiosny z oliwą wyciekającą nawet na największym mrozie ze starych, nieszczelnych, źle konserwowanych diesli, wszystko razem związane topniejącym (akurat trafiłem na plus 2 stopnie) odwilżowym śniegiem. Nic się tej mazi nie oprze. „Może pan – mówi Sasza – założyć, nie tylko buty o grubej podeszwie, ale nawet... opony, ale błoto będzie mocniejsze. Nawet kieпка, chociaż się stara, sobie z nim nie radzi.” „Będziesz na niego głosować?” „Konieczno, a na kogo?”

Gambrinus

No, głosować przyjdzie na „kiepkę”, on pokazał co potrafi... Mark Rozowski to człowiek znany i popularny w Moskwie. Za granicą zresztą także. Twórca i dusza małego, ale słynnego teatru „U wrot Nikity”, w centrum stolicy, to prawdziwy człowiek-orkiestra. Dyrektor teatru, autor dramatyczny, grany za granicą (jedna z jego sztuk nie schodziła przez rok z afisza na Broadway'u), pisarz i kompozytor, układa melodie do swoich słów czy libretta... nie znając nut, a partytury pisze jego żona pianistka słuchając świetnie (absolutny słuch) śpiewającego męża. Chce jechać w tym roku do Polski z „Gambrinusem”, uroczym „musicalem” opartym na przeważnie żydowskim folklorze z Odessy sprzed 1905 roku (widziałem, polecam). Między teatrem a pisaniem, administracją i biurokracją, korespondencją (nie zna żadnego języka poza rosyjskim) z zagranicznymi impresariami, a życiem rodzinnym, Rozowski nie ma czasu do stracenia. A jednak spędził ze mną, przy – to prawda, świetnej kolacji w „Carskich łowach”, ultra-luksusowej restauracji (nie myśmy płacili, kiedyś tam Jelcyń zaprosił Chiraca) ponad 3 godziny, aby, między dowcipami a pierwszorzędnym „brifingiem” na temat polityki rosyjskiej, wytłumaczyć mi, że „Kieпка” robi to co mówi. „Kiedyś obiecał mi, publicznie, wobec zgromadzonych ludzi spektaklu, że da mi teatr, no i sam się pan przekonał, że dotrzymał słowa.”

Wieczór z Rozowskim był naprawdę uroczy, ciekawy, miejscami wzruszający, ale przede wszystkim inteligentny, taki, jaki wbrew opinii o generalnej degrengoladzie, można spędzić ciągle jeszcze w Moskwie jeżeli zna się właściwe adresy albo po prostu ma się szczęście spotkać właściwych ludzi. Kiedy, żegnając się późno w nocy, zacząłem mu dziękować, Rozowski powiedział: „Nie ma za co. Powiem panu prawdę. Nie bardzo wiedziałem po co proszono mnie o przyście tutaj dziś wieczorem. Nie żałuję, było przyjemnie i smacznie, ale zjawiłem się tu, bo 'kieпка' o to prosił. Jemu się takich drobnych gestów nie odmawia...”

Czapka...

„Kieпка” to więcej niż przezwisko. To znak władzy, to racja bytu, to popularne hasło i pełny program rządzenia. „Kieпка” to czapka. Ale nie byle jaka czapka. Czarna, ze skóry, to czapka najsłynniejsza, najgroźniejsza i najbardziej szanowana (wszystko jest względne) w Moskwie. Kieпка to zarówno czapka, która kryje łysą głowę Jurija Łużkowa, mera stolicy, ale równocześnie zewnętrzny, najbardziej znany, znak jego władzy i autorytetu. „Kieпка” to symbol. Któregoś dnia zastąpi Św. Jerzego na godle Moskwy.

Zaczął się w XII wieku kiedy to książę Jurij Dołgoruki wznosił pierwsze mury w miejscu, w którym można by dziś usytuować Kreml. Osiem wieków później, inny „książę”, też Jurij ale Łużkow, jest w trakcie burzenia wszystkich murów, które by mogły hamować rozwój stolicy. I jego własny rozwój też.

Dołgoruki, to znaczy książę „długa rączka”, co trafnie oddawało ambicje i apetyty średniowiecznego satrapy. Łużkow idzie dalej i lepiej. Ma nie tylko (bardzo) długie ręce i wielkie apetyty, ale i szybką myśl, ostry rozum, jest stanowczy (często brutalny), energiczny, chytry, inteligentny a przede wszystkim skuteczny. „Kieпка” to dziś prawie logo, znak firmowy, hasło zbiorcze, sztandar „nowego porządku” w Moskwie.

... czy korona?

„Kieпка” to w istocie nie czapka a korona. Moskwa nie ma magistratu, a ma rząd. Łużkow nie jest merem miasta, a jest prezydentem rządu moskiewskiego. Jego nowy zastępca, jeszcze jeden Jurij, Jastrzembski (gdzieś, w oddali, z polskiej rodziny), były rzecznik Borysa Jelcyna niedawno wylany z Kremla, który błyskawicznie się przeniósł z obecnego aparatu prezydenckiego do, jak sądzi, przyszłego aparatu prezydenckiego, nosi dumny tytuł nie wiceburmistrza, a wicepremiera Moskwy (właściwie jest ministrem spraw zagranicznych, odpowiedzialnym za *public relations* Łużkowa). Moskwa nie ma rady miejskiej, a ma parlament czyli Dumę. Wszystko się

zgadza, „normalka”: Moskwa to nie miasto, a nawet nie stolica. Moskwa to państwo. W państwie.

Moskwa, to jasne, ma także swój własny ustrój, zatruty jak wszędzie indziej, ale jednak inny od reszty Rosji. „Łużkowizm – powiada Dubnow – to reżym szczególny. Rodzaj autorytarnego socjalizmu, ale bez terroru, system przekupno-biurokratyczny, ale, i to jest właśnie różnica, skuteczny. Dla Łużkowa, ale i dla miasta”.

To widać...

Fasada, ale nie tylko...

Moskwa, miasto i stolica, nie istnieje. Na jej miejscu znajduje się „planeta Łużkowa”. Jeżeli pominąć błoto, takie same zapewne jak za rządów „długiej rączki”, to w ciągu kilku lat rządów Łużkowa Moskwa zmieniła się bardziej niż od czasu kniazia Dołgorukiego. To dziś światowa metropolia ozdobna we wszystkie jej powaby i szpetna wszystkimi jej wadami.

„Planeta” się kręci. Jej infrastruktura funkcjonuje. Telefony, niedawno jeszcze lokalny koszmar, dziś dzwonią i łączą. Formalności na lotnisku, kiedyś karawanseraj i postrach podróżnych, dziś są właściwie takie jak wszędzie. Są nawet tak-sówki, rzadkie, zapewne mafijne, i bardzo drogie (70 dolarów z Szeremietiewa do centrum), ale... są. Bruk wydaje się mniej niebezpieczny. Wszyscy są zgodni, że poziom bezpieczeństwa znacznie się poprawił. Można – powiadają – spacerować, nawet wieczorem, w centrum naturalnie. Ruch ogromny, jeden samochód na sześciu mieszkańców, na Moskwę za dużo, ale jaka radość i źródło utrzymania dla policjantów, którzy nakładają prawdziwy haracz, bez żadnego pretekstu, na każdy zatrzymany, najbardziej nawet niewinny, pojazd.

Ale przede wszystkim: światło. To prawdziwy szok dla podróżnych, którzy bywali tu dawniej. Moskwa jest oświetlona. Główne ulice, kiedyś ciemne, czarne wąwozy, to dziś ciągle jeszcze nie Champs Elysées, ale już wielkomiejskie arterie.

Naturalnie, nie bądźmy naiwni. Jest w tym dużo z fasady, wystarczy zajrzeć za bramę, do środka, na podwórze, na

klatkę schodową, aby dojrzeć makijaż, ale i stwierdzić, że ta fasada wytrzyma niejedną paradę. Ogromne centrum Moskwy to nie podróż z Potiemkinem, to wystawa i wyjazd do „państwa Łużkowa”. Wystawa, w zasadzie, na ile się dało, „etnicznie czysta”. Ponieważ sowiecka „propiska” czyli prawo pobytu w Moskwie, została zdelegalizowana jako niekonstytucyjna, to Łużkow obszedł Trybunał Konstytucyjny wprowadzając „registrację”, co w praktyce wychodzi na to samo. Wydaje ją naturalnie rząd Moskwy, bez niej, w zasadzie (są však łapówki) żaden niepożądany element (zwłaszcza biedny) nie znajdzie ani pracy ani mieszkania w stolicy.

„Ale – powiadam do Walerego Szencewa, ‘wicepremiera’ Moskwy, odpowiedzialnego za sprawy socjalne – to przecież gwałt na prawach człowieka”. „No, wie pan – udaje oburzenie ‘wicepremier’ – a czy ja nie muszę się rejestrować i wypełniać odpowiedniego formularza kiedy chcę zamieszkać w byle zachodnim hotelu?”

Hipokryzja to zasadnicza cecha funkcjonowania systemu Łużkowa. Średnia pensja w Rosji wynosi (chyba) ok. 30-40 dolarów, w Moskwie, według dumnej wypowiedzi Szencewa, sięga 50 do 70 dolarów. „No dobrze – pytam – ale jak można żyć za 50 dolarów miesięcznie?” „Ma pan rację – powiada ‘wicepremier’ – nie można. Ale u nas nikt nie żyje z oficjalnej pensji. Wszyscy kręcą i jakoś sobie radzą...”

No właśnie. I jeżeli są, naturalnie w Moskwie, ogromne przestrzenie biedy, a nawet nędzy (wystarczy zajrzeć na przedmieścia), to powszechne „kręcenie” jest zarazem jedną z metod ich łagodzenia i jedną z tajemnic obrotów „planety Łużkowa”. Praca na czarno czy na szaro, wielka sieć „jakiegoś sobie radzenia”, jest nie tylko tolerowana, ale w pewnym sensie chroniona przez władze, a zwłaszcza, to jest właśnie główne źródło jej korupcji, przez policję. O największym bazarze na świecie, to znaczy stadionie Łużniki w Moskwie, wypisano już tomy. A jednak zdębiałem. U wejścia na bazar kolega pokazał mi kobietę z workiem wypchanym papierowymi formularzami. Były to „towarnyje czek”, to znaczy po prostu formularze faktur *in blanco*, opatrzone autentycznymi pieczętkami przedsiębiorstw handlowych. Za 5 rubli od sztuki (*en gros* jest taniej) można nabyć dowód, że się legalnie nabyło właściwie wszystko, od lodówki po video i TV,

poprzez futro i mikro-piecyk, no i czapę futrzaną dla mnie (nurki syberyjskie – powiedziało blond dziewczę pokazując w szerokim uśmiechu nieodczowny złoty ząb) za 300 rubli czyli (w styczniu) 12 dolarów. W ten sposób legalizowany jest zakup ogromnej ilości towarów produkowanych na czarno, pochodzących z przemytu lub wprost z kradzieży. *Towarnyje czek*i zachwalała ostrym krzykiem baba o 3 metry od policjanta. Kupiłem dwa, są do wglądu. „Skąd je masz” – zacząłem pytać. – „Kupuj i nie gadaj za dużo” – odpowiedziała przy wyraźnej aprobachie policjanta...

Inna tajemnica „planety” to umiejętnie stosowana zasada podziału. Jest to naturalnie system arbitralny, selektywny (dla każdego według zasług i według uznania (Łużkow wie *who is who*), ale wynik jest bezdyskusyjny. Jeżeli chodzi o skromnych obywateli, to tylko właściwie w Moskwie pobory i renty wypłacane są regularnie i punktualnie a najniższe emerytury (to eufemizm) uzupełniane są z kasy miasta, gdzie jeżeli nauczyciele strajkują to... na znak solidarności z kolegami z prowincji, którzy swoich poborów nie widzieli od miesięcy.

„Gum” pod ziemią

Łużkow zadbał również o moskwičan o gustach, potrzebach i zasobach, ciągle, mimo kryzysu, bardziej wyrażonych. Zbudował, w sercu Moskwy, pod placem Ma-neżu, na kilku podziemnych piętrach, „Ochotnyj Rad” (był tam kiedyś bazar o takiej nazwie), gigantyczne, w okropnym guście, ale za to drogie (skromnie licząc 150 milionów dolarów), centrum handlowe, coś w rodzaju amerykańskiego „mall” (*toutes proportions gardées*). Jest to konkurencja dla nadziemnego GUM-u, też seria „butików”, chaotyczne pomieszanie najlepszych firm zachodnich z najgorszymi knotami i falsyfikatami.

Jasne, i tu na Twerskiej widać dziś kryzys, jest więcej sprzedawców czy raczej sprzedawczyń (na ogół piękne dziewczęta) i ochroniarzy niż kupujących. Jasne także, to już nie te czasy, trzeba, jak tu powiadają, wrócić do tradycji: zamiast, jak jeszcze niedawno, szampan za 1.000 dolarów butelka, dziś zwołuje się dziesięciu kumpli po litrze „Stolicznej” na głowę.

Łza się w oku kręci: przed „czarnym sierpniem” (dewaluacja i bankructwa latem ub. roku) można było za 15.000 dolarów zażądać i załatwić wygaszenie świateł w całym *night*-klubie do białego rana, a za 20.000 „zwolnienie” ze służby (na 24 godziny) całego personelu żeńskiego, dziś już tak nie można.

Ale nie rozpaczajmy, interes „się kręci”. Kiedyś na pytanie w recepcji hotelu: gdzie tu jest najbliższa dyskoteka, odpowiedź brzmiała: W Helsinkach, proszę pana. Dziś jest 300 „lokal”, można odbyć pielgrzymkę do „Utopii”, do „Rasputina”, wstępując po drodze do... „Titanika”, płacąc „na bramce” za wejście 70, a za kieliszek złego wina 50 dolców. I starczy jeszcze w Moskwie dawniej nagromadzonych, i za granicą ulokowanych, pieniędzy aby wypełnić choćby kasyno w bardzo wygodnym i bardzo drogim hotelu „National”. Wypełnić, naturalnie, Rosjanami w towarzystwie bardzo eleganckich pań. W ów wieczór jedynym obcym w kasynie był zagraniczny dziennikarz pchany bardziej zawodową ciekawością niż żądzą hazardu.

Niczewo, nie tylko kasyno jest zrusyfikowane. Kiedy McDonald’s za bardzo się rozpasał i zaczął wpływać nie tylko na przewód pokarmowy, ale także duchowy Rosjan, Łużkow stworzył „Bistro”, także *fast-food*, także zły, ale za to tańszy i... rosyjski.

Dusza „kiepki”

Rosyjska także i to jak! – jest katedra Chrystusa Zbawiciela. Odbudowywana jest na tym samym (ale jakże ulepszonym) miejscu, na którym stała kiedy Stalin kazał ją zniszczyć aby zbudować tam „Dom Sowietów”, faraoniczny, obłąkany projekt, na szczęście poniechany, i gdzie Chruszczow kazał zbudować basen kąpielowy.

W Moskwie, sięgam po odwagę i pytam w czasie krótkiej wizyty po kolosalnym, już pod dachem i w części już gotowym placu budowy: „nie brak świątyń, czy nie macie pilniejszych potrzeb? Ile kosztuje odbudowa katedry?” Nasz przewodnik, sam, osobiście, Andriej Moroz, naczelny dyrektor kolosalnego przedsiębiorstwa, które odbudowuje katedrę i wykonuje większość wielkich robót dla „rządu” Moskwy,

pytanie, zabrzmiało niemal jak bluźnierstwo. „Kosztu nie da się obliczyć – powiada – bo cały szereg elementów (marmury itp.) pochodzi z zagranicy, a dolar, jak panu wiadomo, ciągle się rusza”. Ale przede wszystkim, domyślam się z długiej tyrady dyrektora, dusza rosyjska nie ma ceny i gaspadin Łużkow dobrze to rozumie... Na tym pan Moroz musiał skończyć i wizytę przerwać. Spieszył się na otwarcie nowego hotelu sieci „Marriota”, który też on budował i też dla magistratu. „Gościem honorowym – powiada pan Moroz – jest Jurij Łużkow, muszę zdążyć przed nim. Pan rozumie...”

Jasne, że rozumiem...

Kto za to płaci?

Kto to wszystko finansuje? „Pytanie źle sformułowane – odpowiada fachowiec – bo płaci oczywiście Łużkow. Prawidłowe pytanie brzmi, skąd Łużkow bierze pieniądze, kto i jak finansuje ‘planetę’?” Pytań jest dużo. W jakiś sposób Łużkow potrafił w czasie i po kryzysie zapewnić zaopatrzenie jedenastu milionów mieszkańców Moskwy, kiedy prowincja stała w obliczu podstawowych braków? Jak jemu udało się ograniczyć zwyczaj cen po załamaniu się rynku? Co sprawiło, że Łużkow doprowadził do zmniejszenia przestępczości w tak zdeprawowanym mieście jak Moskwa? To prawda, że żadne wielkie przestępstwo, że żadne z licznych zabójstw na zamówienie nie zostało wyjaśnione, ani żaden z jego wykonawców nie został skazany, ale moi rozmówcy są zgodni: czują się dziś w Moskwie znacznie bezpieczniej niż dawniej. Jakim cudem, kiedy rząd Rosji bankrutuje, rząd Moskwy oznajmia, że płaci wszystkie swe zagraniczne długi na czas i bez reszty? Krótko mówiąc, skąd Łużkow bierze pieniądze, kto za to płaci?

Odpowiedź jest prosta: wszyscy płacą, każdy obywatel, każdy sklepik, każde przedsiębiorstwo, każdy przedsiębiorca, każdy inwestor, także, jeżeli nie zwłaszcza... zagraniczny.

Moskwa to nie tylko państwo w państwie, to także ogromny prywatno-publiczny *holding* z Łużkowem jako zarówno dyrektorem generalnym co głównym inwestorem, a także – twierdzą tzw. dobre źródła – akcjonariuszem.

Narodziny planety

Praktycznie biorąc, planeta Łużkowa pojawiła się na firmamencie Rosji gdzieś w lutym 1995. Rząd Moskwy był wówczas właścicielem 2/3 zasobów nieruchomości stolicy. Wtedy właśnie, po 18-miesięcznej wyniszczającej (nerwy) wojnie przeciw ówczesnym reformatorom, głównie Czubaj-sowi (panowie ciągle się nienawidzą i tego nie kryją) – Łużkow przekonał Jelcyna, którego wówczas popierał w niepewnej drodze po drugi mandat prezydencki – aby Moskwę wyłączyć z monopolu rządowego i dać jej prawo ustanawiania własnych reguł (i cen) prywatyzacji. Tego dnia narodziła się „Moskwa Inc.”. Łużkow położył rękę na ogromnym bogactwie. Będzie starczać na wszystko. Jak Chicago pod słynnym bossem Ryszardem Daley’em, Moskwa pod Łużkowem „będzie miastem, które funkcjonuje”. I tak jak w Chicago, nie święci, wprost przeciwnie, ulepią współczesną Moskwę, zbudują wspólne i swoje indywidualne bogactwo i władzę.

Glasnost’ to pojęcie w Moskwie nieznane. Ogromne operacje finansowe, nikt nie zna całej prawdy, ocierają się, z reguły, o szarą strefę, często, jak twierdzą, o cień mafii. Pieniądz nie tylko nie ma zapachu, ale także koloru, ani – to główne – bardzo często adresu.

Sekret jest jednak pozorny. Łużkow jako burmistrz jest, praktycznie biorąc, udziałowcem w całej działalności gospodarczej stolicy. Łużkow dokonał syntezy mało subtelnej, ale wysoce dochodowej, polityki, biznesu i mediów, stworzył unię personalną między bossem politycznym i prywatnym biznesmenem. „W Moskwie – powiada do mnie fachowiec – trzeba mieć dwie nogi dobrze ułożone: jedną w biznesie, drugą w administracji.” To nie jest tajemnicą, inwestorzy, rosyjscy i zagraniczni, właściciele małej knajpy czy przedstawiciele wielkiego koncernu, świetnie się orientują. Mają wybór: albo zaakceptować jakąś, ale konkretną, formę udziału „rządu” Moskwy w przedsiębiorstwie, albo zrazić sobie „rząd”, to znaczy napotkać na drodze swojego zamierzenia trudności, biurokratyczne lub własnościowe, właściwie nie do pokonania. To samo, w innej skali, dotyczy „filantropii” Łużkowa. Jego najróżniejsze projekty, z katedrą włącznie,

finansowane są m.in. drogą dobrowolnych naturalnie darów prywatnych dobroczyńców.

To nie wielka sztuka. Łużkow osiąga to bez większych trudności. 80 procent całego kapitału prywatnego w Rosji skoncentrowanych jest w Moskwie. 70 procent zagranicznych inwestycji także. To naturalnie oznacza wyjątkowe nagromadzenie instytucji finansowych czyli głównie banków, potrzebnych do obsługi tej masy kapitałowej. „Bankierzy są jak pszczołki – mówi Łużkow, z pieśczętą w głosie, do dziennikarzy zagranicznych – stale szukają najsmaczniejszych źródeł. Nam udało się ich przekonać, że właśnie w Moskwie znajdują to, czego szukają...”

I rzeczywiście. Mimo kasy kryzysu, w Moskwie ciągle pieniądź „się kręci”. I mimo ogromnego spadku rubla (od 6 w sierpniu 98 spadł w styczniu 99 do 23 za jednego zielonego), Moskwa, tańsza dla Rosjanina z dolarami, jest ciągle horrendalnie droga dla obcokrajowca, turysty czy przedsiębiorcy, zwłaszcza dla tych, którzy zmuszeni są mieszkać w hotelu, a jadać w restauracji. Obroty dolarami są oficjalnie zabronione, ale *obmien waluty* jest na każdym kroku, a ceny, tu wracamy do hipokryzji, kalkulowane w „jednostkach” równych... dolarowi.

Są, te ceny, okropne. W „Carskich Łowach” czy innych podobnych, trzeba liczyć po 100 dolarów na twarz za dobrą kolację przy skromnym akompaniamencie alkoholu... W nowym „Mariocie” idziemy w świecie „premiera” Łużkowa, w tłumie „całej” śmietanki Moskwy, w blasku fleszów i szumie kilkunastu kamer telewizji, na zwiedzanie pałacu. Prawdziwe pięć gwiazdek. „Ile za noc?” – nieśmiało pytam. – „Począwszy od 300 dolarów – odpowiada człowiek – ale proszę się nie niepokoić – dodaje, kiedy widzi, że mi mina rzednie – mamy także apartamenty po 500.” Uff...

„Dlaczego – pytam Jastrzebskiego – narzucacie tak kolosalne ceny? „A dlaczego nie – odpowiada – skoro je płacie. To przecież, drogi panie, prawo popytu i podaży. Gospodarka rynkowa, nieprawdaż, przecież od was się jej nauczyliśmy...” Nauczyli, rzeczywiście. Lekcję pojęli, lepiej niż ktokolwiek inny.

„Systema”

Łużkow potrafił „uelastyczyć” linię dzielącą interes prywatny od interesu publicznego. Po wojnie z reformatorami o prywatyzację Moskwy, wygrał wojnę z „oligarchami”, „baronami” finansów, bankierami i inwestorami, o podział łupów. Dziś, jak mi tłumaczą, panuje „pokój wspólników”, rozejm łupieżców, coś w rodzaju, zapewne prowizorycznej, „wspólnoty interesów”.

Wynik? Łużkow stoi dzisiaj na czele prawdziwego imperium, swoistego „państwa wirtualnego” w sercu Rosji, jest niekwestionowanym szefem (bardzo nie lubi kiedy któryś z jego współpracowników nieopatrznie wysunie się zbyt daleko do przodu) potężnej sieci politycznej (ma już swą partię „Ojczyzna”), finansowej (ma swój bank), mediatycznej (kontroluje kanał telewizyjny, pięć stacji radiowych, kilka gazet, a nawet, to przydaje blasku, *Literaturnoją Gazietę*).

Czy kogoś interesuje definicja „ideologiczna”? Proszę bardzo: to, wbrew pozorom, nie jest „rakiet”, wymuszenie na ogromną skalę, to się nazywa albo „trzecią drogą”, albo „kapitalizmem z rynkiem kontrolowanym przez „rząd” i ubezpieczającą siatką socjalną”, albo „socjalizmem municipalnym”, albo po prostu „systemem”.

Systema, to właśnie nazwa *holdingu* prywatnego, który, jak wszystko na to wskazuje, stanowi podstawowy, główny instrument „trzeciej drogi”, czyli kapitalistycznego zarządzania przez „rząd” majątkiem stolicy. I władzy Łużkowa.

Systema, 1,5 (oficjalnie) miliarda dolarów obrotów rocznie, kontroluje ponad 200 przedsiębiorstw: nieruchomości naturalnie, ale także nowa technologia, telekomunikacja (*joint-venture* z Motorolą, Ericsonem itd.), banki, turystyka, rafinerie, budownictwo, prasa... *Systema* pracuje w prawdziwej symbiozie z „rządem” Moskwy, otrzymuje kredyty z miasta i finansuje, odwrotną drogą, jego projekty. „Sprzedajemy np. naftę zagranicą, sprowadzamy dobra konsumpcyjne i zarabiamy ponad 100 procent” – powiada nie chwaląc się jeden z dyrektorów.

Systema wygrała właśnie konkurs na prywatyzację jednej czwartej moskiewskiej sieci telefonicznej, bagatela, 4 miliony

linii, piątej sieci na świecie. Teraz (w styczniu) *Systema* czekała na ważną decyzję magistratu: ustalenie nareszcie taryfy połączeń telefonicznych.

Dyrektor generalny *Systemy* nazywa się Władimir Jewtuszenkow. Były wysoki urzędnik magistratu, dziś najbliższy doradca Łużkowa, Jewtuszenkow żonaty jest z siostrą żony „premiera”. Która to żona, Elena Baturina, jest dyrektorem „Inteko”, przedsiębiorstwa budowlanego, pracującego głównie na potrzeby... Moskwy.

Miasto Moskwa otrzymało właśnie 500 milionów dolarów kredytu na Zachodzie. Przeznaczone są na inwestycje w stolicy a rozproszdzone zostaną przez specjalną komisję. Jednym z jej 24 członków jest pan Jewtuszenkow. Przewodniczy natomiast pan Łużkow...

„Ile wynosi pańska pensja?” – pytamy Łużkowa. „7000 rubli miesięcznie – odpowiada wcale nie zażenowany niedelikatnym pytaniem – ale żona ma swój biznes, więc żyjemy wygodnie.”

Przedni napęd

„Planeta Łużkowa” jest już więc w ruchu. Ale po co? Aby zostać na stacjonarnej orbicie? Na pewno nie. Jest w ruchu po to aby wznieść się z orbity Moskwy na orbitę Rosji, a potem wylądować na, albo raczej w, Kremlu.

Łużkow nadal, ciągle jeszcze (w styczniu) neguje, że jest kandydatem na kandydata. Nie chce, naturalnie, to dobry gracz, rozpętać kampanii prezydenckiej za wcześnie. Ale, także naturalnie, musi być gotowy na wszelki wypadek i na wszelką okoliczność (lichy, np. Lebień, nie śpi), na wypadek gdyby kampania wybuchła już jutro...

Ma już, to wiemy, swoją partię polityczną, przysłą bazę i przysły aparat. „Ojczyzna” Łużkowa, określona przez niego jako „centrum” (wszyscy są teraz w centrum Rosji) ściągą rozmaitego koloru niezadowolonych, rozczarowanych przez inne grupy i organizacje, a przede wszystkim słabych i zdeorientowanych, a także zawodowych oportunistów rozglądających się za „mocnym człowiekiem”. Ma także, to już widzieliśmy, mocne instrumenty finansowe i prasowo-propa-

gandowe, bez których żadna kampania nie ma szans. Jest otoczony grupą zdolnych i wykształconych ludzi, sceptyków, albo gorzej, bo cyników pozbawionych, jak wszyscy dziś ambitni politycy w Rosji, wszelkiej ideologii, a kierujących się interesem własnym ich kasty, który nieraz, to nie paradoks, zgodny jest z uwagi na ich pragmatyzm, z interesem państwa.

Ekipa Łużkowa polepsza się w miarę jak doświadczeni aparatczycy wysokiego szczebla, tacy właśnie jak Jastrzembski lub Kokoszyn, dawne gwiazdy Jelcyna, odpadają albo wyrzucani są poza Kreml.

Łużkow to umiarkowany populistą i samoograniczający się imperialista. On wie, a jak nie wie, to inni mu powiedzą, jak zrobić żeby nie pójść za daleko. Nie wahał się ani nie czekał na nikogo, aby potępić antysemicki bełkot Makaszowa i (może prowizorycznie) wykluczyć wszelki sojusz z komunistami, chociaż Ziuganow się do niego niedwuznacznie umizgiwał. Ale też wskoczył przy pierwszej okazji na konia wielko-rosyjskiego, rewindykując Sewastopol, pod bełkotliwym argumentem prawnym (że niby Chruszczow darowując Krym Ukraińcom nie wymienił *explicité* Sewastopola) idąc z odsieczą Rosjanom na Krymie i na Łotwie, i zalecając – skutecznie! – bojkot łotewskich towarów w Moskwie.

Łużkow jest też (chyba tylko pozornie) zwolennikiem unii z Białorusią. Zapytałem Jastrzembskiego, który gorąco bronił tej kazirodczej miłości, czy Łużkow nie ryzykuje zbyt wiele afiszując swe uczucia dla skompromitowanego i absolutnie nie *salon-fahig* Łukaszenki. Jastrzembski spojrzał na mnie zdziwiony i słodko zapytał: „A czy może nam pan zaproponować innego Łukaszenkę?”

Łużkow jest także człowiekiem uwolnionym od wszelkiego długu wdzięczności czy lojalności wobec Jelcyna. Łużkow był u boku Jelcyna w czasie puczu w roku 1991, nie opuścił go podczas egzekucji Sowietu w 1993 roku i pomógł mu wygrać beznadziejne, wydawało się na początku, wybory prezydenckie w 1996 roku. Dziś Łużkow jest zdania, że stan Rosji wymaga obecności na Kremlu pełnosprawnego szefa, zdolnego do podjęcia ważnych i szybkich decyzji i że – on tego nie kryje – chory, niesprawny fizycznie i intelektualnie, nieobecny prezydent, takiej definicji nie odpowiada. Łużkow

nie mówi wprost, jest na to za ostrożny, że Jelcyn powinien ustąpić. Ale jest czujny...

Albowiem kampania wyborcza jest już w toku. Wśród przyjaciół i propagandystów Łużkowa figuruje, na dobrym miejscu, niejaki Jossif Kobzon, popularny śpiewak, taki, kwestia wyobraźni, rosyjski, powiadają, Sinatra (choćby z uwagi, dodają, na powiązania z mafią). Otóż ten czcigodny człowiek powiedział: „Próbowaliśmy już wszystkiego, przymierzaliśmy się do najróżniejszych narzeczonych. Pozostał tylko Łużkow. Nasza partia powinna się nazywać nie 'Ojczyzna' a 'Ostatnia szansa'.” Tak myśli w Moskwie bardzo wielu ludzi. Główna misja Kobzonów i Jastrzembskich polega teraz na tym aby przekonać o tym także ludzi z prowincji.

Ostatnia prosta

Na dzień dzisiejszy Łużkow ma tylko dwóch potencjalnych konkurentów. Pierwszy, generał Lebed', ma z każdym dniem coraz mniejsze szanse. Gubernatorstwo Krasnojarska – w wykonaniu Lebedia, złego administratora i jeszcze gorszego psychologa – okazuje się być, wbrew oczekiwaniom jego ekipy, nie tyle trampoliną na Kreml, co windą na szafot.

Drugi, poważniejszy, to obecny premier Primakow. On także nie przestaje powtarzać, że nie jest kandydatem na żaden urząd, że jest stary (68 lat) i słabowity (to prawda). No ale, jeżeli ojczyzna wezwie?! Tym bardziej, że wszystkie ostatnie sondaże wskazują Primakowa jako zwycięzcę w każdej możliwej konfiguracji przeciw każdemu kandydatowi.

Jak wielka musi być tęsknota Rosjan za kimś obliczalnym, kimś stabilizującym choćby pozornie, bo przecież obecny premier niczego nie załatwił, niczego jeszcze nie dokonał, jeżeli taką popularność zyskał sobie wysłużony aparaczyk komunistyczny, weteran służb specjalnych, szef szpiegów i do tego pozbawiony, poza organami, jakiegokolwiek bazy, a przede wszystkim choćby cienia charyzmy, nie wspominając już o podejrzeniach co do nieczystego pochodzenia...

Łużkow to wszystko wie. Śledzi wydarzenia, rejestruje zawiązujące się sojusze i spiski. I bardzo uważa na zakrętach. On, lepiej od innych, zna Jelcyna. Wie, że to człowiek mści-

wy i nieprzewidywalny, że to „wańka-wstańka”, że zmartwychwstał już wiele razy, i że dopóki oddycha, to nie tylko władzy nie wypuści, ale potrafi z niej zrobić użytek. A dopóki oddycha, to władzę ma ogromną. Łużkow się zgadza z Jawlinskim, ewentualnym sojusznikiem, młodym i ambitnym szefem reformatorskiego ale anty-jelcynowskiego „Jabloka”. Otóż Jawlinski skierował do wszystkich niecierpliwych kandydatów do sukcesji bardzo przytomne ostrzeżenie. Uważajcie, powiedział Jawlinski, nie spieszcie się z pogrzebem Jelcyna. On jeszcze zdąży złapać grypę na waszych pogrzebach...

Łużkow ma doradców, akolitów, współników, klientów, ma siatkę propagandową i skarb wyborczy, ale nie ma programu prezydenckiego. Na razie cały program Łużkowa to jeden model i jeden slogan. Model, to naturalnie „planeta Łużkowa”. To brzmi dumnie, ale absolutnie nie nadaje się do zastosowania poza Moskwą, w głębokiej Rosji, gdzie, nie mówiąc już o bardzo specyficzno-moskiewskiej stronie praktycznej, ludzie Moskwy nienawidzą i jej nie ufają.

Slogan wyborczy Łużkowa to właściwie dowcip. Borys Jelcyn – opowiadają chętnie w otoczeniu Łużkowa – posiada najbogatszą na świecie kolekcję rękawic. Tych, które pod jego adresem bez przerwy ktoś rzuca, a które on podnosi tylko w celu kolekcjonerstwa.

W wyborczym roku 2000 Łużkow będzie miał 64 lata. Czy on będzie w stanie podjąć te wszystkie rękawice, które czekają na niego w gabinecie na Kremlu? Przyszłość Rosji zależy być może od odpowiedzi na to pytanie.

II. JURIJ LEWADA

Kłeska nie wystarczy. Potrzeba także nadziei.

Z głową nabitą rozmowami, oskrzelami zżeranymi grypą, nogami przemoczonymi w moskiewskim błocie, wyładowałem, aby jakoś to wszystko uporządkować, w biurze Jurija (jeszcze jeden) Lewady, dyrektora rosyjskiego centrum badania opinii publicznej. Skrzyżowanie Rabelais'ego z Sacharowem, Lewada ma na wszystko odpowiedź. Ostrożną i mądrą.

Koniec Jelcyna?

Leopold UNGER: – *Moi rozmówcy uważają, że to koniec Jelcyna...*

Jurij LEWADA: – Koniec? To zależy co kto pod tym słowem rozumie. Politycznie biorąc, Jelcyn „leży” od sierpnia ub. roku.

L.U.: – *Od dewaluacji, którą dementował jeszcze w przeddzień jej ogłoszenia?*

J.L.: – Nie tylko przez dewaluację. Kryzys był nie tylko finansowy. Koniec ery (jeszcze nie władzy) Jelcyna nastąpił w dniu, kiedy po przegranej z Dumą bitwie o premierostwo Czernomyrdina, prezydent zrozumiał, że po raz pierwszy od wyboru, nie kontroluje już kraju, nie może robić co mu się zachciewa ani wobec rządu, ani wobec opinii publicznej...

L.U.: – *Chodzi o desygnację Primakowa?*

J.L.: – Naturalnie. Jelcyn nie chciał Primakowa, został mu narzucony przez koalicję jego przeciwników. To prawdziwy symbol.

L.U.: – *Przecież Primakow to starszy, schorowany jego-mość, pozbawiony zupełnie nie tylko charyzmy, ale i dynamiki...*

J.L.: – W oczach naszych polityków, to są właśnie jego zalety. Brak dynamiki, to zaleta podstawowa. Jego spokój i flegma, jego (pozorny?) brak ambicji zjednały mu konsensus całej klasy politycznej. To symbol kompromisu. Wszystko to razem stanowi dokładne przeciwieństwo charakteru Jelcyna. Pogromca komunizmu, Jelcyn jest dobry tylko w warunkach konfliktu, intrygi czy spisku, zawsze potrzebował przeciwnika. To wszystko zakładało dogmat o absolutnej wolności desygnowania premiera. Tym razem musiał jednak zaakceptować cudzy wybór.

L.U.: – *Ale to przecież sprawa nie jednego człowieka, a całej Rosji.*

J.L.: – Po raz pierwszy Jelcyn, który zawsze ustawiał siebie ponad partiami, rozumiał, że jest więźniem systemu, którego ani on, ani jego ludzie, nie wymyślili. Jelcyn może, naturalnie, zgodnie z jego konstytucyjnymi prerogatywami, wyrzucić Primakowa tak jak wyrzucił np. Kirienkę czy Czernomyrdina. Ale to teoria. Jelcyn rozumiał, że pierwszy raz jest na to za słaby, że już nie decyduje o tym kto rośnie, a kto pada, że to nie on decyduje już o pogodzie w Rosji. Gdyby Jelcyn dziś startował w wyborach otrzymałby 2-3% głosów...

L.U.: – *Kto będzie opłakiwać Jelcyna?*

J.L.: – To nie ma żadnego znaczenia. Ważne kto i dlaczego będzie się obawiać *the day after*, następnego dnia po pogrzebie, dosłownie lub w przenośni. Jak się zachowa wojsko, oligarchia finansowa, ile miliardów dolarów wypłynie za granicę. Nasze badania przynoszą paradoksalne wyniki. Wynika z nich, że ogromna większość Rosjan chciałaby dymisji Jelcyna i natychmiastowych wyborów, podczas kiedy nasza klasa polityczna wcale się do tego nie spieszy. Wczesne odejście Jelcyna spowodować by mogło chaotyczną bójkę między poszczególnymi kandydatami, Łużkowem, Lebiediem, nawet Primakowem gdyby jednak... Otóż, oni do takiego starcia nie są gotowi. Dlatego są tak wierni konstytucji i przewidzianym datom wyborów. Wolą prezydenta słabego niż chaos.

Odwrotu nie ma

L.U.: – *Ale czy słaby prezydent nie otwiera drzwi przed samozwańcami i demagogami, prorokami „dwóch kroków do tyłu”?*

J.L.: – Jeżeli ma Pan na myśli powrót do komunizmu, to jest to wykluczone.

L.U.: – *Ale to przecież pańskie badania wskazują na obecność mocnego procentu ludzi tęskniących do ZSSR...*

J.L.: – To tęsknota, że tak powiem, demonstracyjna, bierna.

Jest dużo nostalgii, ale mało złudzeń co do możliwości powrotu do modelu sowieckiego. Nostalgia zresztą jest zrozumiała. Pamięć ma tendencję optymistyczną. Dla górnika, nie mówiąc już o rencistach, gdzieś na Syberii, którzy pamiętają komunistyczną małą, biedną ale jednak stabilizację, a są dziś pozbawieni pensji od miesięcy, a czasem od lat, uzyskana (a nie odzyskana, on jej nigdy nie miał) wolność czy dostęp do niezależnej prasy, nie mają właściwie sensu jeżeli nie służą, a w jego przekonaniu nie służą, poprawie okropnych często warunków bytu. Komunistyczny system gospodarczy był obłędny i samobójczy, ale był. Dziś nie ma żadnego systemu. Rosji grozi chaos.

L.U.: – *A jednak przecież się kręci. Nikt nie umiera z głodu.*

J.L.: – Co Pan o tym może wiedzieć! Niech Pan się ruszy poza Moskwę. Napotka Pan prawdziwą nędzę. Jasne, jakoś, jak Pan mówi, się kręci, jest wielka strefa gospodarki szarej i czarnej. Ludzie żyją, ale przecież to „kręcenie się” odbiera państwu wpływy z podatków, co stanowi jedną z przyczyn bankructwa Rosji. Był Pan na Łużnikach, tak wygląda rosyjski kapitalizm...

L.U.: – *...tak wyglądały wszystkie początki kapitalizmu. Co nie przeszkadza tym nowym kapitalistom żałować imperium i statusu superpotęgi. Byliśmy, powiadają, panami połowy Europy, a teraz...*

J.L.: – To żal pusty, ale zrozumiały. Upadek imperium to był prawdziwy szok. Dziś jednak ciężar życia codziennego, jego trudności są tak wielkie, że ogromna większość ludzi w ogóle nie myśli w kategoriach imperialnych czy sowieckich. Rosyjska, nazwijmy ją, elita polityczna, z małymi, koniunkturalnymi z reguły, np. komunistycznymi wyjątkami, jest zdecydowanie anty-imperialistyczna. Ona zna koszt imperium...

L.U.: – *To dlaczego podniósł się taki krzyk i wołanie o zdradzie po wejściu Polski, Węgier i Czech od NATO?*

J.L.: – Kogo to obchodzi? Krzyk podniosła grupka zawodowych polityków. Normalni ludzie mają inne zmartwienia...

L.U.: – *W sprawie Ukrainy ludzi normalnych jest w Rosji znacznie mniej. Większość ciągle jest zdania, że chodzi tu o „niepodległość tylko prowizoryczną”.*

J.L.: – Coś w tym jest. Niektórzy ciągle odczuwają upokorzenie kiedy muszą przekraczać jakieś granice jadąc na ukraiński Krym czy do Kaliningradu. Nie należy zapominać, że Rosjanie mogli poruszać się swobodnie po całym obszarze byłego Związku Sowieckiego. W Europie jest to zjawisko normalne, wpisane w praktykę społeczeństwa demokratycznego. W ZSSR była to natomiast jedna z bardzo nielicznych wolności, z jakich (mimo wszystkich ograniczeń) korzystać mogli obywatele totalitarnego państwa.

L.U.: – *A Wspólnota Niepodległych Państw (WNP)?*

J.L.: – To bankructwo i fikcja. Pusty slogan. Nawet z Białorusią prawdziwa unia jest nierealna. Miłość Jelcyna i Łukaszenki to farsa i propaganda, nie wiadomo zresztą czego.

Nacjonalizm zwyciężonych

L.U.: – *Ale nacjonalizm się opłaca. Wszyscy się nim posługują.*

J.L.: – To prawda, opłaca się. To normalne w zwyciężonym kraju.

L.U.: – *Rosja nie jest zwyciężonym krajem...*

J.L.: – Jest, naturalnie. Przegrała zimną wojnę. I szerzej, w skali wieku, Rosja jest krajem, można tak powiedzieć, bardzo zwyciężonym: bolszewicki pucz 1917 roku, 70 lat komunizmu, no i 10 prawie lat rosyjskiego, wyjątkowo niszczącego, wydania kapitalizmu. Razem, to wielka klęska naszego narodu. Jakaś nośność nacjonalistycznych haseł jest w tych warunkach zrozumiała.

L.U.: – *I to właśnie miałoby tłumaczyć aktualną ofensywę w Rosji antysemityzmu w dość nazistowskiej, choć na razie słownej tylko, wersji?*

J.L.: – Antysemityzmu w Rosji nigdy, pod wszystkimi reżymami, nie brakło. Wystarczy przypomnieć pogromy pod caratem czy krwawą paranoję antysemicką Stalina, kosmopolityzm, „spisek lekarzy” itp. Dzisiejszy antysemityzm jest, w jego wersji nacjonal-komunistycznej, wyjątkowo idiotyczny, ale nie jest, jakby to określić, „wybuchowy”. Nasze badania, wielokrotnie powtarzane i sprawdzane, wskazują, że „tylko” 12 do 15 procent ludności określa się jako niewątpliwie antysemickie. Naszym zdaniem, antysemityzm nie stanowi dziś w Rosji zjawiska masowego. Ma, moim zdaniem, mniejszy zasięg niż w Polsce, mimo, iż tam Żydów praktycznie nie ma.

L.U.: – *Do kogo zwracają się więc panowie Makaszow i inni, którzy proklamują konieczność wyeliminowania Żydów jako odpowiedzialnych za „ludobójstwo narodu rosyjskiego” i za katastrofę Rosji w ogóle?*

J.L.: – Wypowiedzi Makaszowa i innych to prawdziwy skandal i wyjątkowy idiotyzm. Podjęliśmy delikatną i niełatwą, ale, moim zdaniem, wiarygodną próbę zbadania ich odbicia w społeczeństwie. Wynik mnie nie zdziwił. 15% popiera Makaszowa i jemu podobnych, 25% nie popiera go, ale też nie przywiązuje do jego „tez” żadnego znaczenia i nie uważa, że można tu mówić o przestępstwie, 35% zdecydowanie potępia „makaszowizm” i uważa, że chodzi tu o przestępstwo, reszta jest zwyczajnie obojętna.

Milczące elity

L.U.: – *A dlaczego tych 35% w ogóle nie słychać?*

J.L.: – To jest właśnie rosyjski problem. Jestem przekonany, że w łonie elity, tego co my określamy jako „inteligencja”, zwłaszcza w Moskwie i dużych miastach, procent osób potępiających Makaszowa jest zdecydowanie wyższy niż średnia krajowa. Ale, odwrotnie do niektórych krajów zachodnich, gdzie elita reaguje natychmiast na przejawy ksenofobii, w Rosji elita milczy, albo prawie milczy, nie reaguje publicznie.

L.U.: – *Gdzie są demokraci rosyjscy?*

J.L.: – Istnieją, ale są rozdarci ambicjami, tracą wszelkie szanse dotarcia do władzy. To ich słabość pozwala takim Makaszowom korzystać z trybuny parlamentarnej. Na Zachodzie, jak sądzę, z poglądami takiego Makaszowa do parlamentu dostać się nie można...

L.U.: – *No, nie byłbym taki pewny...*

J.L.: – Żaden „makaszow” nie dostał się do polskiego sejmu. We Francji nawet Le Pen nic podobnego nie odważyłby się głosić. Mitterrand stanął na czele manifestacji antyrasistowskiej. U nas, choć odwrotnie niż Stalin lub Chruszczow, Jelcyn, tak mi się wydaje, nie jest antysemitą, nawet on nie zabrał natychmiast głosu i nie potrafił, albo nie chciał, z nazwiska potępić Makaszowa.

A Łużkow potrafił

L.U.: – *A Łużkow potrafił. Dlaczego?*

J.L.: – Dlatego, że Łużkow przeprowadził rachunek odwrotny do Ziuganowa. Szef kompartii wahał się z potępieniem Makaszowa czy nurtu rasistowskiego w jego partii w ogóle, bo uznał, że mogłoby to osłabić jego szanse wyborcze. Łużkow natomiast od razu zrozumiał, że milczenie zaszkodziłoby mu zwłaszcza u niego, w Moskwie, ale i wśród inteligencji w ogóle. Wyrachowanie, to jedna z cech Łużkowa, polityka poza tym sprytnego i skutecznego, ale i... niebezpiecznego.

L.U.: – *Dlaczego niebezpiecznego?*

J.L.: – Bo „model Łużkowa”, czyli właściwie jego mechanizm rządzenia Moskwą, wpisany jest w ogromną przestrzeń gospodarczą, w której gospodarka „normalna” spenetrowana jest, a właściwie nawet wpisana, a obszar „szarej strefy”, a także w obszar kapitału wprost mafijnego, wyjątkowo wpływowego w Moskwie. Jest to coś specyficznego dla Rosji.

L.U.: – *Korupcja także jest specyficzna?*

J.L.: – Nie, korupcja istnieje wszędzie. Ale, to prawda, u nas przybrała wyjątkowe rozmiary. Wynika to zarówno z rozmiarów nielegalnej, ale kwitnącej „szarej strefy” co i całkowitego braku zaufania obywateli do państwa...

L.U.: – *Przecież jest policja...*

J.L.: – Jest, ale właśnie całkowicie przekupna. To zresztą tłumaczy także bezkarność bandytów, zarówno tych co mordują „na zamówienie” polityków lub biznesmenów jak i tych, którzy załatwiają rozmaite dintojry mafijne. To zresztą także tłumaczy zapewne fakt, że nie odnaleziono morderców Galiny Starowojtowej, tej wielkiej damy demokracji rosyjskiej. Pytanie, kto następny? Jesteśmy właściwie bezbronni.

Zamglona tożsamość

L.U.: – *Starowojtowa nie żyje. To była Rosjanka. Jelcyń, Makaszow, Łużkow, to także Rosjanie. Czy istnieje coś takiego jak rosyjska identity, tożsamość?*

J.L.: – Rosyjska tożsamość, to bardzo zamglone pojęcie, rozciągane na wszystkie strony przez kolejne reżymy, przytłoczone przez buldożer carski, bolszewicki i posowiecki, a nawet przez okres i koniec zimnej wojny. Wydawać się może, że Rosjanie nie przywiązują większej wagi do zewnętrznych atrybutów ich tożsamości. Nasze godło państwowe, dwugłowy orzeł, nigdy nie był uchwalony przez Dumę, to co jest u nas grane jako hymn narodowy, to melodia Glinki, bez słów zresztą.

L.U.: – *Rosja, tak pan twierdzi, jest krajem zwyciężonym. A przecież wielkie zygzaki historii, zwycięstwa ale także klęski, pomagają w powstawaniu, w renesansie tożsamości narodowej. Niemcy dwukrotnie tego dowiedli: po klęsce w 1945 i po zjednoczeniu. Dlaczego Rosji się to nie udaje?*

J.L.: – Bo klęska nie wystarczy. Potrzeba także nadziei. Dla tego porównanie z Niemcami nie jest poprawne. W Niemczech był, mówiąc w skrócie, plan Marshalla. U nas były łzy.

Problem jest psychologiczny, może psycho-analityczny.

L.U.: – *A rosyjska cierpliwość to klisza czy także problem psychologiczny?*

J.L.: – W Rosji, inaczej np. niż w Polsce, nie ma tradycji oporu, rebelii, powstania. Historiografia marksistowska kłamie, w Rosji nie było masowych powstań, rewolucja 17 roku to przecież był pucz małej grupki bolszewików. Nigdy nie potrafiliśmy stworzyć powstańczych struktur w skali całego kraju (może kraj jest za duży), nie mieliśmy, poza mitami i terrorem, przywódców naprawdę w skali narodu. Reakcja typowo rosyjska polega na dostosowywaniu się do warunków. Trzy okropne klęski głodu pod bolszewikami, w 1921, 33 i 46 roku, nie wywołały żadnego masowego buntu. No to czego się obawiać dzisiaj, kiedy nie ma głodu, a jest „tylko” nędza?

L.U.: – *Bunt, mówi Pan, nie jest w charakterze Rosjan. A reforma? Dlaczego Rosjanie nie potrafili doprowadzić do końca żadnej z zaczętych wszak reform? Polska także startowała z ruiny komunizmu, a przecież...*

J.L.: – To demagogia. Nasz komunizm był nieporównanie nie tylko dłuższy, ale bardziej niszczący niż w Polsce. Spadek po nim jest nieporównanie cięższy. Za hipotekę sowieckiego przemysłu zbrojeniowego, w którym utopiono 2/3 naszego przemysłu, będą płacić jeszcze całe pokolenia. Tylko 10% naszego rolnictwa jest obecnie w rękach prywatnych, reszta to kołchozy paszątnące na ciele państwa...

L.U.: – *To wszystko prawda, ale dlaczego nie ma rosyjskiego Balcerowicza?*

J.L.: – Byli i próbowali, ale nigdy nie trwało to długo. Nie należy się z tym godzić, ale można to wytłumaczyć. W Rosji nie było żadnej formy „Solidarności” ani stoczni gdańskiej, w Polsce istniała społeczność cywilna, która przeżyła, w pewnym sensie nie zniewolona przez komunizm. Istniał załączek opinii publicznej i opozycji. I istniało, przynajmniej na starcie, poparcie a nawet entuzjazm społeczeństwa dla nowej władzy i reform. Nic takiego nie istniało w Rosji w momencie upadku ZSSR. Koniec komunizmu postrzegany był w Polsce

jako historyczny triumf i historyczna szansa. W Rosji ogromna większość społeczeństwa uznała to za historyczną klęskę... Rosji.

Nie opuszczajcie nas

L.U.: – *Czy można Rosji pomóc? Jak sprawić aby miliardy przysyłane z zagranicy nie były marnowane, kradzione, wywożone?*

J.L.: – Takiej gwarancji nie ma. Ale pomagać trzeba, tylko na zasadzie precyzyjnej strategii, nakierowanej na bardzo dokładnie namierzone cele i pod ścisłą kontrolą pomagającego. Ryzyko ciągle będzie spore, ale, na dłuższą metę, inwestowanie w Rosję stanowi, moim zdaniem, dobry interes.

L.U.: – *Co chciałby pan powiedzieć sąsiadom i zagranicy w ogóle?*

J.L.: – Nie opuszczajcie nas.

Leopold UNGER

Pisane w marcu 1999, po pobycie w Moskwie w styczniu 1999.

Kraj

Z ukosa

Kraków w kwietniowym słońcu. Niemal co kwartał odkrywam w tym mieście nowe, urządzone ze smakiem restauracje, które zwykle idą w głąb średniowiecznych piwnic. Nie zmienia to faktu, że oprócz serca miasta, gdzie odnawiany kościół Mariacki traci swoją magiczną czerń, niemal cały Kraków, podobnie jak cała Polska nadaje się do generalnego remontu. Kiedy, jak i za co? – oto jest pytanie.

Spędzamy dwie noce z duchami Młodej Polski. Dworek Władysława Tetmajera w Bronowicach, kiedyś wieś, dzisiaj to część Krakowa w kleszczach domów z wielkiej płyty. Z ogrodu widać pobliski dworek Rydla, to tam Wyspiański zobaczył swoje „Wesele”. Bywali w Tetmajerówce mali i wielcy z owej epoki, a Piłsudski, do drewnianej kolumnienki na ganku przywiązywał swoją kasztankę. Prawnuczka Tetmajera ze swoim mężem, odrestaurowali i rozświetlili to miejsce. Posiadłość odzyskali po przełomie, przeszłość tego miejsca niezwykle celebrują, konserwują i odtwarzają to wszystko co zostało zdruzgotane przez czas i przez walec historii. Ściany są pełne obrazów Władysława Tetmajera, są liczne przedmioty, które pamiętają gości słynnego wesela. Duch dawnego czasu jest tu żywy i bardzo zadbany, co jest możliwe dzięki firmie farmaceutycznej, którą gospodarze z powodzeniem prowadzą. Są przykładem sukcesu małych, odważnych firm, to ich heroizm i determinacja pchają Polskę do przodu. Należą do nielicznych zamożnych, którzy kultywują pieczołowicie pamięć przeszłości, inwestują w sztukę i wspomagają różne inicjatywy kulturalne. Wspominamy czasy naszych współczesnych dramatów, on wykorzystywał swój ówczesny warsztat

samochodowy do konspiracyjnych celów. Podejmuję w rozmowie ten temat, ale od jakiegoś czasu czuję zażenowanie, gdy wpadam w nostalgię konspiracyjnych wspomnień. Pewnie dlatego, że taki jest rozziew między skalą ówczesnych emocji, a tym jak to dzisiaj skarłało. Bohaterowie z tamtych lat grają obecnie żałosne role w zupełnie innym teatrze. Chorobliwie gościnni gospodarze proszą mnie, abym im opowiedział co słyhać w wielkim świecie. Jak ich przekonać, że wielki świat jest wszędzie, gdzie są tacy ludzie jak Oni. Dzisiaj nie ma elitarnego centrum, wszystko w duchowej rozsypce. A tam gdzie ludziom wydaje się, że jest jakieś centrum, bywa jedynie tandeta i próżność. „Prawdziwym” centrum wydaje się być dzisiaj telewizja, jej lektorki i lektorzy prowadzący popularne programy to bohaterowie naszych czasów. Gdy jestem w telewizji, obserwuję i podsłuchuję jak w obskurnych bufetach siada ów „pępek świata”. Idole gadają o hemoroidach swej duszy, o menstruacji, jak więcej zarobić, co gdzie kupić. Obskurne toalety publicznej telewizji więcej mówią o istocie tego „wielkiego świata” instytucji, niż zbliżenie maski na twarzy popularnej gwiazdy błękitnego ekranu.

A w Tetmajerówce spotyka się grupka malarzy, krytyków sztuki, pisarzy. O czym rozmawiamy przez kilka godzin? O sztuce, nic. Najwięcej o makabrycznych zbrodniach, które miały miejsce na naszych oczach, lub w pobliżu. O pladze zebractwa w Polsce, i że molestują. A też o telewizji, z wielką niechęcią i krytycznie, ale gorliwie, jak ofiary mówią o oprawcy. W końcu mówimy o nalewkach, których niebywałą mnogość hoduje i celebrowe gospodarz. Ani słowa o nalotach NATO na Serbię, padło jedno niepochlebne zdanie o premierze, i jedno zdanie antyklerykalne, bez kontynuacji w formie dialogu. Czy nie jesteśmy wszyscy pogubieni w nowej rzeczywistości? Już po spotkaniu, mój przyjaciel malarz mówi: „Ja tak naprawdę mam wrażenie, że umarłem 10 lat temu. To co robimy nie jest już nikomu potrzebne, i nie ma dzisiaj przestrzeni do wymiany myśli”. Jest jednak całkiem żywy. Ale rozumiem ową dramatyczną metaforę. Wtedy skończył się nasz świat. Nie akceptowaliśmy go, był nie do zniesienia. Ale ten nowy, wolny i bardziej luksusowy, staje się nam duchowo obcy, tamten był nie do zniesienia, ten jest i nie do pojęcia.

Zebranie wyborcze warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Do głowy mi nie przyszło aby na nie pójść, chociaż w przeciwieństwie do wielu kolegów płacę składki, korzystam z biblioteki, która ładna, wygodna, z pięknym widokiem. Z okien można królowi Zygmuntowi stojącemu na kolumnie zajrzeć w oczy, ale są martwe, żywe za to są oczy gołębi, które siadają na głowie króla. Zapach tej biblioteki nie zmienił się od początków mojej z nią znajomości, czyli od dzieciństwa. Otrzymałem jakieś dramatyczne pisma i telefony, że jest gwałtowny spadek aktywności stowarzyszenia, trzeba je ratować. Więc posnułem się na zebranie, uprzednio wyskrobując ze ścianek swej duszy resztki poczucia dobra wspólnego. A tak wiele było tego kiedyś we mnie. Stowarzyszenie choruje na brak woli istnienia, na starość, na nieważność. I pomyśleć, jakie to było kiedyś prestiżowe miejsce. Na dodatek Ministerstwo Kultury nie daje obiecanych pieniędzy i stowarzyszeniu grozi banalna śmierć finansowa. „Haniebne traktowanie kultury przez nową władzę” – te słowa powtarzały się w ledwie żywych wystąpieniach. Pewien literat o nazwisku, które nic mi nie mówi (to też nowa cecha Stowarzyszenia, coraz więcej pisarzy, których nikt nie zna), doczłapał do mikrofonu i oświadczył, że chce powiedzieć prawdę. „A prawda jest taka, że w tym budynku, strach powiedzieć, pachnie trupem.” Oznajmił pewien fakt zapachowy, od lat dla mnie oczywisty. Potem jak zwykle nikt nie palił się aby być prezesem, to staje się od jakiegoś czasu humorystycznym problemem stowarzyszenia. Nawet mej osobie zaproponowano niespodzianie ową funkcję, co potraktowałem jako żart lub nietakt. Ale się porobiło. Jak zwykle w czasie takich narad z udziałem ludzi sztuki w różnym wieku, i w różnych fazach zaawansowania ekscentryzmu, wiele było groteski. W końcu pojawiali się jacyś kandydaci na prezesa, którzy się poświęcą, wśród nich usłyszałem nazwisko Cezarego Leżeńkiego, a wtedy mój rozleniwiony umysł ożywił się uderzony myślą, że to jest autor biografii Rydza Śmigłego. A ja od lat obiecuję sobie, że prześlę dwa miesiące, które Rydz Śmigły po powrocie do Warszawy spędził w oknach domu naprzeciw moich okien. Wychodzę więc na chwilę do biblioteki po książkę. Dzięki lekturze zebranie zrobiło się ciekawe, książka nie jest dobrze napisana,

ale fakty mówią. Pamiętnik, który zostawiła generałowa Raczynska, u której Rydz mieszkał, powoduje, że wiemy o tym krótkim czasie więcej niż o jego całej legionowej drodze. Jakże paradoksalne koło zatoczyło jego życie. Najpierw urzędujący z marszałkowską buławą w sztabie na ulicy Rakowieckiej, wkrótce potem o kilkaset metrów dalej, w mieszkanku wdowy po generale, na drugim piętrze (potem od mojej matki dowiaduję się, że jej siostra, czyli moja już nieżyjąca ciotka, która była w konspiracji, spotykała się z generałową i bywała w czasie okupacji w tym mieszkaniu). Służąca generałowej, Różia, kiedy po raz pierwszy przyniosła marszałkowi do łóżka śniadanie, melduje wstrząśnięta – „Proszę pani, to jest marszałek Śmigły-Rydz. Poznałam go.” Krawiec wezwany do przymiarki, bo marszałek nie miał w co się ubrać, mruczał: „tak mi szanowny pan kogoś przypomina, ale nie mogę sobie przypomnieć kogo”. Takie dramaty przeżywał marszałek po powrocie. Od wielkości do małości jeden krok, ale jego warszawska nędza pięknieje, gdy się pamięta, że po porażce wrześniowej, porażka powrotu była jego moralnym wyborem. Wiem, że w Rumunii pytał Jerzego Giedroycia, jak zostanie w kraju przyjęty. Usłyszał: „jak strzaskana butelka rzucona na skałę”. Przytaknął, jakby te słowa potwierdzały jego obawy. Szarość tych okupacyjnych miesięcy, jego bezradność i niepotrzebność. Mawiał do swojej gospodyni, że „czuje się jak w beczce nabitej gwoździemi.” To zapewne była jego wersja „roztraskanej butelki”. Jechał podobno bez planów i nadziei na odegranie jakiejś poważnej roli. Czyli honor. Przedwojenna Polska była zapewne niewiele mniej skorumpowana niż dzisiejsza, też okropni politycy, ale mimo wszystko było w nich więcej honoru. Teraz są wzdęcia godnościowe, a honoru nic. Całkowicie skompromitowani politycy trzymają się władzy jak tonący deski. Jak utoną, to też nadal łożą po scenie politycznej z tą deską. Coś okropnego. To, że Rydz Śmigły niemal zaraz po powrocie do kraju umarł na serce, ma wymiar symboliczny. Ujrzał miarę klęski, za którą jednak czuł się odpowiedzialny, chociaż musiał wiedzieć, że ta wojna była nie do wygrania.

Podobnie nie do wygrania okazał się mecz piłkarski z Anglią, rozegrany 27 marca roku 1999 na Wembley. Grzmie-

nie w trąby jak w roku 1939, że się nie damy. A tu całkowita klęska. Kilka dni potem, tym razem u siebie, gramy mecz ze Szwecją. Znowu nadmuchano balon, że wygramy. Jeśli nie umiejętnościami, to heroizmem. Zawisła w powietrzu wielka potrzeba narodowego sukcesu. Polska pewien sukces w gospodarce odnosi, ale jest on niepewny, częściowy, a w pełnym blasku odczuwany jedynie przez fragment społeczeństwa. Miliony ludzi mają poczucie porażki, szczególnie bolesne, gdyż nie jest ona powszechna. Ci, którzy nie dają sobie rady, widzą jak pod ich nosem wyrastają fortuny i zasobność zaradnych. Ubóstwo nie ma już dzisiaj w sobie nic ładnego, wydaje się nienaturalne. Nic dziwnego, że krzewi się zawiść. Zwycięstwo piłkarskie wzmocniłoby tych co odnoszą sukcesy, a pocieszyło przegranych. Mój syn poszedł z kolegami oglądać mecz do pubu, kolejny znak, że się europeizujemy. Po klęsce widziałem snujące się po mieście stada przygnębionych młodych ludzi. Nikt tego nie obliczy, ale jestem pewien, że porażki lub sukcesy narodowej drużyny mają istotny wpływ na społeczne nastroje, a też na rozwój gospodarki. Dają ludziom energię lub ją zabierają. Słabość polskiej piłki nożnej, może lecz nie musi sugerować jakieś inne, zupełnie pozapiłkarskie ułomności naszego społeczeństwa. A na pewno potwierdza prawdę, że organizacja tego sportu jest w rękach mafijnych partaczy. To pół biedy. Cała bieda, że wszyscy o tym wiedzą, a nic się nie zmienia.

Warszawa oraz inne miasta są codziennie areną gangsterskich porachunków. W centrum, w restauracji na Woli, gangsterzy zamordowali pięciu innych gangsterów, efektywnie, jak na amerykańskich filmach, strzelając z broni maszynowej i z pistoletów. W mass mediach starzy bandyci, nie pokazując twarzy, zbolalymi głosy skarżą się, że ma miejsce całkowity moralny upadek młodego pokolenia – „życie człowieka to dla nich, jak zdmuchnąć płomyk świecy. I żadnego szacunku dla starszych, żadnego.” Doprawdy wzruszające, że upadek autorytetów dotknął również to zacne środowisko. I że tak ono się tym publicznie trapi.

Dzwonię do *Kultury* z informacją kiedy prześlę tekst, a gdy odkładałam słuchawkę, widzę jak ulica która stoi w oknie, wypełnia się policją, wozami straży pożarnej i pogotowia gazowego. Pojawia się też brygada antyterrorystyczna w ko-

miniarkach na głowach. Patrzę na to spokojnie jak na teatralny spektakl, by nagle uświadomić sobie, że na środku tej sceny jest zaparkowany mój samochód. Mam kilka spotkań i bezwzględnie chciałbym wyjechać. Schodzę więc na dół i podejmuję pertraktacje z osobnikami w kominiarkach. Zachowują się jak dyplomaci, są grzeczni chociaż nie mają twarzy, ale to dla dyplomatów typowe. Jest podłożona bomba, na razie blokują ulicę i czekają na spec grupę, „bardzo serdecznie pana przepraszamy, ale nie możemy puścić do samochodu”. Mówię, że nie obawiam się bomby, mogę nawet napisać oświadczenie że wóz zabieram na własne ryzyko. Nic z tego. Powinienem właściwie się wzruszyć troską o swe życie, ale byłem wściekły, że jakiś bęcewał demoluje mój dzień prawdziwą lub fałszywą bombą. Akcja miała trwać wiele godzin. Przez kilka zrezygnowanych minut oglądałem jak służby zabezpieczają teren z moim samochodem w środku, sprawnie im to szło, widać, że mają codzienny trening. Zadziwiła obojętność mieszkańców i przechodniów. Nie zrobiło się większe zbiegowisko, nawet okoliczne dzieci nie wykazały specjalnego podniecenia. Taka bomba, to dzisiaj normalna rzecz. Szczególnie modne stało się telefonowanie do szpitala, z wieścią że coś podłożono. Potem można sobie obserwować, jak mały telefonik powoduje efektowny spektakl, ewakuację chorych i umierających. Tu nie było takich atrakcji, więc zde gustowany powlokłem się do tramwaju, by dopiero wieczorem odzyskać nietknięty samochód.

Co tam, panie, w polityce? Stan rzeczy trzyma się mocno. Po wielkim zgiełku, że ma być reorganizacja rządu, zmieniono coś, by nie zmienić nic. Obrona stanu posiadania politycznych partyjek, które są w AWS-ie, jak zwykle górą. Unia Wolności straciła Ministerstwo Kultury, więc stosunki między koalicjantami pogorszyły się, jeśli to w ogóle było możliwe. Inna sprawa, że pani minister Joanna Wnuk-Nazarowa powinna odejść, a sam fakt nominowania jej kiedyś, kompromituje Unię. Jeśli więc ktoś marzy o silnej, profesjonalnej polskiej centro-prawicy, niech zapomni o takich nadziejach. Prawica udowadnia, że trudno jej rządzić. Używam z bezradności pojęć prawica, lewica, chociaż nieustannie nudzę, że powinno się stworzyć nową terminologię. Jeśli ktoś

się ze mną nie zgadza, to niech poszpera w polskiej prasie, tam często Jerzego Giedroycia i *Kulturę* określa się jako medium lewicowe. Jeden z ojców naszej tak zwanej prawicy Jarosław Kaczyński, który specjalizuje się w obrazowych, wieloznacznych skrótach, oświadcza, że ten rząd to jest nowa KPP, czyli Kompromitacja Polskiej Prawicy. Zabawne, nie widzi, że jest istotną częścią tego jak najbardziej autentycznego zjawiska. Nie byłoby w tym nic dramatycznego, szczególnie dla mnie, nie lubię tej formacji w polskim wydaniu, bo w istotnych fragmentach pachnie szafą, gdzie wiszą niewietrzone endeckie garnitury. Problem, że nie ma rozsądnej alternatywy.

Andrzeja Celińskiego, dawnego sąsiada i kolegę z opozycji, uważam za jednego z bardziej uczciwych i rzetelnych ludzi jakich znałem. Jak komentuje obecną sytuację ten były senator i poseł? „W festiwalu obrzydliwości uczestniczą pospołu wszystkie istotniejsze partie, AWS, SLD, PSL i Unia Wolności. Ale odpowiedzialność spada przede wszystkim na koalicję. Ona forsowała reformę, ona demonstrowała chciejstwo zamiast rzetelności. Ona zapowiadała oddanie ludziom władzy. Ona drapowała się w szaty jedynie uczciwej i sprawiedliwej strony w polskim establishmencie. I oto ona zaraz po zdobyciu władzy rzuciła się jak sęp na ścierwo, na wszystko, co dawało jakąkolwiek władzę i pieniądze w tym kraju”. Łudzę się że nie aż tak obrzydliwie, jak to widzi Andrzej, mówi przez niego gorzko człowieka, który poszedł do polityki z naszymi dawnymi ideałami, a wyszedł z niej nagi i posiniaczony, ale z czystym sumieniem. Kiedy pewnej grudniowej nocy stał na balkonie i wołał, że milicja wyważa mu łodem drzwi mieszkania, nie wiedział, że swoim wołaniem uruchamia łańcuch zdarzeń, którego ogniwo po północy wypchnie mnie z domu, aby przeorać moje życie.

Z grupą przyjaciół zastanawiamy się co zostało do dzisiaj z czasów PRL-u. Sporo zapachów, szczególnie w niektórych urzędach i wiele w nich tej samej niegrzeczności oraz niekompetencji. Taki sam zapach łapówki. Ale w gruncie rzeczy z zaskoczeniem odkrywamy, że nie udaje nam się znaleźć zbyt wielu miejsc, których czas nie zmienił jednak na lepsze, ale tego poczucia lepszności trzeba się dogrzebywać, bo to jest po

prostu normalność. Niedawno miałem jakiś drobny defekt samochodu. Obarczony dawnym niepokojem pojechałem do warsztatu, gdzie poczułem się luksusowo, aż mi żal było wychodzić. Została odmieniona cała codzienna sfera usług, w której zanurzony jest człowiek miasta. Na gorsze zmieniły się zapewne kontakty między nami. Ale tu łatwo się pomylić. Wspominając z nostalgią pewne fragmenty dawnego świata, wspominamy własną młodość, kiedy wszystko ma bardziej intensywny smak i barwę. Zniknął lęk przed państwem i przed milicją, za to ludzie boją się kradzieży i napadu. Narodził się też nowy i powszechny lęk przed utratą pracy. Kłamstwo i dawny konformizm zostały zastąpione przez nowe ich formy, jest oto nowy typ konformisty, bardzo drażliwy, trzeba go będzie kiedyś opisać. Mój kolega który pracuje na wysokim stanowisku w Państwowym Urzędzie, twierdzi, że to byli ci, których pamiętamy ze studiów, co chodzili z teczkami. Dlatego zaskakująco spora część społeczeństwa uważa, że wtedy było lepiej? To naturalna idealizacja przeszłości. I faktem była pewna opiekuńczość policyjnego państwa. Mieszkaliśmy w wypatroszonym szczurze, a teraz bierzemy udział w wyścigu szczurów. Ale wystarczy mi skrawek gazety z dawnych lat, by poczuć duszący zaduch kłamstwa i podłości.

Spotykam Bohdana Tomaszewskiego. Wzrusza mnie jego głos, którego nie zmieniły upływające lata. Ten głos towarzyszył wielkim sportowym emocjom mego dzieciństwa. Był na pewno najlepszym polskim komentatorem, z ambicjami literackimi, co czasami prowadziło go na granice grafomanii, których jednak zwykle nie przekraczał. Przez lata gorliwy czytelnik *Kultury* w rozmowie ze mną trafnie określa nasz kapitalizm, „że jest okropny, bo ma w sobie wkładkę dawnego systemu”. Podobają mu się też wycytane gdzieś słowa słynnego magnata finansowego Georgesa Sorosa, który nie zwykle ostro krytykuje współczesny kapitalizm, ale jednak zauważa, że „społeczeństwo otwarte jest wprawdzie niedoskonałe, lecz za to otwarte na próby ulepszenia go”.

Oddano niedawno do użytku ładny architektonicznie i estetyczny budynek z basenem. Postanowiłem skorzystać z pływalni, ale dawny odruch szepnął mi, że to nie będzie takie

proste. I nie było. Brakuje pływalni, dlatego z tego luksusu korzystają jedynie właściciele karnetu. Zbliżał się czas ich sprzedaży, więc pełen obaw przybyłem na wyznaczony czas, by ustawić się w kolejce. I tu doświadczyłem faktu, który jest dosyć powszechny. Kolejka po karnet skręcona była w ludzki warkocz, ze starego i z nowego. Stałem w tym splocie cztery godziny. Czyli mniej więcej tyle, ile będę pływać. Stare w tym ogonie było czekanie. Nowe, eleganckie wnętrze, komputer, do którego stała kolejka, perfumy damskie i męskie, którymi ogon pachniał, bo składał się z ludzi dobrze sytuowanych i rozbrzmiewał sygnałami telefonów komórkowych i przez nie gadał. Jaki wzruszający jest kontrast między telefonem komórkowym, który oszczędza czas, szybkością kontaktu, komputerem, którym był u celu, a tym czterogodzinnym czekaniem. Ciekawe, że nikt się nie zbuntował przeciw nonsensowi. No, może oprócz mnie. Poluję na szefa placówki, by dać mu w łeb, jeśli nie pięścią to słowem. A póki co pływam raz w tygodniu.

Jadąc do Krakowa ekspresem, wsiałam do pociągu, gdzie przy pozorach czystości, stoi dawny przenikliwy zapach PKP jak brudne skarpetki ducha minionego czasu. Nie zmienił się ten smród nic a nic od epoki mego dzieciństwa, więc to nawet wzrusza. Kiedy wracam, tym razem wagon jest luksusowy, pachnie eleganckim sklepem, a w toalecie trzeba się przez chwilę pogłowić, jak uruchomić różne luksusowe urządzenia. Te pociągi jadą po tych samych torach, ale jakby w dwóch odmiennych cywilizacjach.

Oglądam w naszym Sejmie dyskusję wokół wniosku o odwołanie wicepremiera Leszka Balcerowicza. Ile głupoty, fanatyzmu, szaleństwa słyszy się z sejmowych trybun. Czy jednak nie oddają te głosy tego co myśli spora część społeczeństwa? W jakimś sensie wiernie i „dobrze” reprezentują bigos naszego obecnego myślenia. Niektórzy z szaleńców, to moi znajomi z dawnych lat, jak we śnie okrutnie przemienieni. Świetna, rzeczowa odpowiedź Balcerowicza. Znam go przelotnie, ale wiem, że jest człowiekiem wrażliwym, jak większość ludzi źle znosi krytykę i niechęć, jego wada jako polityka, to pewna sztywność, brak cierpliwości dla ludzkiej głupoty. AWS niechętny Balcerowiczowi został skazany by go

bronić, gdyby wicepremier odszedł, rozpadłaby się koalicja i upadł rząd. A tu tyle słoików z konfiturami jest otwartych.

Nazajutrz jadę samochodem obok sejmu. Widzę ślady po wczorajszej manifestacji tysięcy chłopów pod wodzą Leppera. Sejm wygląda jak twierdza po odparciu szturm. Dzisiaj pod sejmem jest inna manifestacja. Demonstruje „Stowarzyszenie pacjentów, ofiar lekarskich pomyłek”. Na czele stowarzyszenia a też manifestacji stoi A., mój przyjaciel z dzieciństwa. Widzę go przez okno samochodu, jak w jakimś koszmarnym śnie. To ten sam a przecież zupełnie inny A., z którym siedziałem pod łóżkiem podglądając dziewczynki, bawiłem się w berka i chowanego, teraz przemawia przed sejmem jako rencista i ofiara lekarskich pomyłek, krzyczy do tuby, a płomienie i dym fanatyzmu buchają mu z głowy. Od lat wiem, że chce istnieć, za wszelką cenę istnieć. I że chyba nawet wierzy w krzywdy, które wyrządzili mu lekarze. Ile w tym winy jego ojca, niełatwo być synem „krokodyla”, ile mojej, naszej, dzieci bywają okrutne, a na podwórku znęcaliśmy się nad nim.

W kilka dni potem wpadam na kolejną chłopską manifestację. Pojechałem samochodem by pomóc synowi, wracał z włoskich Alp. Autobus pełen studentów, piękni, opaleni, niosą narty na ramionach. A w tle idą polscy chłopci, z transparentami „Buzek Łobuzek”, „Balcerowicz musi odejść”. Jednego chłopca za sznurek ciągnie drugi, a ten co ciągnie ma czarną teczkę na piersiach z napisem „władza”, ciągniony niesie słowa „Polski rolnik w drodze do Unii Europejskiej”. Ale ci chłopci, o wiele wymowniej niż transparenty, dźwigają swe twarze, wydają się ciężkie, żłobione w kamieniu. To jest polski lud, jak z obrazów Bruegela. Młodzież patrzy na nich, jak na przybyszy z innej planety, na twory nieziemskie. A chłopci zerkają spode łba na młodzież, która niesie narty, jak na wsi nosi się na ramieniu kosy.

Moja znajoma uciekła z miasta, kupiła dom w małej bieszczadzkiej wsi i tam mieszka. Ledwie mieszka i ledwie żyje. Może stąd tyle goryczy w jej odpowiedzi, gdy listownie ją pytam, jak widzi lud okoliczny? Pisze: „Z litości nad sobą próbuję dostrzec w nich coś ładnego. Raz, jeden raz, stary człowiek pogłaskał bezdomnego psa. Oni są jak człeko-kształtne puszki piwa, pełne, gulgocą, chichocą zadowolone.

Puste, głucho stukają. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś kogoś pogłaskał, przytulił, pocałował, wziął za rękę. Żyją jak na Planecie Małp. To jest zupełnie inny świat, o którym wy w miastach nic nie wiecie. Zamknięty świat”. Nie wiem, ile jest w tych słowach naszej inteligenckiej arogancji, ile prawdy? Nawet jeśli prawda jest pośrodku, to nie ma wątpliwości, że bardzo trudno nam będzie umyć, ocieplić i rozczulić ten zdruzgotany wewnętrznie świat, którego mieszkańcy czasami najeżdżają nasze miasta i blokują drogi. Ta długa tradycja lekceważenia chłopca nie bierze pod uwagę historii, która jak walec przejechała po wiejskich pokoleniach. Tylko 3 % ludzi mieszkających na wsi ukończyło wyższe studia, połowa ukończyła szkołę średnią, a znikomo mała grupa młodzieży idzie dzisiaj na studia, jest gorzej niż było przed wojną, o wiele gorzej niż w czasach PRL-u.

Pani Frania, z podwarszawskiej wsi, która czasami sprząta moje mieszkanie, tryska energią i zdrowym rozsądkiem. Mówi, że u niej na wsi, robi za wariatkę, bo jak baby narzekają, to ona im przypomina czasy, kiedy miały tylko po jednej sukni, a w sklepach stał jedynie ocet. Kiedy tak mówi, to na nią krzyczą, że „idzie wstecz do Murzynów, a teraz są przecie inne czasy”. Polski chłop jednak wie i czuje, że jest w Europie, a na szlachtę się kiedyś napatrzył i swoje ambicje ma. Pytam ją, jak chłopcy podwarszawskie oceniły przyjęcie Polski do NATO? W jej relacji podwarszawski chłop, w zasadzie, to się nawet ucieszył. „Ludzie gadają, że z tą Ameryką to tera będzie jednakowoż o wiele bezpieczniej”. Martwią się tylko, tu Pani Frania zrobiła ten charakterystyczny, szeleszczący ruch palcami, że będzie nas to drogo kosztować. „Ile traktorów można by kupić za te samoloty, a bez nich, nijak się do NATO nie doleci”. Chłop swoje wie, jak coś wiele kosztuje, to wiadomo, że za to zapłaci najpierw wieś.

Kiedy odejdzie Papież, w co przerodzi się ruch Radia Maryja? Stawiam znak zapytania, i jak kiedyś na chybił trafił otwierano Biblię by otrzymać znak, otwieram ową stację. Na jaki werset trafiam? Słuchaczka dzwoni i mówi „Unia Europejska jest czystym złem”. „Tak, tak” potakuje ksiądz doktor. Zamykam radio. Wiem, że jeśli tego nie zrobię od razu, to

wsiaćnę w te majaczenia. Tego samego wieczoru w samochodzie słucham radia Talk FM. Te dwie rozgłośnie są jakby stacjami na innych planetach. Tu dzwonią niemal wyłącznie ludzie o poglądach liberalnych. Jak jednak czasami do Radia Maryja przedrze się jakiś wróg i nawymyśla wariatom i ksenofobom, tak tu czasami przedrze się przez kordony wyznawca poglądów Radia Maryja, a wtedy tkwiąc w korku słyszę taki oto głos: „Za trzy lata Polska już będzie całkowicie opanowana przez Żydów”. Podaje swoje imię i nazwisko. To też jest nowy obyczaj naszej wolności. Obłąd i faszyzm nie ukrywa, że ma swoje imię i adres. Uderza łatwość z jaką głosi się takie poglądy. Nawet w 68 roku, kiedy PRL dławiło się w paroksyzmach ksenofobii, używano eufemizmów. A dzisiaj mamy całkowity bezwstyd. Nasi faszyści nie udają, że komora gazowa, to jedynie prysznic. Ale też pojawiają się polscy historycy, z tytułami naukowymi, którzy kwestionują komory gazowe. To też jest znak jak bujnie kwitną kłaki wolności.

Już kilka razy pisałem o swojej intuicji, że w kręgu naszej cywilizacji podstawowy staje się podział na ludzi myślących w sposób otwarty i zamknięty. Czyli, nietolerancyjny wobec odmienności i nowości, oraz tolerancyjny wobec wielości barw i sposobów myślenia. Jest jednak niezwykle wielu ludzi, którzy żyją w jakimś niepewnym sobie środku, w śmietniku sprzecznych pojęć. W Polsce jest ich chyba szczególnie wielu, tu jest podwójny uścisk zmiany systemu i zmian cywilizacyjnych.

O tym jaki jest groch z kapustą w głowach, wiele mówi fakt popularności *Gazety Wyborczej*. Ten dziennik, to zdumiewający liberalny polski kwiat, który dominuje w kraju, gdzie większość ludzi myśli konserwatywnie. Sukces tej gazety, to jeden z dowodów, że polski prawicowy konserwatyzm jest podminowany przez niekonsekwencję. Mój sąsiad, pan Darek, którego w poprzednim numerze opisywałem, jest znakomitą przykładową postacią. Na przystawkę pożera *Gazetę Wyborczą* a na deser radiomaryjny *Nasz Dziennik*. I potem tych pomieszanych treści nie zwraca. Mówi do mnie, że nie rozumie skąd w Polsce tyle antysemityzmu, przecież u nas Żydów nie ma? Proszę, jak otwarcie i ładnie myśli mój sąsiad? A on po chwili dumania dodaje:

„Przecież nawet jak Oni przyjdą aby opanować nasze banki i fabryki, to my jesteśmy na tyle silni, że im się nie damy”. No i masz babo placek.

Opublikowano drugi tom dzienników eseisty, Andrzeja Kijowskiego. To kolejny zapomniany pisarz tak ważny dla kultury lat 70-tych i 80-tych, znany z inteligencji, talentu i uczciwości. Kolejny dziennik moralnego autorytetu, który szokuje potomnych, że tyle w nim jako w człowieku było złości. Ja nie jestem zawiedziony czy zdumiony. Jeśli szlachetny człowiek ujawni prawdziwe wnętrze swej duszy, zawsze znajdziemy w niej fragmenty jelit i niestrawionego jedzenia. Kto jest zupełnie wolny od odruchów zazdrości, niechęci, nawet zawiści? Jeśli taki odruch się zapisze, wygląda to okropnie. W dzienniku mamy wybór, kłamać, lub nieśmacznie się obnażać. Te dzienniki są wystarczająco ciekawe, jako świadectwo czasu i myślenia. Zgorszeni dziennikami, nie słyszą co sami mówią o innych przy stole. A co jest wart dziennik, jeśli w szczerości nie jest choćby zbliżony do prywatnej rozmowy? A piękne polityczne gesty, odwaga cywilna, jeśli zajrzeć na jej zaplecze? Kiedy zastanawiam się nad naszą opozycyjną działalnością, nie potrafię oddzielić ile było w nas bezinteresownego odruchu moralnego a ile próżności. W końcu, cóż bardziej poniżej niż niewola. Okropne, że dzisiaj, po kilkunastu latach, dawni bohaterowie są opleceni niemal wyłącznie przez ambicje i próżność.

Prawie nikt nie potrafi sensownie przewidywać przyszłości. Przyszłość to najbardziej podstępna bestia jaka istnieje. Pamiętam Kijowskiego na Kongresie Kultury, w przeddzień stanu wojennego, mówił, że przypominamy orkiestrę, która gra na tonącym Titaniku. Wcześniej, w roku 77 notuje w dzienniku: „myśląc o dniu odległym, gdy będziemy mieli szansę stanąć na własnych nogach i wybierać, i decydować, i walczyć, i bronić, i – co najważniejsze – myśleć, nie będziemy już tym samym narodem...”

Pomylił się tylko licząc ów „czas odległy” zapewne na lat kilkadziesiąt, ale trafił w cel w kilku zdaniach, jacy będziemy potem, czyli dzisiaj.

„Upadek prestiżu działacza społecznego i politycznego.

Upadek prestiżu ideologii. Spadek wartości słowa.

Upadek wartości społecznych...
Nowa wersja dawnego indywidualizmu: cwaniacki egoizm”.

Spotkałem Andrzeja Kijowskiego w kawiarni, w roku 1985. Siedział z żoną. Zaprosił mnie do stolika, prosił abym usiadł i porozmawiał. Przeprosiłem, mówiąc że nie mam czasu. Nie wiedziałem, że umiera. Od tej pory zanim w takiej sytuacji odmówię, uważnie patrzę w oczy, czy nie mieszka tam śmierć. Problem, że ona mieszka w oczach każdego z nas, więc ze strachu nieustannie się przysiadam.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Odechciało mi się być Polką. Dosłownie. No, Albanką czy Serbką też bym nie chciała być. Ale serio. Dlaczego nie chcę być Polką?

Nie dlatego, że w wolnym, demokratycznym kraju klepię biedę. Do biedy przywykłam od czasów drugiej wojny światowej, czyli od dziecka. Odechciało mi się być Polką, ponieważ tak z nami wyszło, jak wyszło. Ślepi i głusi na wyzwanie losu, marnujemy wspaniałą passę, jakiej nie mieliśmy od wieków.

Leszek Balcerowicz był „moim człowiekiem” od momentu, kiedy go po raz pierwszy ujrzałam. To znaczy, od chwili, kiedy jesienią roku 1989 stanął przed komisją sejmową jako kandydat na ministra finansów. Odstąpił wówczas konkurentom przydzielony mu czas na własne *exposé*, odpowiadając jedynie na pytania posłów. Wygrał. Od tego czasu śledziłam jego poczynania z aprobatą, chociaż dla wielu osób szybko stały się niepopularne. Zbyt wiele wymagały

wyrzeczeń, i to wymierzanych nierówno. Masom ludzkim, nawykłym do „urawniłowki”, wydawały się one nieuzasadnioną niesprawiedliwością. Przez lata zagnieździł się w nas głęboko „homo sovieticus”. Mówiąc w uproszczeniu: wolny rynek, wprowadzony przez Balcerowicza szybkim ciosem, jednych czynił bogatymi a drugich – biednymi. Zatem opinie na temat pierwszego suwerennego ministra finansów, zrazu entuzjastyczne, prędko zaczęły się polaryzować.

Ja długo stałam za nim jak za ścianą, rozumiejąc, że jego nieustępliwość stanowi warunek przestrojenia gospodarki.

I dopiero teraz, w roku 1999, Balcerowicz po raz pierwszy mnie zawiódł. Może nie tyle zawiódł. Złe słowo. Raczej zdałam sobie sprawę, że pilnowanie pieniądza, co czyni bezbłędnie i bezwzględnie, nie jest jedyną kwalifikacją dla szefa partii, która ma ambicje przewodzenia krajowi. Zapatrzenie w równowagę finansową, której hołduje Balcerowicz, osłabia zdolność widzenia całości społeczeństwa – wraz z jego oczekiwaniami i wytrzymałością – we właściwych proporcjach.

W marcu br. Polskie Stronnictwo Ludowe zgłosiło wobec Balcerowicza votum nieufności. Z trybuny sejmowej padło wiele buńczucznych, choć mglistych, oskarżeń, ale również sporo konkretnych pytań. Kiedy Leszek Balcerowicz stanął na mównicy, spodziewałam się z jego ust ważkich odpowiedzi, które, być może – rozwieją chmury.

Nie odpowiedział na żadne z postawionych zagadnień, powtórzył tylko swój ogólnie znany wykład, sprowadzający się do wykazania, że jedynie rygory, jakie stosuje, trzymają naszą gospodarkę na wodzy, w przeciwnym razie – zagroził – stoczylibyśmy się do poziomu Rumunii czy Bułgarii. Mówił w tonacji profesora, który ma przed sobą wyjątkowo nierozgarniętych studentów. (Obrady transmitowane były przez telewizję, więc mówił nie tylko do posłów i ministrów, ale również do „narodu”.) Gdy skończył, miało się wrażenie, że zejdzie z mównicy, zbierze indeksy i wlepi każdemu dwóję.

Nie ulega wątpliwości, że jego wywód był słuszny, patrząc z optyki ministra finansów, ale – powtarzam – nie z perspektywy przewodniczącego partii, która na starcie miała wszelkie dane, żeby rządzić krajem w sposób nie tylko demokratyczny, ale i taki, któremu nieobca jest wrażliwość społeczna. Unia Wolności skupiała kwiat inteligencji; tej

starej inteligencji, której tradycja sięgała „rodowodów niepokornych”, choć były w niej – co cieszyło – młode roczniki. I to nie tylko z dużych miast ale i z tak zwanej prowincji.

I co się z tym wszystkim stało? Czy przywódca, tak bystry w liczeniu, nie dostrzegł, że wielkie indywidualności, jakie miał obok siebie, znikają ze sceny jedna po drugiej? Że Unia nijakże?

Byłam na spotkaniu, gdzie Andrzej Wielowieyski, znający człowieka Unii, poseł i jeden z niewielu niełasych na mamonę, omawiając marcowe rozszady w rządzie, stosował jedynie kryterium jako miernik – mianowicie, kryterium partyjności. Wyliczając zmienianych ministrów, podkreślał, jakiej partii stała się krzywda, a która dostała za wiele. Ani razu przy osobie obejmującej stanowisko nie padło słowo: kompetentny, fachowiec, specjalista. Rozumiem, że nowoczesne państwo musi być rządzone systemem partyjnym, ale na Boga, nie może to wykluczać zawodowych umiejętności! Jeżeli czynnik merytoryczny w ogóle nie jest brany pod uwagę, to klęska.

Leszek Balcerowicz pokonał veto. Zatrzymał stanowisko, zwyciężając głosami zarówno własnej koalicji, jak i przeciwników.

Marian Krzaklewski, namawiając swoich za głosowaniem na Balcerowicza (co wcale nie było łatwe, bo szef Unii jest w AWS-ie, delikatnie mówiąc, nie lubiany), posłużył się katastroficzną wizją, doskonale dobraną pod „psychikę” AWS-u: jeżeli Balcerowicz legnie, koalicja się rozpadnie, władzę wezmą postkomuniści i to oni podejmą w czerwcu Papieża w Polsce. Tego by „pobożni” awuesiaci nie przeżyli.

Natomiast oponent polityczny AWS-u, Włodzimierz Cimoszewicz, który też podniósł rękę za Balcerowiczem, wytłumaczył swój ruch popularnością polskiego ministra na Zachodzie. Dał do zrozumienia, że odejście szefa polskich finansów niemal zatrząse giełdą nowojorską, a w każdym razie, zachodnie firmy wycofają z Polski inwestycje.

No i ostał się nam Balcerowicz, niezmordowany strażnik złotówki. Zwycięstwo złotówki nie pokonało jednak społecznego niezadowolenia. W kraju narasta ciche wrzenie, co nie dziwi, gdy się porówna choćby wynagrodzenie nauczycieli czy lekarzy z radnymi.

Odnoszę wrażenie, że Balcerowicz nie rozumie, że ludzie nie chcą już dłużej czekać na obiecywaną w przyszłości poprawę. Mają dość zaciskania pasa i przetrzymywania złego czasu. Że po prostu, „czniają” powtarzane im imponujące wskaźniki naszego wzrostu gospodarczego. Jest to dla nich papier a ludzie chcą czegoś treściwego. Każdy pragnie zaznać choćby skrawka dobrobytu za życia.

Balcerowicz nie okazał się człowiekiem wielkiej wyobraźni, a tylko taki miałby zadaniu sprostać. Nie mamy go.

Nie mamy też premiera. Bo czyż premierem można nazwać kogoś, kto nie umie dokonać zapowiadanej korekty rządu? Nie pozbywa się nieudaczników, on ich tylko przesadza. Marcin Świąćcki przesiadł się z fotela w warszawskim magistracie na wiceministra gospodarki. Za Wnuk-Nazarową, skoszoną z Ministerstwa Kultury, Unia dostała sekretariat KIE dla Jerzego Osiatyńskiego. Wojciech Maksymowicz zszedł - namarnowawszy, ile się da – z ministra zdrowia na umoszczone gniazdo ordynatora w nowej Klinice Rządowej.

Nomenklatura komunistyczna się kłania. Wtedy też, gdy ktoś zawałił resort, natychmiast dostawał drugi. Swojego się nie krzywdziło. Zostawał w „rodzinie”, jeżeli tylko był posłuszny.

I teraz mamy powtórkę. Czy rozumie to Jerzy Buzek? Czy rozumieją politycy? Wygląda na to, jakby nasze elity władzy kształcone były na kursach partyjnych minionej epoki. Nieudanego ministra rolnictwa, Jacka Janiszawskiego, trzeba było piłą odcinać od stołka, a przecież powinno wystarczyć jedno słowo premiera, żeby się go pozbyć. Nie dość na tym: zastępuje się go człowiekiem, wobec którego toczy się prokuratorskie postępowanie wyjaśniające. URM roił się od ministrów bez teki. Zmieniono im nazwę i przesadzono na równie intratne stołki. Jak to nazwać?

Po prostu – rządzi nami wielka zbiorowa nieodpowiedzialność.

Chwaliłam pierwsze kroki reformy zdrowia obserwowane na najniższym szczeblu. Przedwcześnie. „Wraca nowe”, jak mówiło się za Gierka. Wiadomo, że w Polsce jest nadprodukcja lekarzy i że część musi odejść. To reforma miała automatycznie wyeliminować najśłabszych. Tymczasem odeszli najlepsi. Anestezjolodzy po drugiej specjalizacji.

Odeszli karnie za strajk, z wilczym biletem. Na wizytę u gastrologa czeka się w Warszawie cztery miesiące... Nudno o tym pisać. Szczęściarz ten, kto umiera szybko na serce.

Mam w oczach nagrodzoną fotografię na międzynarodowej wystawie. Autorowi udało się zamknąć w kadrze skrót dylematu naszej cywilizacji. Oto szkielecik czarnego dziecka z terenu Wielkiego Głodu czołga się z wyciągniętą rączką w stronę dziarsko posuwającego się człowieka z tobołkiem w ręku, zapewne z jedzeniem. Powiemy – obraz banalny w naszym najlepszym ze światów. Oglądamy takich setki. Ale tylko ten zapamiętałam z dokładnością co do milimetra, gdyż uchwycił nieprzenikalność dwóch istnień ludzkich egzystujących obok siebie.

Zdaję sobie sprawę, że jest nieprzyzwoitością porównywanie ostatecznego cierpienia ludzkiego z naszą sytuacją. U nas takich dzieci nie ma i nie będzie. Ale i u nas rysuje się coś z głębokiego podziału na dwa społeczeństwa, które wołałyby nic o sobie nie wiedzieć: rządzących, którzy biorą całą pulę, i rządzonych dostających figę. Gwałtownie potrzebny byłby ktoś, kto umiałby uruchomić samoregulatory, istniejące w dobrze naoliwionej demokracji.

Godzina nie była późna, ale na dworze już ciemno. Warszawski Klub Inteligencji Katolickiej; środek miasta. Ogarnięta strachem, urwałam się w czasie dyskusji ze spotkania – nomen-omen – pod hasłem: „Czy jesteś za karą śmierci?” Kryjąc się za paltami w szatni, upychałam pospiesznie do rajstop i butów pieniądze, legitymacje i klucze. Niech w razie czego łupem napastnika padnie pusta torebka! Na moim przystanku wysiadły z autobusu dwie kobiety. Chciałam dotrzymać im kroku, ale szły za szybko. Zdyszana, dopadłam domu.

Za którymś razem pokonałam wstyd. Krzyknęłam za młodym człowiekiem, który szedł przodem i szybko się oddalał. „Proszę pana, proszę zwolnić, bo ja się boję!” Zwolnił. „Wie pan, powiedziałam, tu jest taki niebezpieczny odcinek, a przecież napadają na staruszki.” Spojrzał na mnie i zgodził

się chętnie. I ze „staruszką”, i z krokiem. Niebezpieczny odcinek przeszliśmy razem w zwolnionym tempie. Może powinnam posmutnieć, że słowo „staruszka” nie zostało przez niego kurtuazyjnie zakwestionowane. Ale nie – bardzo mnie pokrzepił ten odruch sąsiedzkiej solidarności.

W Warszawie zapanowała panika. Pięć samotnych staruszek załatwiono w ciągu jednego tygodnia w różnych dzielnicach. Zbójcka ekipa (podobno, damsko-męska) działa na zasadzie skoczka szachowego. Puka grzecznie do drzwi samotnych, starszych kobiet, najchętniej w dniu wypłaty rent i emerytur. Wymyśla dobry „opiekuńczy” pretekst. Jest wpuszczana. Potem rzecz rozgrywa się szybko. Taśma klejąca na usta ofiary, pasek czy szalik na ręce i nogi; plądrowanie mieszkania; wyjście z łupem, na ogół, niewielkim. Napadnięte umierają przez zadławienie powoli, przez kilka, kilkanaście godzin. Taksiarzom i ekspedientkom młodociani przestępcy przykładają nóż do gardła, często ze skutkiem śmiertelnym; przechodniów, zwłaszcza studentów, lubią walić zbójcką maczugą, zwaną kijem baseballowym (choć nim nie jest; w Polsce baseball nie znany).

W Warszawie elegancki autokar kursujący na trasie Airport-City jest notorycznie okradany. Łup stanowią paszporty, karty kredytowe, gotówka. Ludzie o tym wiedzą, ale nie potrafią się ustrzec. Wysiał nam się gatunek kieszonkowca najnowszej generacji. Niezwykle zręczny. W Warszawie grasuje głównie na Trakcie Królewskim, w okolicach Nowego Świata. Tam kieszonkowcy mają swą bazową kawiarnię, tuż przy zbiorowym przystanku. Wyskakują z niej hurmem, robią sztuczny tłok w autobusie, wysiadają szybko, pozostawiając pasażerów wyczyszczonych.

Sytuacje, o których piszę, są banalne. Nie odbiegają od normy we współczesnym świecie. Nasze statystyki są nawet niższe. Różnicę stanowi niewykrywalność. U nas mordercy są przeważnie niełapalni – dobry przykład stanowi tu zabójstwo głównego komisarza policji, Marka Papały. Nie natrafiono nawet na ślad sprawcy. Złodziei zaś, jak kieszonkowcy, puszcza się wolno, ze względu „na znikomą szkodliwość czynu”. Jak dobrze pójdzie, jeszcze tego samego dnia wracają do „roboty”.

I tu jest pies pogrzebany. Panikę u ludzi wywołują nie tyle przestępstwa, ile stan bezkarności. A panika jest złym

doradcą. W panice ludzie rozsądni tracą rozsądek. Stąd coraz liczniejsze u nas domaganie się przywrócenia kary śmierci.

Nie mam na myśli hasel rzucanych przez zawiedzionych polityków, którzy lansują KS w pogoni za wyborcą. Janusz Korwin-Mikke z UPR-u czy Jarosław Kaczyński grają na nastrojach ludzkich. Ten ostatni, choć prawnik, domaga się takich samych kar dla trzynastolatków, co dla dorosłych. Gdyby go posłuchać, cofnęlibyśmy się do zięjących grozą (choć nie tak dawnych) czasów, kiedy w majestacie prawa – publicznie stawiano pod topór dzieci.

Ale przecież od tamtej pory badania nad prawem karnym oparte na zdobyczach psychologii i socjologii zrobiły ogromny krok. Nikt ze współczesnych poważnych karników nie ośmieszy się żądaniem powrotu tamtych okrutnych kar, podyktowanych li tylko zemstą. Bo jest rzeczą dowiedzioną, iż kara śmierci nie stanowi żadnej prewencji, jedynie odwet. Morderca zabijający z premedytacją, a o takich mowa, nie czuje lęku przed karą w chwili popełniania zbrodni, więc się przed nią nie cofnie. Jego wyobraźnia nie pracuje na tych falach...

Starali się o tym mówić dwaj prelegenci na wspomnianym przeze mnie spotkaniu w warszawskim KIK-u. Sędzia Adam Strzembosz i ks. Roman Indrzejczyk. Nasze prawo zostało ostatnio zaostrene poprzez wprowadzenie kary dożywocia, która eliminuje zagrożenie równie skutecznie jak KS, tłumaczyli. Oczywiście, prościej i taniej jest eliminować za pomocą stryczka, ale stosowanie stryczka – nawet wobec „potworów” – zawsze brutalizuje świadomość społeczną. Sędzia Strzembosz, powołując się na długoletnią praktykę, stwierdził, że takich skończonych potworów – nie ma. Natomiast odraczanie wykonania kary śmierci na kilkanaście lat (stała praktyka w USA) jest większą zbrodnią niż ta, za którą przestępca został skazany.

Przez cały okres komunizmu orzekano u nas karę śmierci na pospolitych przestępców bez ceregieli, to znaczy, nie troszcząc się zbytnio o dowody. Gdy tylko nazwisko podejrzanego zaczynało funkcjonować w świadomości publicznej jako sprawcy, wychodzono jej naprzeciw i sąd orzekał winę. Sędzia przypominał kilka głośnych procesów, gdzie z dużą dozą prawdopodobieństwa wyrok wykonano na niewinnym.

Wiedliśmy prymat w Obozie KDL-i w orzekaniu kary śmierci. Podobno nawet sędziowie radzieccy byli zgorszeni...

Adamowi Strzemboszewi sekundował w spotkaniu drugi prelegent, znany i bardzo lubiany warszawski ksiądz, Roman Indrzejczyk. Kościół niejednokrotnie w swoich dziejach, mówił duchowny, odstępował od dekalogowego „Nie zabijaj!”, ale czynił tak głównie dla zatwardziałości ludzkich serc. Dziś nie ma wątpliwości, że był to błąd. Obecny pontyfikat jednoznacznie opowiada się za zniesieniem kary śmierci.

A jednak przekonujące wywody prelegentów nie spotkały się z aprobatą. Przeciwnie, zebrani na sali światli chrześcijanie domagali się przywrócenia kary śmierci – w niektórych przypadkach, jak zastrzegali.

Twierdzili, że nie należy bać się restrykcji ze strony Unii Europejskiej, która domaga się od swoich członków całkowitego zaniechania tego wymiaru kary. Nawoływali, żeby nie bać się Unii Europejskiej. Natomiast czuło się ich strach we własnym domu.

Prawdą jest, że polskie społeczeństwo boi się rozpanoszonej przestępczości. Niemrawy aparat ścigania i skandalicznie niemrawe sądownictwo strach ten potęguje. Ludzie wiedzą, że tego szybko się nie poprawi. Więc zostanmy przy sprawdzonych środkach! Powiesić, i do widzenia. Jeżeli tego domagała się elita moralna, zebrana w katolickim klubie, to co mówić o reszcie?

Z wielką pompą i buńczucznością obchodziliśmy nasze wejście do NATO. Premier Buzek mało się nie rozpląkał ze wzruszenia. No i oczywiście z właściwym sobie samochwalstwem widzieliśmy naszych chłopców jako asów natowskich sił. Nikt nie zważał na słowa gen. Petelickiego, szefa specjalnej i sprawdzonej jednostki wojskowej GROM, który stwierdzał, że daleko nam do umiejętności kolegów amerykańskich. Ludzie woleli słuchać komandosa w czerwonym berecie, który oświadczył przed telewizorem: „nas Amerykanie już niczego nie uczą, jesteśmy najlepsi”.

Bardzo bym nie chciała, żeby słowa te podległy kiedy-

kolwiek sprawdzianowi. Lądowa wojna z Serbami w bałkańskich górach może być straszna. Przypomnijmy sobie partyzantkę Tity.

● Najwyższa Izba Kontroli stwierdziła, że wojsko polskie śmierdzi. W jednostkach fetor aż bucha. Zapytany żołnierz, jak często zmienia się u nich majtki, odpowiedział, że raz w miesiącu. Pokazano koszarowe umywalnie. Maleńkie zlewy z kapiącą zimną wodą. Czas na poranne mycie praktycznie nie przewidziany. Musi śmierzieć. Wprawdzie od smrodu nikt nie umarł, ale przez smród możemy się potknąć w NATO. Może się „w tej tematyce” wykluczyć nowy gatunek *polish jokes*. Zakładam, że łatwiej naszemu żołnierzowi nauczyć się po angielsku niż wyrobić w sobie nawyk codziennego prysznica.

● Wielkanocne rekolekcje w kościołach warszawskich nie mieściły chętnych. Stali na dworze. Na szczęście pogoda popisała się przepiękną wiosną. Tylko kilka dni w roku w Polsce takich bywa. Załapałam się na dwie konferencje u dominikanów na Freta. Dla wątpiących, poszukujących, niedowiarków i spóźnialskich, jak wieściło ogłoszenie. Nie pożałowałam. Mówił ojciec Jan Andrzej Kłoczowski z Krakowa. Jakby mówił dla mnie, choć w wielkim kościele – jak we wszystkich, zresztą – dominowała młodzież. Nie uszło mojej uwadze, jak skromnie jest ubrana. U progu trzeciego tysiąclecia dostatek nie panuje w naszych domach.

31 marca, 1999 r.

Ewa BERBERYUSZ

Cena ekologii czy cena głupoty?

Ile kosztuje ekologia, a w szczególności ochrona przyrody? Pytanie to coraz częściej stawiane jest przez polską prasę. Szacuje się, że dostosowanie polskich norm ekologicznych do wymogów Unii Europejskiej pochłaniać będzie w ciągu najbliższych piętnastu lat od 3 do 4,5 % PNB i będzie kosztować około 35 miliardów euro, tzn. 30 razy tyle ile budżet państwa przeznacza rocznie na usuwanie zanieczyszczeń (*Rzeczpospolita* z 6 stycznia 1999). Ochrona środowiska jest niewątpliwie najtrudniejszą i najbardziej kosztowną dziedziną dostosowywania polskiej gospodarki do unijnych norm. Biała Księga Komisji Europejskich w sprawie przygotowania krajów stowarzyszonych Europy Środkowej i Wschodniej do integracji z jednolitym rynkiem Unii Europejskiej wymienia 60 aktów prawnych dotyczących ochrony środowiska (całość obejmuje 750) wymagających wprowadzenia zmian. Jak informuje raport Ministerstwa Ochrony Środowiska „Stan dostosowania polskiego prawa do prawa ochrony Środowiska Unii Europejskiej” (stan z 15 lipca 1998) realizacja uchwały (o dostosowywaniu polskich norm ekologicznych do standardów Wspólnoty Europejskiej) „przebiegała od początku z pewnymi oporami”.

Prasa publikuje szereg innych danych ekonomicznych dotyczących ochrony przyrody. Na utrzymanie 22 parków narodowych w projekcie tegorocznego budżetu zaplanowano kwotę 48,3 milionów zł (spadek wydatków na ten cel w stosunku do ubiegłego roku gdy przeznaczono na ten cel 52,7 milionów zł). Ze środków budżetowych państwa przewidziano 20 mln złotych na realizację „Kontraktu dla Białowieży”. Jak informuje *Rzeczpospolita* (4 stycznia 1999) z braku pieniędzy prawdopodobnie nie dojdzie do utworzenia zaplanowanych nowych parków narodowych Turnickiego (Pogórze Przemyskie) i Jurajskiego (w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej). W polskiej prasie coraz częściej spotyka się także

artykuły i wypowiedzi na temat „Czy Polsce grozi ekoterroryzm?” czy też dywagacje o „zielonym totalitaryzmie”.

Publikowane cyfry (zapowiadające horrendalne wydatki) jak i coraz liczniejsze artykuły niechętnie ruchom ochrony przyrody skłaniają do refleksji. Zadziwiające jest np. to, że dużo rzadziej zadaje się pytanie ile kosztuje niszczenie przyrody i brak jej ochrony. Niestety jakże często nawet wykształceni czytelnicy nie widzą związku pomiędzy np. polityką (czy raczej jej brakiem) zachowania różnorodności biologicznej, a coraz liczniejszymi katastrofami ekologicznymi. Nudnym banałem staje się powtarzanie, iż istnieje ścisły związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy fatalną polityką ekologiczną, a np. powodziami czy zwiększoną śmiertelnością lub powrotem problemu epidemii chorób wydawałoby się już dawno wymazanych z epidemiologicznej mapy Europy. W rozważaniach nad budżetowymi wydatkami na ochronę przyrody jakoś dziwnym trafem nikt nie wylicza ile np. Polska zaoszczędziłaby gdyby uniknięto katastrofalnych powodzi sprzed dwóch lat. Ani jak oszacować cierpienie białoruskich i ukraińskich rodziców z białaczkowymi dziećmi, a przecież związek między czernobylską katastrofą, a zwiększeniem procentu populacji dotkniętej tragedią choroby nowotworowej dziecka został naukowo udokumentowany w dziesiątkach ekspertyz i publikacji. Zbyt rzadko mówi się, że koszta te są nie tylko ekonomiczne, bo przecież trudno jest zaakceptować przeliczanie wszystkiego na pieniądze gdy w grę wchodzi życie i tragedia setek tysięcy (milionów?) ludzi.

Ekologia jest ściśle związana z poczuciem odpowiedzialności. Nikt nie rozwiąże naszych problemów jeśli nie zrobimy tego sami. Jakże przerażające jest to ciągłe liczenie na innych. Wyliczanie kredytów, które powinniśmy dostać lub których nie dostaniemy, czy też traktowanie konieczności dostosowania polskich norm ochrony przyrody do zasad cywilizowanego świata jako balastu obciążającego i tak przeciążony budżet. A przecież często występuje to w skrajnych postaciach gdy np. wymaganie aby polski przemysł mleczarski nie truł i nie zakazał chorobami swoich klientów traktowane jest nieomal jako zamach na polską suwerenność lub co najmniej jako element wojny ekonomicznej prowadzonej z polskimi producentami lub przekonanie, że polski podatnik

lub międzynarodowa pomoc powinni wziąć na siebie utrzymanie nieudolnych producentów przez sam fakt utworzenia w ich regionie np. parku narodowego. Nie zapominajmy, że przecież to Polacy, a nie Unia Europejska czy nasi sąsiedzi, są pierwszymi zainteresowanymi tym aby konsumpcja polskiej żywności czy picie polskiej wody nie wiązało się z ryzykiem utraty życia. Jakże często traktuje się te wydatki jako swoistego rodzaju haracz za przystąpienie do wspólnoty, a nie jako naturalną troskę o jakość życia i zdrowie polskich obywateli.

Wracając do „czystej” ekonomii problemów ekologicznych to warto także pamiętać, że owe horrendalne sumy są jedynie szacunkami. Istnieją przecież różne szkoły ekonomiczne przyjmujące różne zasady wyceniania dóbr ekologicznych i rezultat szacunku (a nie realnej wartości wydatków) zależy od wybranej opcji. W związku z tym, zdaniem niektórych ekspertów ekonomiczny koszt dostosowania polskich norm ekologicznych może być nawet kilkakrotnie niższy od przewidywanego. Dodajmy, że jak podkreśla prestiżowy szwedzki miesięcznik *Ambio* („Economics of Protected Areas” n. 2/20) korzyści pochodzące z chronionych terenów są bardzo trudne (w przeciwieństwie do bezpośrednich wydatków) do oszacowania, co prowadzi do ich niedoceniań lub zaniżania przy jednoczesnym przecenianiu kosztów utrzymywania parków narodowych.

Bez względu zresztą na wysokość ekonomicznych kosztów ekologii istnieją liczne możliwości ich obniżenia. Pierwszą jest jak najszerze wykorzystanie własnego *know-how* i preferencja dla rozwoju rodzimej myśli naukowo-technicznej w dziedzinie ochrony środowiska. Nie zapominajmy, że kraje wywodzące się z byłego ZSSR są obecnie największym na świecie rynkiem zbytu tego typu usług. W raporcie przygotowanym przez grupę holenderskich ekspertów „To change our perceptions: The economy, ecology and European security” podkreśla się np. nieomal całkowitą zależność republik środkowo-azjatyckich od Rosji w dziedzinie ekotechniki i dążenie tych krajów do zmiany tej sytuacji, istnieje więc znaczący potencjalny rynek dla polskiego *know-how* w dziedzinie ekologii. Prawdopodobnie przydałaby się także lepsza kontrola wydatków zarówno krajowych jak i tych

pochodzących z zagranicznej „pomocy”. Zdaniem skandy-nawskich specjalistów, jedynie niewielka część zagranicznej „pomocy” trafia w rzeczywistości do krajów docelowych (w tym i Polski) w znacznej części wspierając rozwój rodzimej nauki i „ekobiznesu”, krajów pomocy tej udzielających.

W dyskusji o szeroko pojętej ekologii pokutuje zresztą oprócz myślenia „trzecioświatowego” (nam się z racji historii należy) wiele innych mitów jak np. wiara w to, że samorząd-ność lokalna „rozwiąże problemy” ochrony przyrody lub, że jest jedynym właścicielem i decydem o losie tego co jest przecież zarówno własnością jak i problemem ogólnospo-łecznym. Stąd zapewne owe dziwne manewry związane z Paktem dla Białowieży, gdzie kolejne rządy, wyłonione przecież w demokratycznych wyborach i reprezentujące ogół społeczeństwa, ulegają nawet najbardziej absurdalnym żądaniom i wyliczeniom przedstawianym przez organizacje re-prezentujące lokalną społeczność, podczas gdy w rzeczywistości chodzi jedynie o to aby „wydusić jak najwięcej z państwa”. To przecież ten skutecznie przeprowadzony szantaż doprowadził do tego, że ochrona Białowieży w nor-malnych warunkach posiadająca nieznaczny impakt ekono-miczny kosztować będzie polskiego podatnika dziesiątki mi-lionów dolarów. A egoistyczny przykład, że najlepszym roz-wiązaniem lokalnych problemów gospodarczych jest stoso-wanie szantażu wobec reszty społeczeństwa będzie demoralizował jeszcze przez dziesięciolecie i skutecznie udaremniał prowadzenie normalnej polityki ekologicznej.

Co należy myśleć, gdy po latach wysiłków i modelowo prowadzonej ochrony, wydaje się zgodę na odstrzał bobrów ponieważ „społeczne koszty utrzymania tego gatunku są tak duże, że ich obniżenie ze względów ekonomicznych stało się konieczne” (cytat Ministerstwa Ochrony Środowiska za *Rzeczpospolitą*). Dodajmy, że owe społeczne koszty to od-szkodowania jakie wypłaca się rolnikom. Owe odszkodowa-nia, często bardzo dyskusyjne i przyznawane wskutek na-cisków politycznych, a nie realnych strat, stały się stałym ele-mentem rolniczego terroru i sposobem „uzupełniania budże-tu” gospodarstw nie potrafiących funkcjonować normalnie czyli przystosować się do wolnego rynku. Szantaż jest prosty: albo dostaniemy pieniądze z budżetu lub specjalne prawa

gwarantujące wysokie dochody kosztem reszty społeczeństwa albo nie pozwalamy na ochronę gatunku, rezerwatu, parku narodowego itd. Jak długo jednak szantaż niewielkiej grupy nieudolnych producentów może być głównym wyznacznikiem ekologicznej polityki państwa?

Piotr DASZKIEWICZ

A to Polska właśnie...

Ostatnio coraz liczniejsi Polacy mieszkający na Zachodzie odwiedzają Polskę. Ich oceny są różne: od entuzjastycznych do bardzo krytycznych. Pierwsze takie reakcje zmieściliśmy w numerze 1-2 *Kultury*. Poświęcamy dużo miejsca ocenie sytuacji w kraju, głównie w artykułach Ewy Berberysz i SMECZA. Chcemy przeprowadzić ankietę, jak oceniane są ich naświetlenia. Z powodu braku miejsca prosimy o wypowiedzi bardzo lako-niczne.

Poniżej zamieszczamy szereg takich wypowiedzi.

Redakcja

Jerzy Patryk BIESZCZAD, Hellerup (Dania):

SMECZ jest bezkonkurencyjny. Udało mi się ustalić jego tożsamość i po nawiązaniu z nim pewnej pewnej formy kontaktu (telefon i list) wyrazić mu podziw i uznanie dla błyskotliwych, przenikliwych i celnych analiz życia i postrzegania obecnej Polski. Od 1977 roku odwiedzam prawie corocznie Polskę, mogę więc z całą stanowczością twierdzić, że ostatnie 10 lat od przełomu 89 roku (wybory 4 czerwca obserwowałem naocznie w Warszawie, żona, obywatelka polska z paszportem ówczesnym konsularnym, nie zo-stała dopuszczona do głosowania w punkcie wyborczym w Minister-stwie Rolnictwa, pod pretekstem braku uprzedniej rejestracji) SMECZ opisuje fenomenalnie, dosłownie jak nasze *alter ego*. Nie-jednokrotnie z żoną określamy identycznymi słowami opisywane sy-

tuacje z Polski prowincjonalnej, przejść granicznych, urzędów.

Relacje Pani Ewy Berberyusz są bardzo ostre i dosadne i przeraźliwie słuszne, bez dozy optymizmu i znieczulenia.

Kilka uwag własnych.

Jestem przedstawicielem tzw. eufemistycznie emigracji pomarcowej. Od blisko 30 lat przebywam w Skandynawii, duńskie państwo dobrobytu znam, popularnie mówiąc, od podszewki. Nadmienię, że mieszkalem również w Quebecu w Kanadzie i w USA. Wiele podróżowałem i czynię to nadal. Mam więc nieskromnie mówiąc perspektywę i skalę porównawczą, niebagatelną. Utrzymywałem zawsze ścisły kontakt z Polską i mogę docenić zmiany polityczne, cywilizacyjne i społeczne zachodzące w tak dużym tempie w naszej starej Ojczyźnie. Nie są to zmiany wyłącznie pozytywne. Są nadal duże poacie biurokratyzowanego i niehumanizacji traktowania obywateli. Oto przykład własny.

Jestem emerytowanym pracownikiem państwowego banku duńskiego i myśląc o swojej niezależności materialnej i kierując się sentymentem, w 1991 roku postanowiłem osiedlić się z powrotem w Polsce. W ramach „ofensywy czaru” wobec pokrzywdzonej emigracji żydowskiej (pozbawienie polskiego obywatelstwa), będąc od 25 lat obywatelem duńskim za zgodą prawną kompetentnych władz duńskich, przyjąłem paszport polski. Formuła konsulatu polskiego brzmiała, że pozbawienie obywatelstwa polskiego przez władze Polski Ludowej było aktem nielegalnym i bezprawnym, a więc przez III Rzeczpospolitą nieuznawany, więc dalej byłem legalnie polskim obywatelem, czego poświadczeniem jest paszport polski. I zaczęło się. Mogę wrócić do Polski, ale polski Urząd Skarbowy żąda 45% mojej wypracowanej zagranicznej emerytury, bo jestem obywatelem polskim, a duński fiskus (z moim całym zrozumieniem i aprobatą, bo to oni płacą) chce również 45% bo jestem *de iure* i *de facto* obywatelem Królestwa Danii. Pozostałe mi ewentualne 10% mojej emerytury nie zapewni mi godziwego życia w Polsce. Nadmienię, że Polska nie zapewnia mi niczego, ani opieki zdrowotnej, socjalnej, bezpieczeństwa, itd. Chce tylko podatków od dochodów, których mi nie płaci, tak jak swojego czasu Polska Ludowa pobierała dzienną stawkę 15 USD za dzień pobytu turysty w kraju. Umowa o uniknięciu podwójnego opodatkowania między Danią a Polską nie przewidywała takiej sytuacji. W Ministerstwie Finansów w Warszawie doradca ówczesnego ministra A. Olechowskiego obiecał mi glejt podatkowy, czyli zwolnienie od polskiego podatku, ale jak widać skończyło się na obietnicach. Pazerność polskiego fiskusa jest niebotyczna, więc moją emeryturę będę mógł wydawać na Hawajach, i klimat lepszy, a Polska obejdzie się bez łatwych dewiz. A chcąc ściągać Polaków z Kazachstanu, gdzie tu jest logika? Za komuny notariusz odmówił stwierdzenia w Polsce podpisu mojej żony na dokumencie o dobrowolnej alimentacji na rzecz teściów, zawiści, nie pomogły perswazje prezesa sądu, pieniędzy nie wysłaliśmy, bo nie mieliśmy dokumentacji dla duńskiego fiskusa, a Polsce w latach 80-tych podobno potrzebne były dewizy.

A gdzie inwestycja mieszkaniowa w Polsce? Chciałem przekazać

na konto w banku polskim odpowiednią sumę dewiz połączeniem tzw. SWIFT. W Polsce po przeliczeniu na złotówki pobrać czek wykupiony na nazwisko sprzedającego nieruchomości. Chodziło o uniknięcie transakcji gotówkowej u notariusza, ze względu na napady rabunkowe. Polskie banki o czymś takim nie słyszały, z konta „C” to jest niemożliwe. To mają być zmiany na lepsze w polskim systemie bankowym? A teraz mały test:

Na telefoniczną prośbę Narodowy Bank Duński przesłał mi, osobie prywatnej, natychmiast (mógł „faxować”) wykaz dyskonta od 1968 roku do chwili obecnej. Może SMECZ zadzwoni do NBP i poprosi o to samo, ciekaw jestem czy dostanie, czy może będą mówić o „tajemnicy bankowej”, ochronie informacji, konkurencji? Oto paperek lakmusowy na działalność polskich banków. Wykaz duński pozwalał sobie załączyć dla znawców przedmiot.



Stanisław LIKIERNIK, Marly le Roi (Francja):

W odpowiedzi na prośbę redakcji *Kultury* postaram się jak najkrócej streścić moje wrażenia z wielu podróży do kraju. Po mojej pierwszej wizycie, po zmianach z r. 1989, napisałem sam dla siebie streszczenie moich wrażeń. Pierwszym punktem było zdziwienie brakiem zainteresowania problemem rolnictwa. Od tego czasu mało się zmieniło i problemy wsi będą zasadniczą trudnością w negocjacjach związanych z wejściem do Europy. Drugim problemem był dla mnie zbyt wielki podziw dla p. Thatcher i prezydenta Reagana – „Liberalizacja ekonomii”, rynek itd. To są niewątpliwie reformy konieczne. Ale jak może je zrozumieć górnik, który po strajkach solidarnościowych i zmianie reżimu z „soli ziemi” staje się niepotrzebnym balastem.

Mimo tego wydaje się, że reformy są względny sukcesem w porównaniu z sąsiadami na Wschodzie. Ale problemy wsi 10 lat po mojej wizycie dalej są nierozwiązane. Zmarnowano na początku reform możliwość przejęcia różnych PGR-ów. Niektóre z nich – znam taki wypadek – miały ciepłarnie, instalacje do automatycznego podlewania itd., i zostały doprowadzone – bez sensu – do bankructwa. Dziś instalacje zostały rozrabowane i inwestycje stracone.

Naturalnie niedawna wizyta – październik 1998 – pokazała mi Warszawę europejską pod każdym niemal względem z zatorami samochodów włącznie. Niestety, budowle, często b. nowoczesne – np. niebieski wieżowiec niedaleko Dworca Głównego został zeszpecony ceglanego koloru dekoracją... Plac Krasińskich z nowym budynkiem bodajże Sądu Najwyższego jest według mnie całkowicie pozbawiony charakteru, i choć Pomnik Powstańców trochę zasłania, jest sam w sobie nie przystosowany do miejsca, architekta skazałbym na dożywocie (jestem przeciwny karze śmierci).

Jeszcze na koniec dwie uwagi. Życie polityczne (być może za długo – ponad 50 lat żyję we Francji) wydaje mi się nadal ubogie i jednocześnie bogate w bardzo zacięte walki bez żadnego zamysłu

„kompromisu” dla dobra kraju. Najbliżsi przyjaciele nie rozmawiają ze sobą, byli członkowie partii nienawidzą „komuchów” i zapomnieli o przeszłości. Inni znów nie pamiętają pustki sklepów, szarości, beznadziei okresu komunistycznego, nie mówiąc o jego zbrodniach. W dodatku wpływ Kościoła na życie polityczne dla człowieka przyzwyczajonego do systemu rozdzielenia religii i państwa, który panuje tu niemal od 100 lat, jest nie do zniesienia. Napisałem chyba 8 lat temu do mojej wielkiej przyjaciółki z dzieciństwa – przełożonej dużego zakonu: „Kościół przez te 40 lat trzymał polski statek na linie by go prąd komunistyczny nie porwał, i udawało mu się to mimo wielkich przeszkód. Ale teraz, gdy prąd ustał, wy ‘ciągniecie’ z tą samą siłą i rozbijecie statek o brzeg”. Coś z tego okazało się słuszne, a budowanie olbrzymich kościołów (Licheń) czy kościoła Opatrzności Bożej w kraju, gdzie brak mieszkań, szkół, to wydaje mi się co najmniej dziwne... ale może rodakom w kraju się podoba? Nie znam odpowiedzi.

Teksty, SMECZA, p. Berberysz, Wolickiego uważam za bardzo dobre, szczególnie p. Jastrun swoim poczuciem humoru bardzo mi odpowiada.

Natomiast poza czarem polskiej grzeczności, który dalej trwa (myślę o moich przyjaciółkach), nie mam ochoty na powrót do ojczyzny, bo zbyt wielu skrajnych polityków-oszołomów polskojęzycznych, zbyt by mnie na co dzień denerwowało.

Zbigniew MAŁECKI, Montreal:

Redaktor *Kultury* chciałby wiedzieć jak czytelnicy oceniają naświetlenia sytuacji w Polsce przez SMECZA i Ewę Berberysz. Wyjechałem z Polski na kilka miesięcy przed wybuchem wojny (na „Transatlantyku”). W ciągu ostatnich, prawie sześćdziesięciu lat, odwiedziłem Polskę dwa razy: w 1986 i 1988. Krótkie, trzytygodniowe wizyty, pod koniec dogorywającego peerelu.

Czytuję regularnie *Politykę*, *Tygodnik Powszechny* i *Warsaw's Voice*. Na internecie przeglądam *Rzeczpospolitą*, *Wprost*, *Gazetę Wyborczą*, *Życie Warszawy*. Cenię bardzo artykuły SMECZA i Ewy Berberysz za wyważony obiektywizm tak trudny, gdy pisze się o stosunkach w Polsce. SMECZ czasem robi wrażenie zapalczego „śledziennika”, ale wcale mu się nie dziwię. Pani Ewa, dotąd uosobienie chrześcijańskiej dobroci, w ostatnim numerze pisze o „bezwstydzie”, i też trudno się dziwić.

Polska odzyskała niepodległość. Ma rząd, niemrawy i bez wyrazu („Najlepszy polski rząd... krzesel giętych” jak brzmi reklama z polityczną aluzją). Rząd, który nie potrafi sobie poradzić z Lepperem i protestem rolników, żwirowiskiem i strajkami. Wydaje się, że jak dawniej w każdym przedsiębiorstwie był przedstawiciel partii, tak samo jest dzisiaj, tylko partia się zmieniła. Powiedzenie Kaczyńskiego TKM (teraz kur... my) zemści się w czasie następnych wyborów. Pospolite ruszenie w sejmie, senat,

według Donalda Tuska to „klasa darmozjadów”. Rok bieżący zaczął się reformą administracyjną, służby zdrowia, edukacji.

Sejm tracił czas dyskutując aborcję, konstytucję lub reformę administracji. Brak jest ciągle ustawodawstwa regulującego inwestycje zagraniczne. Prywatyzacja dalej kuleje. Wyprowadza się majątek narodowy, powoli Polska schodzi na psy.

Są oczywiście i dobre strony. Pomimo lub wbrew, są jeszcze ludzie dający sobie radę, inwestujący, tworzący przedsiębiorstwa i dorabiający się. Jest pęd do bogacenia się. *Money, money über alles* – jak mawiał kiedyś Janusz Kowalewski.

Są też potworne korki komunikacyjne, efekt jednostronnej motoryzacji: auta tak, drogi nie. Jest chaotyczna rozbudowa Warszawy, idiotyczny podział administracyjny stolicy, mania stawiania pomników i budowania kościołów ...Robi się po prostu smutno. Dzięki SMECZOWI i Ewie Berberysz za ich oświecenia, to chyba jest jedyne światło w mroku.

Tadeusz MICHEL, Le Mesnil-le-Roi (Francja):

...Ubiegłego roku byłem w Polsce przez 3 miesiące jako konsultant w 17-tu „gwiazdkowych” hotelach rozrzuconych po Polsce. (Z szacunku dla moich zleceniodawców, w myśl zasad etyki zawodowej – a także z uwagi na możliwość dalszych zleceń, nie chcę tu wymieniać nazw hoteli). Mógłbym dorzucić sporo uwag do spostrzeżeń p. Bonieckiego i p. Pomian-Saattjian nt. hoteli i sektoru usług w polskiej gospodarce. Jak pani Pomian-Saattjian spotykałem się i ja z „wyjaśnieniami” w stylu: „bo to u nas w Polsce”, ale dużo częściej słyszałem pytania: „a jak się to u was robi”, co było dla mnie wyrazem zainteresowania lepszymi metodami, rokującym dalsze poprawy w polskim hotelarstwie.

Ciekawe, że żaden z polonijnych sprawozdawców nie poruszył fatalnej obsługi w bankach, a zakładam, że każdy z nich miał do czynienia z bankami w Polsce. Najprostsze transakcje, np. wymiana czeków podróży American Express albo firmy Cooka, wymaga długiego wystawiania w przynajmniej dwóch okienkach, okazywania dwa razy paszportu i dowodu kupna czeków, aby otrzymać wreszcie sumę w złotych ale po potrąceniu sporej prowizji banku. Dla zachodniego przybysza, przywykłego do realizacji czeków podróży w bankach bez żadnych trudności i wypłacania pełnej równowartości wg kursu dolara czy marki, są to praktyki niezrozumiałe i w końcu szkodliwe dla rozwoju turystyki do Polski.

Od końca wojny byłem w Polsce 6 razy jako indywidualny („dziki”, wg PRL-owskiej terminologii) turysta lub też jako rzeczoznawca, z tego 2 razy po upadku PRL-u. Cieszę się ze wszystkich zauważalnych zmian na lepsze i boleję nad pokutującymi w społeczeństwie pozostałościami po starym systemie i objawami zacofania.

Wojciech POPLAWSKI, Carindale (Australia):

Bardzo pozytywnie oceniam artykuły pisane przez SMECZA i Ewę Berberysz. Są zawodowcami, więc oczywiście więcej zwracają uwagi na usterki niż chwałę. Jednak w ich ostatnich artykułach (szczególnie SMECZA) wyczuwa się słuszną dumę z niezaprzeczalnych osiągnięć społeczeństwa polskiego. Zwykle zaczynam czytać *Kulturę* od ich artykułów.

W pełni zgadzam się również z ocenami Jerzego Bonieckiego (*Kultura* 7/616), od siebie pragnę jedynie dodać dwie uwagi.

Mój syn uważa, że uprzejmość Polaków w dużych miastach jest większa niż w Europie Zachodniej. Swego czasu podróżował z plecakiem dookoła świata i wyraźnie odczuł niechęć w krajach żyjących z turystyki do „plecakowiczów” (nie wszędzie, ale wystarczająco często): „nie masz pieniędzy to nie przyjeżdżaj” (we Francji też). Wyjątkami były: USA, Japonia i właśnie Polska.

Moje wrażenie jest mniej pozytywne. Załatwiałem w jakimś urzędzie (chyba róg Kruczej i Wspólnej) rentę dla matki, która pracowała przymusowo w Rzeszy. Zostałem obsłużony bardzo fachowo, pozytywnie i uprzejmie. Nie podobało mi się jednak, że w portierni musiałem oddać paszport i po schodach musiałem przejść korytarzem (wszędzie były drzwi pozamykane) do odległego pokoju. W Australii wszystkie drzwi w urzędach są pootwierane („proszę Cię wejść, jesteś mile widziany”) i działy obsługujące klientów umieszczone są na parterze blisko portierni. Od nikogo nie wymaga się zostawiania dokumentów. Jedynie się je sprawdza po wpisaniu danych do formularza (jedna linia: nazwisko, instytucja bądź adres) nawet w urzędach wojskowych.

Michał SKRZYPCZAK, Burlington (Kanada):

Z prawdziwą przyjemnością zabieram głos w Pańskiej ankiecie dotyczącej opinii, czytelników *Kultury* na temat artykułów SMECZA i Ewy Berberysz. Z Polski wyjechałem w roku 1981, od tego czasu byłem z wizytą kilka razy. Wrażenia mam jak najlepsze, Polska zdecydowanie „idzie do przodu” od roku 1989. Podstawowy problem w odbiorze przemian przez społeczeństwo polega na tym, że nikt z polityków nie powiedział wyborcom jasno i wyraźnie, iż cena wprowadzania „kapitalizmu” będzie wysoka. Większość społeczeństwa oczekiwała szybkiej poprawy własnego bytu, nie zdając sobie sprawy jak naprawdę działa gospodarka rynkowa (ale skąd miało ono czerpać tę wiedzę?). Emigranci tacy jak ja przerabiali przyspieszony kurs adaptacji na własnej skórze, niemalże dla wszystkich była to bolesna i trudna lekcja.

Artykuły w/w autorów są moją ulubioną lekturą, od nich zawsze zaczynam czytanie *Kultury*, cenię je za poczucie humoru i trzeźwy realizm, niestety są zdecydowanie zbyt pesymistyczne w opisie pol-

skiej rzeczywistości. Kreują obraz kraju, w którym dzieje się źle i roi od wynaturzeń (szczególnie w polityce i życiu społecznym). Autorom brak skali porównawczej z krajami o dużo dłuższej istniejącej demokracji. Z moich doświadczeń na Zachodzie wynika że: po pierwsze politycy wszędzie dbają o własne interesy i trzymają się kurczowo władzy (najlepszy przykład z ostatnich miesięcy to prezydent Clinton), są tylko bardziej dyskretni w działaniu, po drugie grupy interesu walczą ze sobą nawzajem i z rządem bez chwili wytchnienia, po trzecie nigdy nie można zadowolić wszystkich, po czwarte urok demokracji polega na tym, że każdemu wolno głosić największe głupstwa. Zdaję sobie sprawę, że powtarzam banały, ale właśnie tej perspektywy brakuje mi w *Kulturze*. To co dzieje się obecnie w Polsce jest po prostu normalne, oczekiwanie szybkiej zmiany na lepsze jest marzeniem bez szans. Demokracja w Polsce liczy dopiero 10 lat, nie zapominajmy o tym! Tylko długi trening i nieustanna edukacja doprowadzą do jej sprawniejszego działania.

Jerzy SZYGIEL, Warszawa:

Teksty pani Berberysz nie trafiają do mnie specjalnie, więc nie będę na ich temat się wypowiadał, ale do SMECZA mam stosunek wręcz „osobisty”... Oto moja (lapidarna!) ocena:

SMECZA czytałem w *Kulturze* kiedy byłem emigrantem (we Francji) i czytam po powrocie do Polski. Oferuję największy komplement jakim mogę go obdarzyć: on pisze prawdę o Polsce. Tu nie chodzi nawet o jakąś faktografię, tylko o sam nastrój przemian obyczajowych, osobiste, „subiektywne” spojrzenie, które – niczym widziane przez niego „cienie na ludzkich twarzach” – wyostreza, wydobywa poszarpaną fakturę naszej rzeczywistości. SMECZ reprezentuje pokolenie Polaków, które sierpień 80 roku przeżywało pełne naiwnych nadziei, a potem płatało się za granicą by wrócić i odtąd widzieć swój kraj z innej perspektywy. Chyba dlatego tak szczegółowo mu się przypatruje... Odnajduję w jego tekstach wiele własnych doświadczeń i ocen. Nie ukrywam, że lekturę *Kultury* zaczynam właśnie od SMECZA, zresztą on świetnie pasuje do horyzontu intelektualnego pisma. Serdecznie mu gratuluję.

O religii bez namaszczenia

Watykan a prawosławie

Znana inwokacja Jana Pawła II „Lux ex Oriente” podczas przelotu w 1989 r. w drodze do Korei Południowej nad terytorium Związku Sowieckiego, znajdującego się w przededniu rozpadu – to światło jest dziś zamglone nie tylko z powodu następstw przełomu postkomunistycznego, ale również z winy państw zachodnich. Świadczy o tym choćby mocno spóźniona reakcja na czystkę etniczną na Bałkanach. Papież zdaje sobie doskonale sprawę ze złożonych przyczyn zaćmienia i związanych z tym zjawiskiem trudności. Stąd też racjonalne, odpowiedzialne stanowisko Watykanu wobec rażących braków w całej strategii środkowo-wschodnioeuropejskiej, umiejętności „używania daru odzyskanej wolności”. W swoim przesłaniu pokojowym, powtarzając w/w zawołanie, Papież oświadczył: „Europejski Wschód przez tyle lat dławiony oznacza dla chrześcijan niewyczerpane źródło wiary i nadziei. Stanowi opatrnościowe wezwanie do misji nowej ewangelizacji”. Jego zamiysł dowartościowania duchowych i kulturowych walorów chrześcijaństwa tkwiących w tysiącletnich doświadczeniach Wschodu (nb. nie tylko europejskiego), odnosi się w dużej mierze do naprawienia stosunków z prawosławiem. Zamiysł ten ma zakres szeroki, bo rozciągający się również na Bliski Wschód, strefę związaną z kulturą chrześcijańską na skrzyżowaniu trzech religii monoteistycznych: islamu, judaizmu i chrześcijaństwa. Jest rzeczą wiadomą i niekwestionowaną jak wielkie znaczenie przywiązuje do zbliżenia i pojednania z Kościołem prawosławnym uznawanym jako „drugie płuco chrześcijaństwa”. Nieprzejednana postawa Patriarchatu rosyjskiego blokowała dotąd szanse

rozpoczęcia dialogu ekumenicznego. Używam świadomie czasu przeszłego ponieważ pojawiły się ostatnio pewne sygnały zmiany tej postawy, uniemożliwiającej nb. wizytę Papieża w Moskwie pomimo zaproszenia ze strony Jelcyna (a przedtem Gorbaczowa). Dyplomacja watykańska działa wytrwale na rzecz przecierania drogi do pełnej normalizacji stosunków z Moskwą* zarówno w skali państwowej, jak i religijnej. O powodzeniu tych ciągłych starań świadczy m.in. fakt zapowiedzianej wizyty w Watykanie delegacji Komisji mieszanej ds. dialogu prawosławno-katolickiego (obydwu obrządków) z metropolitą Kyrilem na czele, odpowiedzialnym za sprawy zagraniczne Patriarchatu. Została ona odwołana 25 marca za obopólnym porozumieniem na skutek wojny w Jugosławii, ale obie strony uzgodniły, że „chodzi jedynie o przesunięcie terminu” tej wizyty.

Wizyta papieska w Rumunii od 7 do 9 maja, stanowiąca pierwszą w dziejach podróż Papieża do kraju o znacznej większości prawosławnych (ponad 20 milionów, czyli ok. 85% ludności), jest wyraźnym sprawdzianem, że mamy do czynienia z przyspieszeniem procesu zbliżenia z prawosławiem. I niezależnie od samego jej profilu ekumenicznego, ta wizyta otwiera niewątpliwie drogę do podróży do Moskwy – „upragnionej”, co sam Papież potwierdził w drodze do Meksyku. Rzecz wymagająca podkreślenia: ta wizyta mogła dojść do skutku dzięki zaproszeniu przez Patriarchę Teoktysta, na co wpłynął prezydent rumuński Constantinescu (zaproszenie jedynie z jego strony nie mogło wystarczyć). Program tej wizyty „historycznej” – wg oficjalnego określenia – mógł być ustalony po przełamaniu przez rumuńską Cerkiew oporów ze strony Patriarchatu rosyjskiego, niechętnie odnoszącego się do samej wizyty i dzięki porozumieniu w sprawie zwrotu grekokatolikom skonfiskowanych kościołów. W tej kwestii „wtrącał się” Patriarcha Konstantynopola. Podobnie jak na Ukrainie

* Mimo braku pełnych stosunków dyplomatycznych, urzędują w Moskwie i Watykanie specjálni wysłannicy w randze nuncjusza wzgl. ambasadora.

zachodniej te naciski potwierdziły także i w Rumunii wrogą postawę wobec „uniatyzmu” (termin pogardliwy potocznie używany przez Patriarchat rosyjski). Liczba katolików obrządku bizantyjskiego wynosi obecnie w Rumunii ok. 550 tys., podczas kiedy przed likwidacją w 1948 r. wynosiła półtora miliona (tyle wynosi obecnie liczba rzymskich katolików). Symbolem poniesionych przez nich cierpień z powodu wierności dla Stolicy Apostolskiej jest żyjący do dzisiaj kard. Alexandru Todea. Kościół ten posiada pięć diecezji czyli eparchii z metropolitą Fagarasem na czele i będzie obchodzić 300-lecie unii ze Stolicą Apostolską w roku 2000. Komisja mieszana do spraw dialogu, złożona z biskupów grekokatolickich i prawosławnych, powstała w ub.r. i doprowadziła do podpisania dokumentów, zobowiązujących do rozstrzygnięcia kwestii spornych na drodze dialogu. W obradach uczestniczyła delegacja Stolicy Apostolskiej z biskupem F.P. Tamburrino na czele. Ustalono m.in., że w miejscowościach gdzie prawosławni stanowią większość wzgl. na odwrót, dana będzie drugiej stronie możliwość współużytkowania kościoła.

Krótki pobyt Jana Pawła II ma ograniczyć się jedynie do Bukaresztu. W chwili kiedy piszę, tzn. 11 kwietnia, nie jest jednak wykluczone, bo rozmowy trwają nadal, rozciągnięcie tej wizyty na rejon Transylwanii, Mołdawii, lub Walachii, zamieszkałych przez katolików obydwu obrządków i w dużym stopniu przez mniejszość węgierską.

Kiedy rozważamy sytuację religijną w Rumunii i podłoże przygotowań do podróży papieskiej, przychodzi na myśl analogia historyczna (o odmiennych co prawda proporcjach). Podobnie jak w ubiegłych wiekach, kiedy rozbieżności natury religijnej były wykorzystywane przez imperialną władzę w Rosji i Austro-Węgrach dla celów (czytaj: interesów) politycznych, tak i obecnie zachodząca presja zewnętrzna, której protagonistą jest władza kościelna (Patriarchat Moskwy i Konstantynopola), utrudnia proces pacyfikacji nastrojów i rozwiązywanie konfliktów. Trzeba więc tym bardziej podkreślić samodzielność Patriarchatu rumuńskiego, który próby „wtrącania się” z zewnątrz stanowczo odrzucił. Można zakładać, że rozpoczęty dialog przyniesie owoce poprzez wytwarzanie atmosfery pojednania pomiędzy prawosławnymi i katolikami obydwu obrządków (chodzi przede wszystkim o greko-

katolików, bo z łacinnikami nie ma spornych problemów). Wizyta papieska pod znakiem jubileuszu r. 2000 przyczyni się zapewne do utrwalenia stanu panującego odprężenia i do konkretnych zamierzeń w zaledwie podjętym dialogu.

Równocześnie niemal z ogłoszeniem wstępnego programu wizyty Jana Pawła II w Rumunii miałem okazję spotkania arcybiskupa Tadeusza Kondrasiewicza, administratora apostolskiego dla europejskiej części Federacji Rosyjskiej. Dzięki jego częstym tu przyjazdom zarówno Ojciec Święty, jak i zainteresowane dykasterie Kurii Rzymskiej, są bardzo dobrze zorientowane w rozwoju sytuacji Kościoła i stosunków z Patriarchatem prawosławnym. Jego zdaniem wizyta papieska w Rumunii oznaczać będzie na pewno istotny wkład do dalszych zamierzeń i postępów w normalizacji stopniowej tych stosunków. „Będzie przetarciem drogi do wizyty Papieża w Moskwie” – precyzuje. I stwierdza: „Coś zaczęło kiełkować w łonie samego Patriarchatu, już od pewnego czasu przestano wysuwać nieuzasadnione, przynajmniej jednostronne, zarzuty pod naszym adresem”. Chodzi o zarzuty odnoszące się do rzekomego prozelityzmu na obszarach uznawanych jako prawosławne „terytoria kanoniczne”. Nie było reakcji negatywnych na niedawną nominację dwóch biskupów pomocniczych (w Moskwie i Nowosybirsku), jak również na deklarację o stosunkach ekumenicznych, podpisaną przez przedstawicieli trzech Kościołów: rzymsko-katolickiego, grekokatolickiego i ormiańskiego. Milczenie hierarchii prawosławnej w tych czy innych sprawach, do niedawna jeszcze kontrowersyjnych i wzbudzających napięcia, stanowią „oznaki pozytywne”. Do zmiany ogólnej atmosfery przyczyniły się – jego zdaniem – nastroje społeczeństwa. Kiedy panował totalitarny komunizm ta hierarchia była zjednoczona i podporządkowana władzom państwowym – obecnie każdy „chce uprawiać swój ogródek” i liczyć się musi z opinią publiczną. Poza Krajami Bałtyckimi, gdzie sytuacja jest unormowana, również na odcinku religijnym, na obszarach byłego ZSSR, gdzie większość stanowią prawosławni, sytuacja jest bardzo zróżnicowana, a tym samym załatwianie konkretnych spraw zależy od dobrej woli władz, także kościelnych, na szczeblu lokalnym. Przykład: w Petersburgu działa 6 parafii katolickich, podczas kiedy w Moskwie, w kościele św. Ludwika, odprawia się w niedzielę

11 mszy św., bo oddany kościół Niepokalanego Poczęcia znajduje się w przebudowie (otwarcie przewidywane jest w grudniu br.). O odzyskaniu trzeciego kościoła, św. Piotra i Pawła, nie ma mowy. Rejestracja parafii następuje w pewnych rejonach dość szybko, „w innych trzeba czekać miesiącami”. Jednym z przejawów normalizacji, postępującej stopniowo, choć wciąż zygzakami, jest zapowiedziana na 23 maja br. w Petersburgu uroczystość święceń kapłańskich, pierwszych od czasu rewolucji bolszewickiej, wśród nich również trzech Rosjan, którzy ukończyli studia w miejscowym seminarium. Kwestią natomiast szczególnie drażliwą i utrudniającą porozumienie na szczycie prawosławno-katolickim jest oficjalnie wskrzeszona działalność Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie. Nie ulega wątpliwości, że Patriarchat rosyjski, zwłaszcza sam Aleksy II, wyolbrzymia istniejące trudności, uznając je jako zasadniczą przeszkodę w uregulowaniu stosunków ze Stolicą Apostolską. Narzekając na „prześladowania” – w rzeczywistości chodzi nieraz o szykany ze strony grekokatolików – na zachodniej Ukrainie, gdzie prawosławni, w przeciwieństwie do obszarów środkowo-wschodnich, reprezentują mniejszość, Patriarchat moskiewski nie uwzględnia dostatecznie przywrócenia unitom skonfiskowanych kościołów i nieruchomości. Wciąż jeszcze odzywają się tu czkawka historycznie uwarunkowane nieporozumienia, niezależnie od tego, że Cerkiew jest podzielona na Ukrainie na trzy odłamy (z tym jednak, że podlegający zwierzchnictwu Patriarchatu rosyjskiego stanowią znaczną część), tak jak Kościół katolicki obrządku wschodniego, cieszy się poparciem władz państwowych jako „Kościół narodowy”. Mając na uwadze te i inne okoliczności odnoszące się do podziałów wyznaniowych w Rosji, świadczące o odradzającym się lub w gruncie rzeczy wciąż obecnym nacjonalizmie i upolitycznieniu hierarchii prawosławnej, abp Kondrusiewicz stwierdza: „Wszyscy, niezależnie od narodowości i wyznania, znaleźliśmy się w podobnej sytuacji. Trzeba zatem pójść razem, bo chrześcijanie nie powinni być podzieleni jeśli pragną wywrzeć wpływ na pokojowy proces rozwiązywania spornych kwestii”. Ta i inne jeszcze wypowiedzi abpa Kondrusiewicza, jego niewygasający entuzjazm i niepoprawny optymizm oraz równocześnie racjonalny sposób myślenia i podejścia do życia publicznego,

wskazują wyraźnie na znaczenie jakie odgrywają ludzkie postawy i równowaga w podejściu do starych i nowych konfliktów. Od właściwego ich rozeznania, także natury psychologicznej, zależy w gruncie rzeczy wyjście z dotychczasowych manowców. Należy mieć m.in. na uwadze istniejący kompleks rosyjskich prawosławnych wobec katolicyzmu, streszczający się w przyznaniu bardzo szczerem: „My mamy wspaniałą liturgię, śpiewy i żywe wciąż tradycje – wy, katolicy, macie naukę społeczną i katechezę, czego brak nam doskwiera”.

Rzeczą znaczącą, by nie powiedzieć wręcz osobliwą, jest fakt, że stosunki pomiędzy Kościołem katolickim i muzułmanami na terenach republik środkowo-azjatyckich układają się prawidłowo i ponadto znacznie lepiej z lokalnym prawosławiem, podlegającym kanonicznie zwierzchnictwu patriarchatu rosyjskiego. Wprawdzie katolików (głównie pochodzenia polskiego i niemieckiego) jest tam niewiele, ale rozstrzygająca o normalnych stosunkach jest okoliczność, że nie znaleźli się tam z własnej woli, lecz jako ofiary przesiedleń w czasach carskich i przede wszystkim stalinowskich. O realistycznej postawie tamtejszych władz, reprezentujących islam, świadczy zawarcie w ub. roku konwencji, zwanej „małym konkordatem”, pomiędzy Stolicą Apostolską i Kazachstanem, największą i najliczebniejszą z 5 republik środkowo-azjatyckich (utrzymujących nb. od kilku lat stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską). Ta umowa, mająca ze strony władz państwowych na uwadze również względy prestiżowe i polityczne (uznanie rangi Watykanu w skali międzynarodowej i usamodzielnienie się od Moskwy) zabezpiecza Kościołowi podstawowe uprawnienia w dziedzinie kultu i edukacji. Jeśli już mowa o obszarach byłego Związku Sowieckiego, to trzeba podnieść znaczenie wydarzenia jakim była marcowa wizyta w Watykanie prezydenta Armenii, R. Korczariana, nawiązująca do historycznych stosunków, trwających od 1700 lat, pomiędzy Rzymem a chrześcijańską Armenią. Wraz z równoczesną wizytą Katolikosa Karekina, głowy ormiańskiego Kościoła apostolskiego, nastąpiło zaproszenie papieża do odwiedzenia Armenii, do czego, jak prasa tu podała, miałoby dojść jeszcze w tym roku (termin ten jest chyba przedwczesny). Ten i inne sygnały odprężenia, nie tylko zresztą na odcinku wschod-

nioeuropejskim, świadczą o wielkiej i zarazem dalekowzrocznej aktywności dyplomacji watykańskiej, zmierzającej do przełamania przeszkód na drodze dialogu ekumenicznego. W rzeczy samej, również na flance środkowoeuropejskiej, odnotowujemy znamienne fakty jak np. spotkanie w dniu 16 marca w Atenach kardynała E. Cassidy, przewodniczącego Papieskiej Rady dla Jedności Chrześcijan, z abp. prawosławnym Krystodulosem, głową Kościoła greckiego. Była to pierwsza od wieków (!) wizyta w Atenach wysokiego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej, rokująca przełom w dotychczasowych trudnych i nieraz napiętych stosunkach i zakładająca wymianę wizyt.

Gdyby nie ponowna wojna na Bałkanach, postępy na szlaku ekumenicznym i międzyreligijnym, jednym z głównych filarów pontyfikatu Jana Pawła II, nie byłyby tak namacalne. Na ten paradoks wskazuje m.in. rola jaką odgrywa patriarcha Pavle w Belgradzie, głowa serbskiej Cerkwi, w nagłaśnianiu zabiegów watykańskich, zmierzających do położenia kresu tej wojnie i przejściu do negocjacji. A trzeba zaznaczyć, że jego kontakty ze Stolicą Apostolską a zwłaszcza spotkanie w Belgradzie z abp. J.L. Tauranem, „watykańskim ministrem spraw zagranicznych” (podsekretarzem stanu dla relacji z państwami) nastąpiły po długotrwałym, zimnym okresie wzajemnych stosunków. Patriarcha serbski skorzystał z okazji wprowadzić ponurej, bo czystki etnicznej w rejonie Kosowa, by poprzeć apel papieża o zawieszenie broni w okresie Wielkanocy katolickiej i prawosławnej (obchodzonej wg kalendarza juliańskiego 11 kwietnia). A w swym przesłaniu do wiernych, występując przeciwko bombardowaniom NATO, równocześnie odciął się pośrednio od Miloševicia, wyrażając nadzieję, że dramat Kosowa dobiegnie szybko kresu. Jednym z elementów tej synchronizacji wysiłków przewracania działań wojennych, był również fakt uznania przez dyplomację watykańską potrzeby wciągnięcia Moskwy do zamierzonej akcji mediacyjnej. Stawka w grze jest zbyt wysoka, mając na uwadze tragedię ludności albańskiej Kosowa (oficjalna wykładnia watykańska krytycznie odniosła się do

terminu „uchodźcy” zamiast „wypędzeni”) i stąd starania o udział Rosjan w tej grze, której sedno polega na obronie praw człowieka. Stanowisko to pomimo fiaska pierwszej misji Primakowa w Belgradzie po pewnym czasie – jak wiadomo – akceptował też Clinton pod wpływem sekretarza gen. ONZ-u. Inicjatywa watykańska miała pierwotnie na celu utworzenie w Kosowie sił „do interposizione” z udziałem Rosji pod egidą OBWE, wiarygodnej organizacji eurpejskiej, której personel powinien tam powrócić. Były pewne szanse, że Milosevic mógł ten projekt zaakceptować. Kiedy okazało się to niewykonalne i mając na uwadze próżnię, jaką stanowi brak wspólnej polityki zagranicznej Unii Europejskiej, dyplomacja watykańska podjęła starania by ją wypełnić poprzez naciski na linii Bruksela-Belgrad-Moskwa. Wychodziła zresztą ze słusznego założenia fatalnego opóźnienia państw UE, które powinny były zapobiec, już od kilku lat, czystce etnicznej w Kosowie, by uniknąć powtórki doświadczeń w Bośni-Herzegovinie. Przyjęto tu z szacunkiem także słuszną wypowiedź kard. Puljica, abp. Sarajewa: „Płacimy dziś za wahania i słabości sprzed kilku lat, kiedy świat zachodni powinien był wykazać większą stanowczość wobec wydarzeń w rozpadającej się Jugosławii. Obecnie nie ma alternatywy dla dialogu i negocjacji”. Niezależnie od tych wysiłków doszło nie tylko do doraźnego wsparcia setek tysięcy mieszkańców Kosowa, wypędzonych do Albanii, Macedonii i Czarnogóry, ale i do aktywnego poparcia planu utworzenia „korytarza humanitarnego” chronionego przez wojsko. Taki był sens listów Jana Pawła II do Clintona i Solany, sekretarza generalnego NATO oraz zabiegów nuncjuszy w Waszyngtonie i Brukseli. To poparcie wynika – przypomnijmy – z papieskiej doktryny „ingerencji humanitarnej” nie wykluczającej użycia siły przez określoną wspólnotę międzynarodową. W wykładni watykańskiej zachodzi wyraźne rozróżnienie pomiędzy przemocą i siłą, z której należy korzystać w obronie praw ludzkich. A bez użycia siły prawo staje się daremnym prawieniem moralów. „Przerażająca tragedia” ludności Kosowa wg oficjalnej wykładni watykańskiej wymaga zahamowania podwójnej wojny, tzn. tej, która „wykrwawia Kosowo od przeszło roku” i rozpoczętej 23 marca od lotnictwa NATO. Z optyką skierowaną ku przyszłości miarodajne czynniki w Watykanie wskazują na

wydarzenia na Bałkanach jak na anachroniczny dylemat, rozstrzygający o losach Europy, pomiędzy alternatywą cywilizacji i barbarzyństwa. Stąd tak znaczący wysiłek i ruchliwość zmierzająca bez koniunkturalnych wahań do torowania drogi ku pokojowym rozwiązaniom. Stanowisko to – rzecz oczywista – nie ma nic wspólnego z ruchami zatwardziały, często naiwnych lub wręcz pełnych obłudy, pacyfistów. „Dla cywilizacji europejskiej, ukształtowanej w dużej mierze przez wartości chrześcijańskie, to co dzieje się na Bałkanach, oznacza sygnał alarmowy”, brzmi teza publicznie tu głoszona.

Jednym z podstawowych, jeśli nie wręcz rozstrzygających warunków o trwałym pokoju jest wykorzenienie idei wojny poprzez przezwyciężenie konfliktów natury etnicznej i religijnej. I dlatego tak wielką wagę przywiązuje się do uzdrowienia mentalności, „oczyszczania pamięci” i zabliznienia ran wciąż niezagojonych. Jest jasne, że bardziej niż gdzie indziej, właśnie na Bałkanach konflikty wśród chrześcijan oraz pomiędzy nimi i wyznawcami innych religii, zwłaszcza islamu, przeszkadzają w normalnym współżyciu na tym terytorium wieloetnicznym i wielowyznaniowym. Dochodzi do tego egzaltacja nacjonalistyczna, czyste szaleństwo, oparte na absurdalnej zasadzie etnicznej jednorodności – zjawisko które stanowi główną przeszkodę również w dialogu ekumenicznym i międzyreligijnym. Jeśli dyplomacji świeckiej, szczególnie europejskiej, nie uda się operacja bałkańskiego nowotworu, przerzut tej śmiertelnej choroby może zagrażać innym rejonom. Tej groźby eksplozji nacjonalizmów, obecnej zwłaszcza w Rosji, Serbii, nie należy lekceważyć. Od potencjalnie istniejącej tego typu zarazy nie są bynajmniej wolne również inne kraje, chociaż dziś jeszcze bezpośrednio nie narażone. Wprawdzie w Polsce zjawisko nacjonalizmu nie występuje w tak jaskrawych wymiarach, ale nad pewnymi niedomaganiem, często przejawiającymi się, nie da się przejść do porządku dziennego. Nawiązując do uprzednich uwag na temat dialogu z prawosławnymi w Rosji, przychodzi na myśl znana, skandaliczna sprawa klasztoru prawosławnego w Supraśli i w województwie białostockim, rejonie zamieszkałym przez sporą

mniejszość Białorusinów. *Kultura* relacjonowała obszernie ten przykry przypadek – zanim doszło do zwrotu klasztoru – z uzasadnionym oburzeniem. Czy polskich katolików nie stać np. na gest taki jak kardynała Miloslava Vlka, abpa Pragi, przewodniczącego Konferencji Europejskich Episkopatów, który przekazał parafii prawosławnej jeden z praskich kościołów na tym historycznym skrzyżowaniu kultur i wyznań. W ramach przygotowań do czerwcowej wizyty Jana Pawła II należałoby zastanowić się głębiej nad konkretnym wprowadzaniem w życie rozmaitych zaleceń Narodowego Komitetu Obchodów Wielkiego Jubileuszu 2000. Jest tam przecież mowa o wyzwaniach jedności chrześcijan i dialogu międzyreligijnym. Bez wypalenia narodowych i wyznaniowych egoizmów, indywidualnych i grupowych, trudno sobie wyobrazić by *Lux ex Oriente* mogło ponownie zabłysnąć zgodnie z w pełni uzasadnionym pragnieniem Ojca Świętego! Sztuka współżycia, której tak wielki brak odczuwa się w Polsce, wymaga edukacji dla pokoju i pracy nad atmosferą pojednania w imię głoszonych haseł, ale nie wprowadzanych do życia publicznych, Tyle się mówi i pisze (zwłaszcza w różnych pismach prawicowych o wyraźnym zabarwieniu nacjonalistycznym), o postulowanej przez Kościół Powszechny miłości bliźniego, podczas kiedy praktyka życiowa rozmija się z tym wezwaniem. Pisze się sporo o papieskim magisterium (co prawda nie w wysokonkładowych środkach przekazu), lecz ignoruje się wiele upomnień, wśród nich: „umieć różnić się oznacza też wzajemnie uzupełniać się” (tłum. z włoskiego). W poruszanej tu dziedzinie, tzn. międzywyznaniowego dialogu i procesu pojednania, to wezwanie oznacza obopólne, duchowe i kulturowe wzbogacanie się, twórczą wymianę tradycji i doświadczeń. Bez przyswojenia sobie reguł sztuki współżycia, również z ludźmi o odmiennej tożsamości etnicznej i wyznaniowej, bez wzajemnie uprawianej życzliwości w codziennym obcowaniu, trudno zakładać zarówno stabilizację warunków pokojowych w Europie dążącej do zjednoczenia, jak i autentyczny postęp społeczno-gospodarczy.

Rzym, 11 kwietnia 1999 r.

Dominik MORAWSKI

Sąsiedzi

Konferencja w Lipsku

Wydawać by się mogło, że historia polskiej emigracji i stworzonej przez nią kultury jest problemem dość szczególnym, który może interesować jedynie Polaków. Pomysł zorganizowania sesji na ten temat w Niemczech, w dodatku na terenie byłej NRD, był więc ryzykowny. Zaproszenie Łukasza Gafleckiego z Instytutu Polskiego w Lipsku przyjąłem bardziej z osobistej dla niego sympatii, niż w przekonaniu, że szykuje się konferencja naprawdę ważna. Spotkało mnie pozytywne zaskoczenie.

Instytut Polski w Lipsku kierowany przez Joannę Kiliszek jest dynamicznym ośrodkiem promocji polskiej kultury. W lutym odbyły się tu projekcje filmów dokumentalnych Andrzeja Brzozowskiego, wystawa fotografii Tomasza Kiznego o Kołymie oraz dwa koncerty młodych polskich artystów, w marcu wyświetlano „Dekalog” Kieślowskiego, a pod koniec miesiąca miały miejsce spotkania z polskimi literatami, wyraźnie powiązane z odbywającymi się lipskimi targami książki, m.in. z Hanną Krall, Magdaleną Tulli, Marią Nurowską, Andrzejem Sapkowskim. Książki ich, względnie tomiki poetyckie, zostały w ostatnich latach przełożone na język niemiecki.

Na ścianach Instytutu Polskiego zawieszono 12 marca wykonane przez Piotra Wójcika fotografie Jerzego Giedroycia, Zofii Hertz i wnętrza domu *Kultury*, oraz kilka zdjęć archiwalnych Zbigniewa Dłubaka. Wystawa, jak można sądzić, wprowadzała w temat, który był drażniony 26 i 27 marca: „Polska i Europa 1945-1990. Kryzys europejskiej tożsamości” i w podtytule już wprost „Bilans myśli politycznej i literatury polskiej na obczyźnie”.

Pierwszego dnia próbowaliśmy dokonać wspomnianego bilansu myśli politycznej, zaczynając od *Kultury*, a kończąc na próbie charakterystyki polskiego Londynu. Tak więc piszącemu te słowa zadano temat: „Polska a Europa: Wpływ paryskiej *Kultury* na polskie myślenie polityczne”, Leszek Szaruga podjął problem

publicystyki Juliusza Mieroszewskiego pod hasłem „Lekcja politycznego realizmu”, Jerzy Pomianowski zastanawiał się nad koncepcją nowej polityki wschodniej wypracowaną przez *Kulturę*, Rafał Habielski zrekonstruował style myślenia politycznego „niezłomnych z Londynu”, zaś Paweł Machcewicz omówił niektóre działania polskiego Londynu na arenie międzynarodowej w okresie zimnej wojny (do 1956 r.). Półgodzinne referaty nie mogły oczywiście wyczerpać zawartych w tytułach problemów. Pozwalały jednak postawić i krótko uzasadnić najważniejsze tezy, dodatkowo celnie komentowane przez prowadzącego obrady Bohdana Osadcuka. Popołudniowa sesja miała już nieco inny charakter. Andrzej Stach z Berlina interesująco opowiadał o stosunkach Polaków do NRD i NRD do Polaków, Włodzimierz Bolecki przedstawił bardzo inteligentny, a także nieco przewrotny, referat na temat „Literatura jako namiastka politycznej otwartości?”, zaś Hans Christian Trepte z Lipska rozważał problem: „Polska literatura emigracyjna – język a tożsamość”.

Trudno oczywiście streszczać poszczególne wystąpienia, ale może warto zwrócić uwagę na kilka zawartych w nich myśli. Historycy z Warszawy (Habielski, Machcewicz) podjęli próbę obrony niektórych elementów myślenia polskiego Londynu przed zarzutem anachroniczności; dowodzili, że w rzeczywistości głównie lat pięćdziesiątych koncepcje Londynu nie były pozbawione racjonalnych podstaw (szerzej działania polskiego Londynu w polityce zagranicznej Machcewicz przedstawił w książce, która niebawem ukaże się nakładem Biblioteki „Więzi”). Londyn – podkreślał Habielski, także autor książki, która wyjdzie wkrótce – był zwrócony w przeszłość, zmierzał do restytucji Drugiej Rzeczypospolitej, odrzucał *a priori* powojenną państwowość i ewentualne starania o jej przekształcanie, czym odróżniał się od *Kultury*, nastawionej na stymulowanie przemian nad Wisłą i przebudowę polskiej myśli politycznej. Bolecki zadawał pytanie, gdzie po wojnie był główny nurt literatury polskiej – w kraju, czy na obczyźnie, i wskazywał na literaturę emigracyjną jako ważniejszą, trwalszą, niosącą głębsze wartości. Kontrowersyjnie zabrzmiały (przynajmniej w moich uszach) tezy prof. Trepte, który rozważał sytuację pisarzy udających się na emigrację nie w charakterze uchodźców politycznych, ale twórców, pragnących uwolnić się od nacisku tradycji, zbiorowego myślenia rodaków, a nawet pejzażu i języka. Akt emigracji jest w tym wypadku indywidualnym szukaniem nowego miejsca, otoczenia, wyborem wolności od uwarunkowań, jakby ponownym narodzeniem. Czy takie uwolnienie, włącznie z próbą

tworzenia w nowym języku, jest możliwe? Przykład Conrada podsuwa odpowiedź pozytywną. Mniej jednoznaczny jest – przywoływany przez Treptego – *casus* Jerzego Kosińskiego, zarówno ze względu na rangę jego twórczości, jak kontrowersje wokół języka, w którym naprawdę tworzył.

Drugi dzień konferencji poświęcony już był bez wyjątku literaturze. Andrzej Stanisław Kowalczyk interesująco mówił o kryzysie europejskiej tożsamości na podstawie eseistyki Stanisława Vincenza, Jerzego Stempowskiego i Czesława Miłosza. Referat Heinricha Olschowskiego o stosunku Mickiewicza do Europy wywierał duże wrażenie ze względu na głębię spojrzenia, jak i fakt, że tak wnikliwej analizy dokonywał profesor niemieckiego uniwersytetu. Przy okazji warto dodać, że problemami polskimi zajmuje się również syn profesora, młody historyk. Mniejszą satysfakcję odczuwałem słuchając rozważań Jana Zielińskiego o „Szkiecach piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego. Przeszkodą była zupełnie zaskakująca metoda porównań i skojarzeń, które krytyk próbował wydobyć z omawianego dzieła. Wolfgang Schlott z uniwersytetu w Bremie mówił o Polsce oglądanej z punktu widzenia emigracyjnej polskiej prozy lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Kontrowersyjne – w odczuciu co najmniej części słuchaczy – były tezy wystąpienia Adama Krzemińskiego, dziennikarza *Polityki* znanego przecież z niebanalnych artykułów o Niemcach, zmagając się z próbą porównania literatury emigracyjnej polskiej i niemieckiej (z okresu istnienia III Rzeszy). Krzemiński brnął w nieprzekonujące porównania, wykazując przy tym niedostateczną znajomość realiów i dokonań polskiej emigracji.

Konferencja z założenia miała charakter poszerzonego seminarium dla około 20 osób. Wartością szczególną była obecność grupy kilku Niemców – polonistów, literaturoznawców, dziennikarzy. Jest ciekawe, na ile problemy naszej, polskiej emigracji, były dla nich zrozumiałe, i co o tym sądzą. Niestety, w dyskusji Niemcy byli raczej defensywni, a jej przebieg zdominowali Polacy, zgłaszając komentarze i uzupełnienia do niektórych wystąpień, zwłaszcza wobec referatów poświęconych historii. Prócz różnych sprostań i wyjaśnień, w debacie upomniano się m.in. o godnego przypomnienia Aleksandra Bregmana, który w pierwszej połowie lat 60-tych próbował przełamywać schematy polskiego myślenia o Niemcach i przyszłości stosunków polsko-niemieckich.

Spotkanie w Lipsku było jednym z wydarzeń w rozwijającym się dialogu polsko-niemieckim. Niezbyt wiele się o tym w Polsce pisze, tymczasem sprawa jest bardzo ważna, jeśli pamiętać o dramatycznych dziejach stosunków polsko-niemieckich w minionym

stuleciu, a także o zakorzenieniu wśród Niemców od pokoleń obrazie Polaka jako człowieka o niskiej kulturze. Lata osiemdziesiąte przyniosły ożywienie stereotypów Polaków jako romantycznych bojowników o wolność, ale też ludzi niezdolnych do wydajnej pracy, a pod względem kultury odbiegających od przyjętych na Zachodzie standardów. Oceny te mogły być często niesprawiedliwe, ale też trudno nie zauważyć licznych przykrych faktów, których dostarczała obserwacja zachowań emigrantów i turystów z PRL. Ostatnie dziesięciolecie zmuszało do skorygowania wielu ujemnych opinii, choć trwałości zakorzenionych uprzedzeń nie wolno lekceważyć. Toteż dialog polsko-niemiecki, wspólne spotkania i promocja polskiej kultury na terenie Niemiec mają wielkie znaczenie.

Wspominałem o książkach polskich autorów, tłumaczonych na niemiecki. W minionych dziesięcioleciach wielkie zasługi w przenoszeniu kultury polskiej do obiegu języka niemieckiego położył Karl Dedecius. Obecnie działają jego następcy, których staraniem ukazały się m.in. wybory pism Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Jerzego Stempowskiego, a także książki Henryka Samsonowicza i Tomasza Szaroty. Z najwyższym uznaniem trzeba też potraktować pracę grona osób, które od 1987 r. wydały 31 zeszytów magazynu *Dialog*, ukazującego polską współczesność, historię, kulturę, zawierającego też kronikę stosunków polsko-niemieckich. Z początkiem roku dotychczasowi redaktorzy pisma Günther Filter i Adam Krzemiński ustąpili miejsca młodemu Basilowi Kerskiemu, którego inteligencję oraz dobrą znajomość polskich realiów i polskiej kultury, mogliśmy dostrzec podczas obrad konferencji lipskiej. Właśnie w ostatnim numerze *Dialogu* podano informacje o Towarzystwach polsko-niemieckich działających m.in. w Essen, Turynii, Mulheim nad Ruhrą, Bremie, Berlinie, Getyndze, Hamburgu, Moguncji, Dolnej Saksonii, Saksonii-Anhalt. Odnosi się wrażenie, że w tym dialogu strona polska jest znacznie mniej aktywna, mimo wysiłków grupy polskich badaczy-historyków i politologów, podejmujących w sposób dogłębny różne aspekty stosunków polsko-niemieckich*. Polskie władze państwowe i lokalne nie

* Z ważniejszych książek ostatnich lat wymienić można np. gruntowne studia Dariusza Matelskiego „Mniejszość niemiecka w Wielkopolsce w latach 1919-1939” (Poznań 1997), Marka Stażewskiego „Exodus. Migracja ludności niemieckiej z Pomorza do Rzeszy po I wojnie światowej” (Gdańsk 1998) oraz tom referatów i opracowań polskich i niemieckich autorów pt. „Kompleks wypędzenia” pod redakcją Włodzimierza Borodzieja i Artura Hajnicza (Kraków 1998).

doceniają chyba jednak znaczenia kultury jako ważnej płaszczyzny dialogu, skupiając uwagę głównie na relacjach gospodarczych. Gospodarka jest oczywiście ważna, ale przecież nie samym chlebem żyje człowiek. Gdyby nie dotacje niemieckich fundacji i wielkich firm, nie ukazywałoby się pismo *Dialog*, nie byłoby tłumaczeń polskich pisarzy na język niemiecki i nie byłoby takich spotkań, jak w Lipsku.

Kończąc, trzeba zauważyć kilka zjawisk krzepiających i dających nadzieje na przyszłość. W Niemczech istnieje krąg osób interesujących się polską kulturą i prowadzących pogłębione studia na ten temat. Jest to krąg na tyle znaczny, że „konsument” nakłady polskiej literatury, zapoznaje się z polską twórczością literacką i naukową. Niemcy uczący się języka polskiego i nieźle nim już władający, to kolejne zjawisko, którego wagę należy docenić. Wszyscy ci ludzie tworzą po niemieckiej stronie niezwykle cennego partnera dialogu, dzięki czemu możemy mieć nadzieję na przezwycięzenie złej przeszłości. Po naszej, polskiej stronie, istnieje Instytut Zachodni w Poznaniu, grupa osób prowadzących ośrodki w Krzyżowej oraz kilka środowisk i indywidualności przeważnie starszego już pokolenia. Tym bardziej cieszy więc pojawianie się młodych, zdolnych ambasadorów polskiej kultury i partnerów dialogu, do których należą organizatorzy lipskiej konferencji – Joanna Kiliszek i Łukasz Gałęcki.

Andrzej FRISZKE

Ukraina bez Czornowola

Zamiast wyjaśnić własnemu społeczeństwu i obcym obserwatorom niezrozumiałe zygzyki polityki ukraińskiej, dzisiejsza wiosna jeszcze bardziej je pogmatwała i wbrew wszelkiej logice zaciemniła. Skosiła przede wszystkim życie Wiaczesława Czornowola, który był kimś więcej niż tylko przywódcą „Ruchu”, bo ostatnim przedstawicielem dawnego podziemia patriotycznego w polityce. Tłumacząc symbolikę jego osobowości na polski alfabet polityczny, można zaryzykować twierdze-

nie, że był jednocześnie ukraińskim Kuroniem i Michnikiem. Wyszedł z komunistycznego ruchu młodzieżowego i był najpierw komsomolskim publicystą. Pierwszy rzucił hasło walki o wolną Ukrainę, za co trzymano go kilkanaście lat w więzieniach i łagrach. Katorga go nie załamała, ale zahartowała. Moskwie i jej wysłannikom w Kijowie dał się we znaki przede wszystkim jako organizator i główny autor antykomunistycznych publikacji w drugim obiegu: podziemnego pisma *Ukrainskij Wisnyk* i pamfletu pod zapożyczonym od rosyjskiego opozycjonisty przeciwko samodzierżawiu, Gribojedowa: „Zło z powodu rozumu”. Jego list otwarty do Gorbaczowa demaskujący pułapki „pieriestrojki” zyskał mu dodatkową popularność w schyłkowej fazie istnienia imperium sowieckiego. Wypuszczony z katongi w ramach amnestii za Gorbaczowa, nie dostał zezwolenia na powrót do Kijowa. Został „zesłany” do Lwowa.

Tam rozwinął akcję patriotyczną i pod jego wpływem Lwów stał się niebawem ukraińskim Piemontem odrodzenia narodowego. Tam założono korzenie późniejszej masowej organizacji „Ruch” na wzór polskiej „Solidarności” i stamtąd ruszyła lawina postulatów niepodległościowych. Jako burmistrz a potem wojewoda lwowski zmusił ówczesną nomenklaturę komunistyczną do radykalnych ustępstw na rzecz odsowietyzowania miasta, tworzenia niezależnej prasy ukraińskiej i wszczęcia prywatyzacji.

Wiaczesław Czornowił, przez przyjaciół i najbliższych współpracowników nazywany po prostu „Sławkiem”, pochodził z serca Ukrainy, z dawnej Kozacczyny i Hajdamacczyny, z kraju poety i wieszczki narodowego Tarasa Szewczenka z okolicy Czerkasów. Po przodkach odziedziczył umiłowanie wolności ale też wolę przywództwa na miarę dawnych atamanów czy hetmanów. Na szczęście nie przejął od nich zasad bezwzględności w walce politycznej. Przyznawał się do popełnionych błędów, głównie, że w okresie słabości komunistów nie sięgnął po władzę. Podobnie jak wielu jego historycznych poprzedników spotkał się z buntem i rokoszem w najbliższym otoczeniu. Zbuntowani „pułkownicy” dokonali rozłamu we frakcji parlamentarnej i w kierownictwie partii. Na czele rokoszu stanął były minister ochrony środowiska naturalnego, ambitny, ale zupełnie bezbarwny, Jurij Kostenko. Jednak Czornowił nie dał się usunąć na

margines. Zrazu podjął kontrofensywę. Dwoił się i troił, jeździł po całej Ukrainie i mobilizował bazę przeciwko rokoszowi. Umarł tak jak zapowiedział w swym ostatnim wywiadzie, kiedy to zapytany przez dziennikarza jakiej sobie życzy śmierci: odrzekł „w pełnej działalności i w nieustannym ruchu”. Niebawem zginął na szosie Kirowograd–Kijów w zderzeniu swego samochodu z ciężarówką.

Wypadek czy zamach?

Katastrofa nastąpiła późną nocą na szosie koło lotniska Boryspol pod Kijowem, gdzie droga jest równa jak stół. Nagle trasę przecięła nieoświetlona ciężarówka z przyczepką i zastawiła drogę pędzącemu z ogromną szybkością samochodowi Czornowoła. Auto przewodniczącego Ruchu zostało zmiażdżone. Czornowół i jego bardzo doświadczony szofer zginęli na miejscu. Siedzący z tyłu rzecznik prasowy stronnictwa Panamarczuk został ciężko ranny.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystąpiło jeszcze przed wszczęciem śledztwa z oświadczeniem, że przyczyną katastrofy był „fatalny zbieg okoliczności”, ale rodzina Czornowoła i jego współpracownicy odnoszą się do tej tezy z dużym podejrzeniem. Zapytują dlaczego ciężarówka była nieoświetlona i dlaczego akurat na autostradzie dokonywała zmiany kursu? W budce szoferskiej były trzy osoby, z których dwie potem znikły bez śladu. Nasuwają się też inne dygresje. W drugim samochodzie za Czornowołem jechał były minister spraw zagranicznych Udowenko, kandydat Ruchu na nowego prezydenta Ukrainy i jego samochód uniknął od włos katastrofy.

Wszystko to rodzi rozmaite domysły i spekulacje. Wynika pytanie: komu – w wypadku ukartowanego zamachu – zależało na usunięciu Czornowoła. Moskwie? Komunistom, obozowi rządowemu? Oto pytania na które prawdopodobnie nigdy nie znajdziemy odpowiedzi. Na Ukrainie podobnie jak w Rosji było wiele zagadkowych zamachów i katastrof, w których zginęło też kilku znanych polityków i bankierów, jak Hetman i Szczerbań. Sprawców tych zbrodni nigdy nie wykryto. Jednak uczestnictwo rywali z grona „rozłamowców” jest mało prawdopodobne.

Niezapełniona wyrwa

Śmierć Czornowoła spowodowała wyrwę w ukraińskim życiu politycznym, której niepodobna zapełnić kimś innym. Był bowiem postacią wyjątkową. Odróżniał się przede wszystkim od innych polityków charyzmatyczną siłą przyciągania, żarliwością patriotycznych i demokratycznych przekonań, niespotykaną wśród innych działaczy entuzjastyczną wiarą w słuszność obranej drogi. Obdarzony talentem krasomówczym przemawiał zawsze bez papierków, co wciąż jeszcze jest rzadkością wśród przeżartej biurokratyczną tępotą i asekurancą ostrożnością politycznej elity w postkomunistycznej Ukrainie.

Porównywałbym go z Piłsudskim. Miał wszelkie walory, aby się stać „naczelnikiem”, ale nie prezydentem państwa. Szkoda, że nie zagarnął władzy kiedy się nadarzała okazja. Ale jako przywódca opozycji był najbardziej konsekwentnym obrońcą niepodległości i podstawowych wartości obywatelskich i ludzkich. I podobnie jak Piłsudski chłastał w Werchownej Radzie – może nie tak dosadnie, ale zawsze wyraźnie i odważnie – łajdaków, biurokratów i sprzedawczyków. Był orędownikiem wszystkich uciśnionych a przede wszystkim Tatarów Krymskich.

Już dziś, w kilka tygodni po jego tragicznym zgonie, parlament Ukrainy stał się szarą, bezbarwną mieszaniną. Na razie nie widać nikogo na politycznym horyzoncie, kto mógłby go zastąpić. Jest to w obliczu groźnych komplikacji bardzo niepokojące zjawisko.

Ojczyzna żegnała tragicznie zmarłego polityka na dotychczas niespotykaną skalę. Nie bombastycznie i afiszowo jak to zwykli byli czynić komuniści, ale w skupieniu i przy masowym udziale społeczeństwa. Takiego pogrzebu Kijów jeszcze nie widział. Niezliczone tłumy mieszkańców stolicy i delegacje ze wszystkich połaci rozległego kraju zgromadziły się na szlaku konduktu żałobnego od budynku pierwszego rządu niepodległej Ukrainy za Symona Petlury Ukraińskiej Republiki Ludowej – Centralnej Rady i Soboru Świętego Włodzimierza, na ulicach i bulwarach Szewczenka, Bohdana Chmielnickiego i Wołodymyrskiej, od rynku na Besarabce aż do Akademii Nauk i Uniwersytetu. Tłum szedł i szedł za sztan-

darami państwowymi przewiązanymi kirem. Jeszcze raz wyległa cała Ukraina jak w czasach powszechnego uniesienia po ogłoszeniu niepodległości. Żegnano głównego budowniczego niezależnej Ukrainy. Ludzie płakali i psioczyli na władzę, że przez policyjne ogrodzenia i chaotyczną organizację nie pozwolono pożegnać się ze zmarłym według starego obyczaju przez dotknięcie lub ucałowanie trumny.

Postkomunistyczne władze Ukrainy nie okazały się na poziomie dla oceny i uszanowania wielkiego syna odrodzonego państwa. A przecież powinni byli dzień pogrzebu ogłosić dniem ogólnonarodowej żałoby, a ceremonię społecznego pożegnania przeprowadzić albo w głównej hali parlamentu lub na Placu Niepodległości. I tak pogrzeb Czornowoła stał się egzaminem dla postkomunistycznej władzy. Zdała go niedostatecznie.

Tylko Lwów uczcił pamięć Zmarłego w godny sposób z udziałem władz miejskich i społeczeństwa. Postępowanie władz kijowskich spotkało się z potępieniem.

Bohdan OSADCZUK

Cmentarz ukraiński w Kaliszu-Szczypiornie

Drugi rok trwa odbudowa zdewastowanego cmentarza ukraińskiego w Szczypiornie, niegdyś podkaliskiej wsi, dziś dzielnicy Kalisza. W tym roku na ten cel przeznaczono 180 tysięcy złotych.

Cmentarz w Szczypiornie może stanowić smutną ilustrację burzliwych dziejów tego zakątka Europy w XX wieku. Założyli go w 1914 roku Niemcy, aby chować tam swoich żołnierzy oraz jeńców rosyjskich z pobliskiego obozu. Znajdują się tam także mogiły kilku polskich legionistów internowanych w Szczypiornie po kryzysie przysięgowym, 47 Włochów i blisko tyle samo Anglików, 770 żołnierzy armii rosyjskiej, 111 jeńców bolszewickich

wziętych do niewoli podczas wojny polsko-sowieckiej, a także 197 Ukraińców z armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, którzy pozostali w Polsce po klęsce atamana Petlury.

Właśnie tym ostatnim przekazano w roku 1926 administrację cmentarza. Był on w okropnym stanie. „Parkanu nie było, mogiły poobсыpywały się, pozawałały, na mogiłach pasło się bydło, goniły się psy blakające i cmentarz stał w przededniu całkowitego zniszczenia” – czytamy w piśmie zarządu Stanicy Ukraińskiej w Kaliszu do Związku Legionistów Polskich z 30 listopada 1930 roku. Dzięki staraniom Ukraińców cmentarz ogrodzono parkanem z żelaza i betonu, wzdłuż płotu posadzono żywopłot, na cmentarzu zasadzono drzewa, a mogiły uporządkowano.

Po II wojnie światowej cmentarz znowu, praktycznie rzecz biorąc, uległ likwidacji. Zarosły go drzewa i krzewy, nagrobki porozpadały się zniszczone przez czas lub przez wandalów. Rok temu, po wykarczowaniu krzaków, okazało się że obelisk z pamiątkowym napisem oraz większość grobowych krzyży to tylko kupa gruzu. Ocalało zaledwie kilka sterczących wśród trawy kikutów. W tej chwili „nekropolia” to kilkanaście brzoź pośród szczerego pola.

W szybkim tempie trwają jednak prace, mające na celu odtworzenie cmentarza. Przede wszystkim trwa budowa drogi, która umożliwi dostanie się na otoczony polami cmentarz. Dotychczas można się było nań dostać jedynie grzęznąc po kolana w błocie. Rozpoczęto również odbudowę muru, który niegdyś otaczał miejsce pochówku żołnierzy. Pracami kierują władze Kalisza, zaś kosztą ponosi Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Wszystkie prace konsultowane są ze Związkiem Ukraińców w Polsce.

Kiedy robotnicy ukończą drogę oraz ogrodzenie, odtworzony zostanie obelisk, po którym pozostały jedynie resztki cokołu. Cały teren zostanie obsadzony zielenią. Po niedawnym podpisaniu polsko-ukraińskiego porozumienia w sprawie odbudowy cmentarzy samorząd Kalisza liczy na dalsze dotacje, które umożliwią przywrócenie cmentarzowi w pełni przedwojennego wyglądu.

Arkadiusz PACHOLSKI

Kronika białoruska

W dniach 10-11.04. pani Eulalia Domanowska wygłosiła cykl wykładów na Wydziale Historii Sztuki Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego w Mińsku. Wykłady były poświęcone sztuce polskiej lat 90-tych. Współprelegentem był Oleg Kulik z Moskwy. ■ Również w kwietniu w ramach programu Instytutu Polskiego odbył się cykl wykładów prof. Uładzimira Marchela „Białorusko-polskie kontakty literackie XIX wieku”. Wykłady odbyły się na Wydziale Filologicznym Białoruskiego Uniwersytetu Pedagogicznego. ■ Również w kwietniu, w Mochylewie, odbył się Festiwal Filmu Polskiego, zorganizowany wspólnie przez Wydział Kultury miasta, Związek Polaków Białorusi oraz Instytut Polski. ■ Program II białoruskiego radia od miesiąca nadaje audycje poświęcone 180 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki. Audycje te powstały przy udziale Instytutu Polskiego. ■ W dniach od 14 do 19 kwietnia przebywał w Mińsku Teatr Ósmego Dnia z Poznania. Został on zaproszony wspólnie przez Instytut Polski w Mińsku oraz Fundację „Nasza Niwa”. W trakcie swego pobytu w Mińsku teatr trzykrotnie pokazał widowisko „Piołun”. Na pierwszy pokaz zostali zaproszeni głównie studenci wydziałów aktorskich oraz młodzież akademicka, na drugi dziennikarze, pisarze oraz przedstawiciele środowisk niezależnych Mińska. Trzeci niedzielny spektakl obejrżeli niezależni działacze polityczni i kulturalni z prowincji. Przyjechali oni do Mińska na zaproszenie Fundacji IDEE. Wielką pomoc okazał pan Paweł Kazanecki. ■ W dniach od 16 do 19 kwietnia na zaproszenie IP przebywały w Mińsku panie: Ewa Szymczak SOS (Kuronia) oraz Agnieszka Martynowicz. Obie panie przyjechały na seminarium poświęcone opiece społecznej. W trakcie seminarium dyskutowano nad pojęciami i zadaniami, które pozwalają na rozdzielenie funkcji organizacji rządowych i pozarządowych w domenie pomocy społecznej i pracy charytatywnej.

Notatki Redaktora

Rosnący kryzys polskiego sądownictwa. Ostatnio sąd w Słubicach uznał Andrzeja Leppera winnym bezprawnego blokowania ruchu na drogach lecz nie wymierzył mu kary, zasądził jedynie 6 zł (słownie: sześć złotych) kosztów postępowania. Lepper odmówił zapłacenia. Już poprzednio Lepper był skazany na pozbawienie wolności – ale z zawieszeniem – za łżenie organów państwowych, Rząd zalecił kolegium łagodne traktowanie wszystkich oskarżonych rolników. Sądy ponadto masowo zwalniają aresztowanych ze względu na „niewielką szkodliwość społeczną” co znakomicie paraliżuje działalność policji. Warunki bezpieczeństwa w kraju są coraz gorsze, jest coraz więcej procesów ciągnących się latami. Kolejni ministrowie sprawiedliwości niczego nie zrobili by przeprowadzić wreszcie zasadniczą reformę wymiaru sprawiedliwości.

W ubiegłym roku Polska straciła około miliarda złotych z powodu luk w systemie celnym. W dokumentalnym artykule pt. „Fikcja celna” (*Przegląd Tygodniowy*, 7.04.99) czytamy: „Gospodarka ugina się pod ciężarem niekontrolowanego importu. Zaniżana wartość towarów, źle wyliczane taryfy, nieskuteczne i skorumpowane służby celne, biznesmeni manipulujący cłami za pośrednictwem polityków – to nasza ekonomiczna codzienność. Rząd ani nie potrafi, ani nie chce chronić gospodarki za pomocą przemyślanej polityki celnej.”

Realizowana obecnie lustracja okazała się prawdziwą puszką Pandory. Wyphywają najdziksze rewelacje i oskarżenia

nie oszczędzające nikogo. Ta akcja, przed którą wielokrotnie przestrzegałem, zatruwa nasze życie polityczne, pogłębiając destabilizację aparatu państwowego i oskarżając szereg niewinnych ofiar. Ujawnia się działalność naszych służb specjalnych, manipulowanych przez nieodpowiedzialnych polityków, od b. prezydenta Wałęsy poczynając, nie mówiąc o działalności pp. Macierewicza i Pałubickiego. Nic nie wskazuje na to, by wicepremier Tomaszewski, któremu te sprawy podlegają, zamierzał to uporządkować.

Na utrzymanie przyjętych przez Polskę uchodźców z Kosowa przyznano dotąd 4 mln z rezerwy budżetu. Ten humanitarny gest jest b. szlachetny i słuszny, ale trzeba żałować, że nie znalazły się pieniądze dla głodujących dzieci w Polsce i na utrzymanie domów dziecka, które znajdują się w tragicznej sytuacji. Szereg krajów, znacznie bogatszych od nas, okazało się mniej hojnymi.

W obecnym konflikcie zapominamy, że prowadzimy wojnę nie z narodem serbskim, ale ze Slobodanem Miłoszowiczem i jego kliką, winną ludobójstwa Albańczyków w Kosowie. Z Serbią łączyły nas zawsze przyjacielskie stosunki. W 1939 roku, bardzo ofiarnie pomagali Polakom dążącym do wojska polskiego we Francji. Szereg Serbów walczyło w AK, później w Belgradzie były bazy naszej roboty na kraj. Po wojnie np. *Kultura* miała duże ułatwienia w przerzucie literatury do Polski i do Rosji, i to druków bardzo niewygodnych dla Tito. Mieliśmy bardzo przyjazne stosunki z szeregiem działaczy, jak np. z Dżilasem. Jeździli wtedy do Serbii, celem nawiązania kontaktów, Zygmunt Hertz i Jerzy Stempowski. Mieliśmy wielu oddanych przyjaciół pomagających nam w pracy. Serbowie bardzo interesowali się polską literaturą i współpracą kulturalną, z nieodżałowanym Vujićem na czele. Sporo polskich pisarzy było popularnych w Serbii, ich dzieła były tłumaczone i wydawane. Sądzę, że byłoby pięknym gestem, gdyby np. polski PEN Club przyszedł z pomocą

humanitarną serbskim pisarzom i zorganizował publikacje ich utworów. Tak, jak dziś walczymy o Albańczyków w Kosowie, powinniśmy już dziś myśleć o pomocy dla przyszłej demokratycznej Serbii.

Jak podaje *Polityka* w numerze z 24.04., w bazylice w Licheniu ma stanąć pomnik Jana Pawła II, który będzie odsłonięty w czasie wizyty Papieża w Polsce. Pomnik waży 8 ton, ma wysokość 10 metrów. W Polsce wzniesiono dotąd 36 pomników Papieża. Co myślę o bazylice w Licheniu, już pisałem i nie chcę się powtarzać. Powiem krótko, że to ma taki sam sens jak katedra na Wybrzeżu Kości Słoniowej w Afryce. Licheń nie jest odosobniony, projektuje przecież szereg kościołów Prymas Glemp, m.in. kościół votum dla uczczenia Konstytucji 3 Maja. Prymas zapewnia, że nie będzie to dotowane przez Państwo, ale przez wiernych. Obojętne – zapłaci za to społeczeństwo. Natomiast nie ma pieniędzy na budownictwo mieszkaniowe dla bezdomnych czy ludzi o bardzo skromnych dochodach. Szał pomnikowy ogarnął nie tylko Kościół. W samej Warszawie mają stanąć pomniki: Bitwy o Monte Cassino, z kararyjskiego marmuru (2160 dol. za tonę), Józefa Wybickiego i Pomnik „Chwały i pamięci obrońcom wolności i niezawisłości Ojczyzny”, wreszcie pomnik Romana Dmowskiego. A inne miasta? A te dziesiątki pomników Marszałka Piłsudskiego? Wdzięczne zadanie dla nowego ministra kultury i sztuki o zakazie budowania pomników, sanktuariów etc. do czasu wyjścia Polski z kryzysu.

W *Tygodniku Solidarność* (2.04.99) ukazał się artykuł p. Waldemara Łysiaka pt. „Protestuję”. P. Łysiak pisze:

„Protestuję przeciwko bandyckiej napaści wojsk Zachodu na suwerenne państwo jugosłowiańskie – napaści, której celem jest ukradzenie temu narodowi dużego fragmentu terytorium. (...) Kazano już Polakom kochać muzułmańskich gangsterów (Czecenów), kazano

szanować muzułmańskich bolszewików (Kurdów), a teraz mamy okłaskiwać lotnictwo, które rysując bombami nową mapę Bałkanów tworzy nader wygodny precedens – iluż 'niegrzecznym' państwom można będzie capnąć jakąś prowincję, używając etnicznego pretekstu! Lub pretekstu pt. 'prawa człowieka'! Jeśli ten precedens kiedyś sprawi, że zwrócony nam zostanie Lwów – to ja przestanę protestować tylko pod warunkiem, że przy zwracaniu Lechitom Lwowa nie zostaną nam zabrane metodą kosowską Pomorze, Śląsk lub Mazury”.

Waldemar Łysiak

Komentarz jest zbytczyny. Tylko pogratulować *Tygodnikowi Solidarność*.



Przy ostatniej rekonstrukcji rządu, p. Joanna Wnuk-Nazarowa ustąpiła ze stanowiska ministra kultury i sztuki. Nie wchodząc w ocenę jej działalności jako ministra, chcę osobiście podkreślić, że w różnych ważnych sprawach p. Wnuk-Nazarowa była bardzo otwarta na argumenty i załatwiała wtedy powzięte decyzje.

REDAKTOR

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Książki

Być pisarzem

1.

Przed wszystkim: rzadko kto gotów jest się do tego przyznać. Być pisarzem w dobie dzisiejszej to uprawiać zawód dziwaczny i społecznie podejrzany. W jeszcze gorsze kłopoty wpędzić może przyznanie się do pisania wierszy. Ja w każdym razie, gdy jadę pociągiem, ukrywam się za szyldem uniwersyteckiego pracownika naukowego – też nie najlepiej, ale jednak ujdzie.

Tak było zresztą zawsze, w końcu nie bez podstaw zdają się być legendy o „chudych literatach” i ledwo wiążących koniec z końcem członkach artystycznej cyganerii. Wydać córkę za pisarza oznaczało zarówno w II, jak w III RP skazać ją na los raczej niewesoły. Ale, oczywiście, nie zawsze tak właśnie było. To samo wydanie córki za pisarza w PRL opłacić się mogło sowicie. W PRL wejście „na literackie salony” zapewniało – co widać choćby z lektury dzienników pań Dąbrowskiej i Nałkowskiej – swego rodzaju społeczną nobilitację i możliwość znalezienia się w pobliżu kręgów władzy. I choć nie są prawdą legendy mówiące o tym, że samo wejście w poczet członków Związku Literatów Polskich zapewniało nie tylko przeżycie, lecz także życie na względnie dostatniej stopie, to przecież jest faktem, iż można się było, będąc oficjalnie uznanym „literatem” – a więc człowiekiem wyposażonym w legitymację związku twórczego – nieźle urządzić. System stwarzał takie możliwości i w wypadku, gdy się uznawało narzucane przez władzę reguły gry, żyło się z pisania zupełnie przyzwoicie, choć, rzecz jasna, tak zupełnie za nic tych pieniędzy nie dawano. Ale dawano wiele źródeł

utrzymania na raz, zaś wśród nich dochody z publikacji własnych utworów stanowiły procent raczej niewielki.

Oficjalny literat nie znoszący się z władzą i raczej spolegliwy ssał matek wiele, zależnie od swej zapobiegliwości, „przerobu” produkcyjnego i – nie na końcu – zalet towarzyskich. W dość rozbudowanej sieci prasy kulturalno-społecznej mógł sobie załatwić kilka stałych felietonów, w razie braku lęku przed mikrofonem mógł też sporo zarobić w radiu, w którego kilku programach (plus rozgłośnie lokalne) miejsca na kulturę było za PRL sporo, mógł też ruszyć „w trasę” po Polsce, prezentując się na spotkaniach autorskich w licznych szkołach, bibliotekach i domach kultury (w dobrym układzie nawet trzy spotkania w ciągu dnia) – nie jest przypadkiem, że „spotkanie z pisarzem” to jeden z powracających natrętnie tematów literatury okresu PRL-u. Były półfikcyjne posady redaktorskie, instruktorskie, fuchy przy wydawnictwach, możliwości niezłych zarobków za teksty do piosenek.

Jak wszędzie – byli tu potentaci – byli i drobni ciułacze. Jedno nie ulega wątpliwości – zajęć dla literatów nie brakowało, było gdzie zarobić. Nie wszyscy z tych możliwości korzystali, ale korzystało wielu, szczególnie ci, którzy do literatury powychodzili z nikąd, bez zawodu, bez ukończonych studiów, bez żadnego innego doświadczenia życiowego – gdyby spróbować rzecz przebadać dokładniej, okazałoby się, że dotyczy to przede wszystkim dwóch formacji pokoleniowych: debiutującego po 1956 „pokolenia *Współczesności*” oraz pisarzy skupionych wokół Orientacji Poetyckiej Hybrydy, a obdarzających się mianem „pokolenia ‘60” (zwłaszcza ta ostatnia grupa warta jest uwagi: we wszystkich kolejnych fazach przemian starała się utrzymać na powierzchni, czepiając się publikacji w takich pismach jak *Tu i Teraz* Koźniewskiego czy *Wiadomości Kulturalne* Toeplitza – z tego kręgu pochodzi opisany niedawno na łamach „Tysola” „uznany poeta, pracownik *Poezji* i były prezes Warszawskiego Oddziału ZLP, który pędzi dziś żywot bezdomnego”; ale też inny pisarz tego kręgu, Andrzej Zaniewski, potrafił się w nowych warunkach zupełnie nieźle odnaleźć – trudno więc mówić o regułach).

Jedno nie ulega wątpliwości – system PRL-owski stwarzał możliwości jeśli nie życia z literatury (bo to, nawet zakładając

wydawanie co roku tomu wierszy, raczej zaliczyć należy do mitów – z utworów literackich żyli naprawdę nieliczni, tak jak i dziś), to w każdym razie zupełnie znośnego urzędnika się w pobliżu, w czym, rzecz jasna, legitymacja ZLP bywała pomocna, choć nie stanowiła wyposażenia koniecznego. Ale podobnie można się było urządzić także – zwłaszcza w latach osiemdziesiątych – na emigracji: kosztowało to sporo wysiłku, nieustannej pracy, ale nie było niemożliwe: sporo było wówczas czasopism, polskich rozgłośni radiowych, zdarzały się spotkania autorskie, przy odrobinie zaradności można było załatwić sobie jakieś stypendium, nawet kilka. Zapewne – wysiłek pozwalający na obczyźnie – żyć z pisania był bez porównania większy niż w kraju, niemniej nie była to rzecz nieosiągalna.

Przyznam, iż niewielu znam pisarzy żyjących wyłącznie z pisania swych utworów, choć i tacy się oczywiście zdarzają. Większość jednak uprawia jakieś inne – mniej lub bardziej z pisaniem związane zajęcia: dziennikarstwo, pracę naukową, działalność wydawniczą itp. Wraz ze zmianą systemu zmieniło się wiele, w tej sferze jednak w zasadzie wszystko pozostało po staremu i narzekanie na jakiś specjalnie smutny los pisarza wydaje się nieporozumieniem. Nie jest natomiast nieporozumieniem narzekanie na to, co się dzieje na rynku wydawniczym, który, po rozpadzie molocha komunistycznego, w którym wszystkich obowiązywały te same zawsze stawki „za arkusz” (co biło tych wszystkich, którzy zdobywali popularność czytelnictwem), w tej chwili zmienił się w obszar, na którym obowiązuje prawo dżungli: stawki wydawnicze – jeśli istnieją, gdyż wielu wydawców po prostu nie płaci – są w większości wypadków kpina w żywe oczy, bo nie można inaczej określić sytuacji, w której za tom esejów w wydawnictwie naukowym otrzymuje się 100 zł za arkusz.

2.

Kwestią innego zupełnie rodzaju jest sprawa miejsca literatury w życiu społecznym. W PRL kultura – stanowiąca jedną z nielicznych enklaw, w których mogła się, mimo cenzury i innych ograniczeń, ujawnić autentyczność i wielość postaw – zajmowała pozycję dość wysoką, obdarzona była sporym prestiżem. Dziś, rzecz jasna, owa rola zastępcza kultury należy

do przeszłości i tym samym uwaga publiczna w dużo mniejszym stopniu skupia się na literaturze – przestała być ona domeną żywych i interesujących szersze gremia sporów o wartości. Widać to w prasie społeczno-kulturalnej, w której miejsce literatury niemalże opustoszało (wystarczy porównać uwagę, jaką poświęcała tym sprawom *Polityka* jeszcze nawet w latach 80-tych z tym, co oferuje redakcja swym czytelnikom obecnie), miejsce eseju zajął felieton (im bardziej powierzchowny i „śmieszny”, tym lepiej), widać to i w innych mediach (wystarczy zestawić „ramówki” radiowe i telewizyjne sprzed lat dwudziestu z obecnymi – teraz nie program jest przedmiotem uwagi redakcji, lecz „słuchalność”), widać to nawet w roli literatury w szkole (okrawanie programów do niezbędnego minimum, upraszczanie, spłaszczanie, eliminacja tekstów „trudnych”, w efekcie zmiażdżenie idiomu kulturowego łączącego dotąd różne pokolenia i rozbieżności znaczeniowe kultury narodowej).

Najnowsze badania CBOS stwierdzają, że w roku 1998 aż 52% Polaków nie przeczytało ani jednej książki (wliczając w to literaturę fachową). Jest to bez wątpienia odbiciem ogólniejszego trendu cywilizacyjnego i w gruncie rzeczy nie byłoby nad czym rąk załamywać, gdyż w końcu kultura jest sprawą elit, zaś przekonanie o tym, że chłopci i robotnicy nie mają po pracy nic innego do roboty niż czytanie prasy literackiej i tomików wierszy w klubokawiarniach jest mdłą utopią z czasów *Kuźnicy* Stefana Żółkiewskiego. Zresztą – gdy jechałem metrem w Mexico City i spostrzegłem, że wszyscy zajęci są lekturą, początkowo poczułem się zaskoczony, lecz owo zaskoczenie minęło, gdy zauważyłem, iż przedmiotem lektury są komiksy. Mniej więcej ten poziom reprezentuje 99,9% ludności świata i mniemanie, że można tu coś zmienić, nie jest niczym więcej niż pobożnym życzeniem. Rzecz w tym, że ten typ „oglądalności” określa też poziom zajmujących się kulturą instytucji dbających o to, by ich „produkty” były lekkostrawne i nie zniechęcały potencjalnych nabywców (o czytelnikach, widzach czy słuchaczach dawno już się w tym kontekście przestało mówić). Ma być nieskomplikowane i nie za mądre. Ale winno być też – to wpływ języka reklamy – agresywnie, gdyż to podwyższa poziom adrenaliny, co jest odczuciem skądinąd przyjemnym,

a o przyjemność zaś w ostatecznym rachunku ma chodzić.

Owa agresywność, stanowiąca na ogół – choć nie wyłącznie – cechą młodości, doprowadza do powstania swoistego syndromu „młodej kultury” czy „młodej literatury”: tutaj właśnie lokuje się oczekiwania dotyczące jakichś dających się handlowo spożytkować przemian. Stąd narastający z dziesięciolecia na dziesięciolecie kult debiutu. Towarzyszy mu i uzupełnia go jeszcze inne zjawisko: wszelkiego rodzaju rankingi – przy czym nie chodzi bynajmniej o jakąś sensowną hierarchizację zjawisk kultury, chodzi o to, kto lub co zdobędzie większą popularność: oto nowa odmiana demokracji kultury. Te dwa kryteria – popularności i młodości – zastąpiły wszelkie inne, stąd w jednej „konkurencji” startują na tych samych prawach zjawiska tak różne jak poezja Symborskiej i powieści Chmielewskiej, eseje Zygmunta Kubiaka i felietony Pilcha, co znajduje symboliczny wyraz w powołaniu do życia jednej z najbardziej pokracznych instytucji kulturalnych III Rzeczypospolitej, jaką jest literacka Nagroda Nike.

Chciałbym być dobrze rozumiany: nie narzekam na zaistniałą sytuację, próbuję ją jedynie opisać odwołując się do dość tradycyjnego, nawet konserwatywnego systemu wartości kultury – systemu, w którym poszczególne zjawiska artystyczne miały swe określone miejsce, w którym oceną tych zjawisk zajmowała się nie publiczność (ta także, lecz na innych zasadach), lecz wyspecjalizowana krytyka, w którym wreszcie w środkach komunikacji społecznej, w prasie, radiu i telewizji, miejsce dla kultury nie zostało jeszcze zredukowane do „kącików” i „rubryk”. Wiem, że ten system uległ rozpadowi, zapewne nieodwracalnemu, ale wiem także, że w jego miejsce nie zaproponowano nic nowego, zaś to, co jest, istnieje poza sferą życia publicznego, w izolacji nie tylko od szerszej publiczności, lecz także od siebie wzajemnie. Ten brak centrum pogłębia procesy dezintegracyjne, tworząc – wbrew nadziejom na powstanie wielokulturowej i wielowymiarowej, dynamicznej oraz promującej wielość punktów widzenia, sfery kultury – zatomizowany świat „nowego mieszczaństwa”, w którym, jak u „strasznych mieszczan” Tuwima, wszystko istnieje osobno.

Pytanie o to, czy można i czy warto temu zaradzić, jest

pytaniem o to, czy jesteśmy zainteresowani rozwojem dialogowego systemu kultury, w którym mamy do czynienia ze ścieraniem się rozmaitych postaw i w którym ocalanie tożsamości uczestniczących w wymianie myśli podmiotów ma w ogóle jakiś sens. Zwolennicy świata bez centrum twierdzą, że tylko w takim świecie możliwa jest swobodna ekspresja twórcza. Owa ekspresja jednak trafia w obszar zagłuszających się wzajem monologów, a nie tworzy automatycznie – jak to by się mogło wydawać – przestrzeni dialogu: tu już nikt nikogo nie słucha, a jedynie jedni przekrzykują innych. Kto twierdzi, że jest inaczej, demonstruje jedynie swe dobre samopoczucie, ale jednocześnie wykazuje się niezdolnością rozpoznania realiów.

Gdy jednak uznamy – co wcale nie jest przesądzone – że warto taką przestrzeń dialogu rekonstruować, wówczas warto też się zastanowić nad tym, w jaki sposób możemy to uczynić. W moim mniemaniu czas po temu jest najwyższy, gdyż jako społeczeństwo od dziesięciu lat znajdujemy się w okresie niejako przejściowym, w którym decyduje się cała nasza kulturalna przyszłość, określająca m.in. narodową tożsamość Polaków. Zdawanie się wyłącznie na mechanizmy rynkowe jest tu co najmniej zawodne. Dlatego – w tym właśnie kontekście – należałoby się zastanowić czy (a jeśli tak, to jak) możliwe jest określenie w tej dziedzinie roli państwa – nie jako animatora życia kulturalnego i nie jako mecenasa narzucającego określoną wizję kultury, lecz jako stymulatora zachodzących w kulturze procesów, jako zatem gwaranta istnienia owego utraconego centrum, stwarzającego warunki rzeczywistego dialogu. Bo państwo jako ratownik zespołów orkiestr dętych powinno tu ustąpić miejsca instytucjom samorządowym, lokalnym. Przededefiniowanie współzależności między kulturalną aktywnością państwa a siecią lokalnych inicjatyw w tej dziedzinie, jest jedną ze spraw obecnie najpilniejszych. W szczególności istotne wydaje się przededefiniowanie funkcji i roli Ministerstwa Kultury i Sztuki, instytucji, która, pozostając z założenia światopoglądowo neutralną, winna koncentrować się przede wszystkim na stworzeniu możliwości rozwoju i promocji kultury narodowej.

Leszek SZARUGA

Podróżowanie – Poszukiwanie – Pamiętanie

O KSIĄŻKACH WOJCIECHA KARPIŃSKIEGO

Lubię czytać eseje Wojciecha Karpińskiego, lubię rozlewność frazy złożonej paradoksalnie ze zdań krótkich, w których widoczna jest dbałość o precyzję słowa. A jednak, gdy chce się o tej prozie opowiedzieć, narasta nieodparte odczucie piętrzących się trudności. Proza Wojciecha Karpińskiego wymyka się recenzenckim formułom, nie poddaje się jednoznaczny osądom. Dzieje się tak z wielu powodów.

W książkach: „W Central Parku” (Wrocław, 1998), „Prywatna historia wolności” (Warszawa, 1997) i „Herb wygnania” (Warszawa, 1998) autor porusza problemy uniwersalne, ważne dla każdego człowieka, społeczeństwa, narodu; mówi o wolności i tolerancji; o zakorzenieniu i porzuceniu, o szukaniu tożsamości i odnajdywaniu własnego głosu, ciężar podejmowanych zagadnień – doprawdy istotny – pozbawić może oddechu i wytrącić pióro z ręki... Zdumiewa wielość poruszanych perspektyw, różnorodność podejmowanych tematów. Jak objąć tę wielość lekturowych fascynacji, nazwisk, parady obrazów i widoków, natłok wspomnień?

Podróżowanie

Podróżowanie, a nie podróż, wydaje mi się właściwym określeniem. Przede wszystkim dlatego, że zakłada trwanie, że mieści w sobie wiele podróży – tych powtarzanych i nowych. Oznacza u Karpińskiego podążanie za wędrującymi bohaterami lektur, którzy z kolei znaczą własną mapę wędrówek jak: V. Nabokov, A. Sołżenicyn, A. Tocqueville, Cz. Miłosz, W. Gombrowicz – oto nazwiska, które pojawiają się bardzo często, choć pełna lista autorów byłaby bardzo, bardzo długa. „W Central Parku” rozpoczyna się od eseju pt. „Mapa

Ameryki”, jakby tłumacząc konieczność ustalenia punktów topograficznych, nieodzownych dla długiej wędrówki po Stanach Zjednoczonych. Porządek, najwyraźniej obecny w tym tomie, komplikuje daleko posunięta dygresyjność, powtórzenia i powroty do ulubionych książek i motywów; ma to swoje uzasadnienie w przekonaniu, że powtórzona podróż nigdy nie jest tą samą podróżą.

Interesujące Karpińskiego zagadnienia szeroko pojętej sztuki i pamięci, a więc także i historii, zderzone zostają z problemem ich nazywania. A jednak ze swobodą (choć tej łatwości zaprzecza) autor miesza w tygłu opowieści lektury i kultury, różne sztuki i nauki... Wychodzi z tego cało – według mnie – dzięki pomocnemu „słowniczкови”, który tworzą słowa-klucze. To właśnie jego przebiegły sposób na radzenie sobie z granicami. Do takich magicznych słów należy widzenie.

Widzenie koncentruje się przede wszystkim na przedmiotach do tego predestynowanych, na rysunkach i obrazach: D. Hockneya, E. Hoppera, E. Shielego i S. Steinberga i wielu innych. Oznacza także po prostu oglądanie i zapamiętywanie widoków; przed oczami czytelnika defilują fragmenty książek, Wielki Kanion, favela w Rio, domy pisarzy, siedliska przyjaciół. Między oglądanymi widokami i podziwianymi obrazami zachodzą interakcje; nakładają się, uzupełniają, tłumaczą wzajemnie. To duży atut Karpińskiego – owa szczególna umiejętność kojarzenia i składania czasem pozornie nieprzystających fragmentów. Widzenie u Karpińskiego oznacza bowiem akt intensywnej koncentracji – dojrzeć, zobaczyć, zrozumieć i nazwać, co kryje się pod powierzchnią zjawisk – to ostateczny cel podejmowanego wysiłku. W tym pomagają raz wybrane i nieustannie powracające w trzech tomach szkiców, stałe punkty odniesienia, słupy milowe w licznych podróżach. Są nimi m.in.: „Widzenia nad Zatoką San Francisco” Miłosza i jego „Obłoki”, „Okno w Luwrze” Hockneya, poezje H. von Hofmannsthala, listy N. Chiaromonte i zeszyty *Kultury*. Różne to sposoby oglądania świata i różne dyscypliny – w widzeniu Karpińskiego jednak trafnie spokrewniane; oto powiada Karpiński o Miłoszu, że potrafi nazwać nieobecność, a o Hockneyu, że potrafi ją namalować.

Ważnym słowem w rozmówkach wytrwałego podróżnika

jest wyobraźnia. Ona reguluje ostrość widzenia, ożywia barwę przyblakłych z czasem fotografii i pomaga kojarzyć słowa. To wyobraźnia podsuwa lektury dotyczące krain „fikcyjnych”: choćby „Alicję w Krainie Czarów” i „Czardziejską górę”. Ostatecznie to przecież: „Podróże są wyzwaniem dla wyobraźni – nowe doznania domagają się nowych skojarzeń, nowych słów”. „Portret wyobraźni” poświęcony Vladimirowi Nabokowowi jest jednym z moich ulubionych szkiców w tomie „W Central Parku” – to pięknie rozsnuta opowieść, w której Karpiński śledzi trasę jego wędrówek i ewolucję twórczej koncepcji: od „Daru” po „Lolite”. Nabokov jest dla Karpińskiego mistrzem, tj. tym, który nie tylko posiadał sztukę „zwielokrotnionego widzenia”, ale i zdolność nazywania.

Definicja ujmuje wyobraźnię w ryzy, czyni pożytek z nazbieranych widoków i obrazów. Definiowanie rozpoczyna się już na poziomie samej podróży, odnajdywania siebie, własnego języka: „Podróże – jak dzieła sztuki – są szkołą mowy”.

Szczególnym znaczeniem obdarza Karpiński miejsca, m.in. biblioteki – punkty, z których można wyruszyć w wiele potencjalnych podróży. Biblioteki amerykańskie i europejskie otwierają się w opowieściach Karpińskiego jak królestwa bez granic. To właśnie wśród książek okazuje się, że zakreślenie ostrych podziałów jest niemożliwe. Identyfikacja, dookreślenie, odszukanie korzeni następuje również w Bibliotece Polskiej na Quai d’Orleans, w Maisons-Laffitte, czy w Księgarni Polskiej na Saint Germain.

Cieszy wnikliwość oglądu autora, waga przyznawana szczegółowi, swoboda skojarzeń: wprawne poruszanie się w przestrzeni sztuk plastycznych, literatury, historii, religii i filozofii. Porywa prostota zdań i urokliwość spostrzeżeń. Ale czytelnik może zgubić się w tym natłoku wrażeń i opisów – jakby wszystkiego było za dużo; może by więc dokonać trudnej, lecz moim zdaniem koniecznej selekcji. Może niekoniecznie wspominać o wszystkich skojarzeniach; erudycyjność autora i tak zostanie doceniona. Niekiedy przeszkadza powtórzenie. Gdy jego natężenie rośnie, czeka się szczególnie niecierpliwie na niespodzianki. One następują np. w końcowej części szkicu o Nabokowie, w którym zestawione są cytaty

z autora „Lolity” – w sposób przemyślany i trafny. Ów wybór jest doskonały. Ale taka zmiana w sposobie prowadzenia narracji w szkicu „O Mozarcie”, zawartym w „Herbie wygnania”, wydaje się powieleniem pomysłu, który może być oryginalny tylko raz. Nuży czasem powtarzalność myśli, a w perspektywie trzech książek powtarzalność motywów, niemal szkiców. Razi u niekonwencjonalnego przecież autora konwencjonalność jego tekstów. Takie są oczywiście niebezpieczeństwa podróżowania, na które narażony jest każdy, niezależnie od obranego sposobu podróży. Uważam, że niewątpliwą zaletą Karpińskiego jest świetna umiejętność zestawiania strzępów cudzych biografii z własnymi doświadczeniami. To co u niego lubię to także żywa pulsacja tekstu, falowanie, powracanie pamięci przy jednoczesnym zachowaniu przejrzystości budowy. I to co najważniejsze: zarówno bohaterów Karpińskiego jak i jego teksty charakteryzuje pasja tworzenia. Podróżowanie staje się swoistym antidotum na zagubienie i bierność. Podróż kształcą – przypomina Karpiński – lecz tylko tych, którzy zaglądają pod powierzchnię warstwę zjawisk.

Gwarantem postawy moralnej podróżującego, jego „busolą” jest cnota, w rozumieniu antycznym i XVIII-wiecznym: Karpiński pisze o różnych jej realizacjach: „Zasadą demokracji jest cnota polityczna, miłość do ojczyzny i równości; zasadą arystokracji jest opierające się na cnocie umiarkowanie. Cnota nie może być zasadą monarchii – tzw. podstawową sprężyną tego rodzaju ładu społecznego”.

Poszukiwanie

Problem nazywania komplikuje się, gdy trzeba zmierzyć własną polszczyznę z językiem kraju, do którego rzuciły nas losy. Tym bardziej jeszcze, gdy chcemy pisać, zaistnieć teraz w sytuacji kraju ojczystego, z pozycji emigranta – dać sobie radę z zawłościami czasu i pamięcią miejsc, w których nas już nie ma. Poszukiwanie jest poszukiwaniem literackiej polszczyzny, „formy bardziej pojemnej” i zarazem walką z niedowładem języka.

Może być tak, że w podróżowaniu i poszukiwaniu nie

jesteśmy sami – ktoś realny patronuje podróży, ktoś ją razem z nami odbywa; dla Karpińskiego takim przyjacielem jest Marcin Król, któremu dedykował autor „W Central Parku”. Takimi przyjaciółmi są także niezmiennie towarzyski podróży, wierne lektury. „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” A. Mickiewicza, oraz „Godzina myśli” J. Słowackiego. To tutaj krzyżują się odpowiedzi i pytania o definicje i miejsce wolności i wiary w życiu jednostki, społeczeństwa, narodu.

Szukając, zbliżamy się do odpowiedzi, choćby nie była ona definitywna. Zauważamy konflikt między duchowością Wschodu i materializmem Zachodu – ich wzajemną nieprzystawalność, niespójność wizji przyszłości. Podróżowanie – pielgrzymowanie kojarzone bywa z cierpieniem; nasuwa się wieczne pytanie o jego sens: „Cierpienie może czasem uszlachetnia jednostki, na pewno nie uszlachetnia społeczeństwa” – oto cień polemiki Karpińskiego z Sołżenicynem.

Karpiński poświęca szczególną uwagę jednemu ze słynnych podróżników – oto wraz z markizem de Custine, pochyla się nad problemami słowiańszczyzny i władzy absolutnej, nad prawami jednostki, nad anarchią i rewolucją. Ostrzega przed niebezpieczeństwami, jakie niesie z sobą wolność. W refleksje Karpińskiego nad stanem Rosji zgrabnie wplecione zostają myśli A. Hercena i P. Czaadajewa, F. Dostojewskiego i M. Gogola. Obok rozważań na temat Rosji Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego, odnajdujemy uwagi na temat Anglii pod panowaniem Tudorów i Francji za Ludwika XIV.

W „Prywatnej historii wolności” uparcie śledzi Karpiński niebezpieczeństwa totalitaryzmów, zwłaszcza stalinizmu i hitleryzmu. Ostatecznie na prywatnej mapie państw jest i miejsce dla losów Polski, jej romantycznych bohaterów i emigrantów różnych czasów. Mowa o różnych obliczach kraju podzielonego, po Polskę jednoczącą się w trakcie pielgrzymek Jana Pawła II. Różnorodność oglądanych postaw poraża: od demokracji i liberała, po rewolucjonistę i konserwatystę.

Ostateczne konkluzje, choć wydają się oczywiste, są niezmiernie ważne, więc warto powiedzieć raz jeszcze to, na co w książce Karpiński wskazuje wielokrotnie – wolność

przyznana jednostce stwarza pole dla niebezpiecznych nadużyć, ale stwarza przede wszystkim możliwość wyboru, który choć niekiedy niesie ze sobą groźne konsekwencje, jest gwarantem tejże wolności.

O stałym instynkcie poszukiwacza świadczą przytaczane całe serie pytań. To zarazem cecha charakterystyczna stylistyki Wojciecha Karpińskiego – operowanie długimi wyliczeniami, podobnie jak zestawianie całych szeregów nazwisk bohaterów książek i autorów. Oto jeden z przykładów: „Czy mamy prawo szukać w historii trwałych informacji i pouczeń? Czy ponad opisem poszczególnych wydarzeń można szkicować szersze konstrukcje? Czy postulat obiektywności nie zmusza nas do zawieszenia sądów wartościujących? Czy ma sens stosowanie dzisiejszych kryteriów do ocen dawniejszych wydarzeń – i czy istnieją kryteria inne niż dzisiejsze? Czy historia idei nie jest czystą spekulacją?”

Karpiński często zagląda do listów, dzienników, pamiętników, biografii – rezultatem zamyślenia nad tymi lekturami jest „Prywatna historia wolności” – ciekawe świadectwo dla tych, którzy takiej historii nie znają, którzy może dopiero ją mają odkryć.

Karpińskiego interesują także problemy wiary, religii i Kościoła. Autor wskazuje na konsekwencje zachowawczych postaw, na siłę i możliwości jakie niesie z sobą chrześcijaństwo, na niebezpieczeństwa fanatyzmu. Ciekawym pomysłem jest ukazanie wielości interpretacji hitleryzmu, w zaskakujących zderzeniach z katolicyzmem. Oto przypomina Karpiński: „Tyrania większości bywa równie niebezpieczna jak tyrania mniejszości”, przypomina, że oceniając ludzi i rzeczy powinniśmy kierować się etyką, która zająć powinna bezwzględnie pierwsze miejsce przed dogmatami, polityką i narodowością. U schyłku dwudziestego wieku ta prawda jest porażająco aktualna. Przywoływani myśliciele: Arystoteles i Monteskiusz, św. Augustyn, G. Hegel, I. Kant, Ortega y Gasset i Witkacy... nastrajają poważnie, ale nie brak i poczucia humoru, np. kiedy mowa o Kisielu.

Nie podzielam wszystkich sympatii i antypatii Karpińskiego – należę np. do tych, którzy lubią Przybosia, ale to nie przeszkadza mi docenić przyjętej otwartej perspektywy autora. I właśnie ostatni rozdział książki opatrzony tytułem „Droga

do wolności” podkreśla ową otwartość spojrzenia. Kiedy czytam Karpińskiego uderza mnie oczywistość niektórych stwierdzeń. Pamiętam jednak czas, gdy słowom należało nadawać sens od nowa, gdy w codzienności wyrazom takim jak „wolność” i „demokracja” brakło wypełnienia. Obecnie w dobie marketów, wolnego rynku i otwieranych granic te podstawowe pojęcia są w dalszym ciągu aktualne, a może nawet mówienie o nich staje się jeszcze bardziej istotne ...

Pamiętanie

Pamiętanie leży u źródeł podróży i jest zarazem rezultatem poszukiwania. Ważne jest przecież ocalenie przed zaturacją tego, co wskazuje na humanistyczny rodowód, na *vita activa* i *contemplativa*. Zatem w „Herbie wygnania” pamięć zajmuje miejsce szczególne. Oto opuszczenie miejsca ważnego, osiedlonego, miejsca dzieciństwa, będzie wpływać na całą podróż życiową i na kierunek poszukiwań. W „Herbie wygnania” przeważa refleksja nad biografią literacką i ludzką, uwikłanie w trudne życiowe wybory. Mowa tutaj o tych, którzy z odwagą bronią swoich poglądów, którzy pozostają wierni sobie. Niekiedy, jak w „Archipelagu Gułag”, ludzka pamięć daje świadectwo druzgocące. Ale powiada za Sołżenicynem Karpiński: „Bez odzyskania pamięci nie można zrozumieć współczesnych dylematów ojczyzny, doli współczesnego człowieka” – pamiętanie jest obowiązkiem, koniecznością. Wreszcie, ważna jest pamięć spotkań, pamięć twarzy – jak w szkicu o Konstantym Jeleńskim. Pamiętanie jest zanegowaniem rozstań, patronuje temu obszarowi rozważań piękny wiersz Miłosza „Na pożegnanie mojej żony Janiny”.

*Zazналиśmy wiele szczęścia i wiele nieszczęścia,
Rozłąki cudownych ocaleń. A tutaj ten popiół.
I morze bijące o brzegi, kiedy idę pustą aleją
I morze bijące o brzegi. I uniwersalność doświadczenia
Jak bronić się przeciw nicości? Jaka moc
Przechowuje co było, jeżeli trwa pamięć?
Bo ja mało pamiętam. Tak bardzo mało pamiętam.*

Karpiński śledzi fascynację pamięcią u swoich duchowych przewodników – mieszają się role Dantego i Beatrycze. Autor kojarzy „Pamięć minionych fragmentów” L. Fini, przywołuje dzieła Balthusa i Piranesiego, spogląda na różne obszary sztuki. (W mówieniu o sztuce Karpiński niekiedy ociera się o banał, ale komu w obliczu piękna to się nie zdarza? Cenię bardzo u Karpińskiego owe szkice poświęcone sztuce – dokładność i wrażliwość autora: właśnie w mówieniu o podróżach po sztuce jego język wydaje mi się najbardziej barwny i plastyczny.)

Akt pamiętania kreuje także dokumenty niezwyklej wrażliwości: szkic „Kartki z Rio”, tekst o wspomnieniach Oli Watowej, króciusieńkie szkice o Marii i Józefie Czapskich. Powraca koliście w formule podróży, zamyka się okrag czasu, w próbie definiowania tego arcyważnego doświadczenia: „Czym są dla mnie podróże? Dlaczego odgrywają ważną rolę w moim życiu? Jestem do nich nieprzystosowany. Niepokoją trudnościami, odstręczają widmem nudy. Trzeba wielu zbiegów okoliczności, aby podróż się udała. Zdarzało mi się dostawać gorączki przed wyjazdem do Zakopanego, czyli miejsca oswojonego licznymi pobytami. Nie wyobrażałem sobie wędrówek po Polsce. Przeszkody materialno-organizacyjne wydawały mi się nie do pokonania – trzeba by zmienić ustrój. Ale i w bardziej sprzyjającym otoczeniu podróże nie przychodzą mi łatwo. Boję się zmian, bo atakują tysiącem znaków trudnych do odczytania, stanowią niebezpieczne wyzwanie dla wrażliwości, inteligencji, wiedzy (czy w takiej kolejności powinienem ustawiać te prywatne cnoty egzystencjalne).” Niebezpieczeństw jest wiele, przypomina Karpiński, stanowią je także inni podróżujący, „wygnańcy”, emigranci: tłumy, ludzka zbiorowość.

Oparciem dla nadwyreżonej, ułomnej pamięci, drogowskazem w poszukujących podróżach są teksty magiczne, wielokrotnie przywoływane. Ich powtarzanie ma zapewnić trwanie pamięci – zamykać i otwierać koło czasu...

Ostatniemu esejowi w „Herbie wygnania” patronuje Adam Mickiewicz z jego „Księgi pielgrzymstwa...” – czyż nie piękna znowu to klamra?

Dorota WALCZAK-DELANOIS

„Księgozbiór przemytników” Stempowskiego

Jerzy Stempowski, urodzony w 1893 roku w Krakowie w rodzinie szlacheckiej, należy w zasadzie do nieznanego w Niemczech pokolenia znaczących eseistów i krytyków literackich, którzy swe doświadczenie życiowe wpisywali w dzieła, w których dzieje kultury wschodnioeuropejskiej zostały pochwycone w pryzmacie zachodnioeuropejskich kryteriów wartości, przy czym żadnemu z obu tych punktów odniesienia nie daje się tu pierwszeństwa. Stempowski studiował filozofię, medycynę i historię literatury w Krakowie, Monachium, Genewie, Zurychu i Bernie, w okresie międzywojennym pracował jako polski dyplomata, zaś w latach trzydziestych był wykładowcą w Szkole Teatralnej, gdzie jego uczniem był Jan Kott, późniejszy historyk teatru. On też w swym słowie wprowadzającym ukazuje Stempowskiego jako klasyka polskiego esaju. Basil Kerski, w swym godnym lektury, gruntownym posłowniu, rozszerza to pojęcie mówiąc o „eseistyce Kosmopolaka”. Kerski sytuuje krytycznoliterackie i kulturowo-historyczne zorientowane dzieło Stempowskiego w kręgu poszukiwań wybitnego prozaika Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, redaktora *Kultury* Jerzego Giedroycia oraz Witolda Gombrowicza, przede wszystkim jako autora *Dziennika*. Eseje zawarte w omawianym zbiorze – „W dolinie Dniestr”, „Esej berdyczowski”, „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec w 1945”, „Księgozbiór przemytników”, „Esej dla Kassandry” oraz „Rubis d'Orient” – wyróżnia parę cech specyficznych: w pierwszym rzędzie jest to wyraźne zaangażowanie opowiadającego narratora, który na równi suwerennie traktuje wielkie kulturowo-historyczne związki, jak też wnoszenie własnego autentycznego zdania w nurt myśli wartościującej bez budzenia jakichkolwiek wątpliwości dotyczących znaczenia tych akurat osobistych sądów. Równie fascynujący jest reporterski styl Stempowskiego, który można podziwiać przede wszystkim w dzienniku jego podróży przez zniszczone wojną Niemcy i Austrię. Skrótowe, szarpane zdania obok głębokich sentencji dotyczących samopoczucia zwyciężonego narodu, który niemal nie był świadom swych zbrodni, a już rozpoczął proces ich wypierania. Nieprzekupne spojrzenie owego Kosmopolaka ogarniało jednak

także zgubną, zbrodniczą politykę zachodnich aliantów, którzy wydali NKWD i sowieckim władzom wojskowym tysiące wschodnioeuropejskich uciekinierów, by się uwolnić od uciążliwego zadania integracji. Ten szkic winien zostać przedrukowany w niemieckojęzycznych książkach szkolnych jako lekcja pogładowa na temat wypieranej i poddawanej manipulacji historii. Podobnie wart uwagi jest esej o dolinie Dniestru, klasycznym i prawie orientalnym pejzażu kulturowym dzisiejszej Ukrainy, w którym przyjaźnie żyli obok siebie Turcy, Grecy, Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Niemcy oraz różne inne mniejsze narody tak długo, aż ów krajobraz zmiążdżony został przez politykę i wojny XX stulecia. Lektura ta może być także wprowadzeniem w dzieje kultury wschodnioeuropejskiej, w której procesy poznawcze zainicjowane zostały, co znaczy, iż bieg historii został zatrzymany w ważnym punkcie węzłowym przez synchronię zdarzeń i pochwycony w przenikaniu dokumentarnych obrazów. Autor, zwolniony z polskiego lazaretu wojennego, przezimował w chacie węgierskich przemytników, którzy wraz z łupami dostarczali mu książki całej światowej literatury. Podczas gdy Stempowski, zaopatrzony w ten sposób w różnorodną lekturę, przedzierał się przez europejską historię, obok przechodzili rozbitkowie II wojny światowej, by rozpocząć dialog na skrzyżowaniu procesów dziejowych i indywidualnych doświadczeń. Ten tekst, napisany w 1948 roku, należy do rzadkiego podgatunku eseju filozoficzno-empirycznego, w którym piszący podmiot łączy niezwykle doświadczenie z refleksją dotyczącą lektury znaczących dzieł literackich. Mamy więc do czynienia z odkryciem eseisty, którego dzieło zostało częściowo udostępnione najpierw w 1984 roku w wydaniu ocenzonego, zaś w końcu lat 90-tych weszło do kanonu literatury narodowej. Ów zmarły w Bernie autor, który przez wiele lat publikował pod pseudonimem Pawła Hostowca, wraz z tą godną uznania publikacją znalazł także drogę do publiczności niemieckiej.

Wolfgang SCHLOTT

Thum.: Leszek Szaruga

Jerzy Stempowski: „Bibliothek der Schmuggler”. Mit einer Vorbemerkungen von Jan Kott. Hrsg. von Basil Kerski. Aus dem Polnischen von Agnieszka Grzybkowska, ROSPO Verlag, Hamburg 1998, s. 252.

Powyższe omówienie napisane zostało dla magazynu *Osteuropa*.
(W. Schlott – wybitny polonista).

Wolna trybuna

Jeszcze o katastrofie komputerowej

Z pewnym opóźnieniem przeczytałem uwagi p. Stefana Abnera pt. „Grożąca katastrofa komputerowa” (*Kultura* Nr 12/615). Zasadności ostrzeżeń wysuwanych przez Autora nie ma potrzeby dodatkowo uzasadniać, choć nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w Polsce widmo grożącego nam wszystkim „wirusa tysiąclecia” nie wywołuje należytej reakcji rządu i opinii społecznej, widać panuje nadal niepodzielnie sławetna zasada naszego działania od stuleci – „jakoś to będzie”. Stopień komputeryzacji naszej gospodarki i wielu służb publicznych jest stosunkowo wysoki, oprogramowanie najróżniejsze i często bardzo stare, stopień zaś świadomości informatycznej przerażająco niski; wszystko to tworzy mieszaną iście piorunującą. Jedynie przedstawiciel „LOT-u” oświadczył publicznie, iż samoloty tych linii pierwszego stycznia dwutysięcznego roku po prostu nie będą latać. „Możemy bowiem wprawdzie w pełni gwarantować – powiedział ów przedstawiciel LOT-u – że wystartujemy; nie ma jednak równie bezspornej pewności, że będziemy mogli wylądować”.

Jeśli jednak zaprzędam uwagę Redakcji, to nie tylko po to, aby raz jeszcze zwrócić uwagę na grożące nam skutki „chciejstwa”; bez względu na powagę sytuacji – na alarm jest już zresztą za późno. Chciałbym natomiast wskazać na charakterystyczny błąd, jaki popełnił Autor, pisząc: „pierwszy dzień trzeciego tysiąclecia, czyli w zapisie sześciocyfrowym 000101...”. Otóż pierwszy stycznia roku dwutysięcznego – w zapisie sześciocyfrowym: 00 01 01 będzie pierwszym dniem

ostatniego roku DRUGIEGO tysiąclecia, natomiast pierwszym dniem TRZECIEGO tysiąclecia – w zapisie sześciocyfrowym : „01 01 01” będzie pierwszy stycznia ale roku dwutysięcznego pierwszego! Nie zmienia to – oczywiście – faktu, że wiele programów komputerowych nie będzie sobie umiało poradzić właśnie już z zapisem „00 01 01”, czyli o godzinie 00.00.01 dnia 1 stycznia 2000 roku.

Rok dwutysięczny jest wprawdzie rokiem jubileuszowym i Kościoły Chrześcijańskie nie mylą się, świętując go uroczystie, jest to bowiem rok drugiego tysiąclecia od daty narodzenia Chrystusa, daty, ustalonej zresztą przez Urząd Nauczycielski Kościoła w pewnym jedynie przybliżeniu, zresztą po pewnym czasie korygowanym. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że jest to rok kończący drugie tysiąclecie, nie zaś rozpoczynający trzecie, które – jako żywo – rozpocznie się 1 stycznia roku 2001.

Błąd, o który mowa, występuje powszechnie w wielu publikacjach krajowych i zagranicznych. Nie potrafię sobie wytłumaczyć jego przyczyny. Czyżby był to kolejny objaw naszych braków w „myśleniu informatycznym”? Ten swoisty fenomen wyjaśniłby zapewne Stanisław Lem, czy Umberto Eco; ja nie potrafię.

Jerzy Witold SOLECKI

Milanówek, 1999.04.15

Narastająca panika

W nowoczesnych państwach zachodnich obrót pieniężny jest w większości bezgotówkowy (czeki, przeróżne karty kredytowe, Internet). Jednak według danych obszernego sondażu, jaki przeprowadził Demoskop, 12% Szwedów w wieku

18 do 89 lat zamierza całkowicie opróżnić swoje konta przed milenijnym przełomem, a 31% planuje pobranie części oszczędności. Trend jest dość wyraźny: przełomu Y2K najbardziej boją się ludzie z wyższym wykształceniem, zwłaszcza technicznym.

Otóż 12% szwedzkich zasobów oszczędnościowych odpowiada sumie 54 miliardów SEK, a wszystkie szwedzkie banki mają w gotówce jedynie 36 miliardów. Tylko dla owych 12%, którzy całkowicie opróżnią swoje konta, brakuje 18 miliardów.

Szwedzki bank centralny rozpoczął więc pośpieszny druk banknotów, zwłaszcza w walorach 100- i 500-koronowych. W grudniu 1999 stan gotówkowych zasobów ma wynosić 90 miliardów SEK. Powinno to wystarczyć. Większym problemem logistycznym będzie sprawne i sukcesywne dostarczanie tej masy pieniężnej do prowincjonalnych oddziałów bankowych i urzędów pocztowych w całym kraju.



TEOTWAWKI – karierę zrobił ten skrót od angielskiej frazy *The End of the World As We Know It*. Wszystkie większe szwedzkie księgarnie mają na składzie amerykańską książkę Y2K – *An Action Plan for January 1, 2000* – jej autor Victor W. Porlier stwierdza wpięty autorytatywnie, że nie ma powodów do paniki, a później udziela czytelnikom następujących rad:

1) Już teraz ćwicz się w możliwościach życia bez prądu, ogrzewania, możliwości używania normalnej kuchni.

2) Zgromadź zapasy suszonych jarzyn, jedzenia w puszkach, witamin i podstawowych leków, papieru toaletowego, mydła etc.

3) Wybierz z banku pieniądze (jeżeli masz taką możliwość, to sumę odpowiadającą twoim rocznym dochodom).

4) Zgromadź mały zapas dóbr, które mogą zastępować pieniądze w handlu wymiennym (papierosy, przedmioty ze srebra etc).

Oficjalnie Szwedzi traktują z ironią amerykańskie przygotowania do milenijnej apokalipsy. Ale konta bankowe jednak chcą opróżniać, a już teraz (w marcu!) wielu Szwedów

zaczyna robić zapasy produktów suszonych i liofilizowanych – w przewidywaniu, że za parę miesięcy ich cena znacznie wzrośnie. Sklepy ze sprzętem turystycznym odnotowują wydatny wzrost sprzedaży śpiworów, kocherów i innego sprzętu umożliwiającego życie w warunkach pionierskich.

Wyśmiewając się trochę z w/w poradnika Porliera, jeden ze szwedzkich ekspertów (N.A. Olsson) wyraził jednak żal, iż nie jest on rozprowadzany tam, gdzie szczególnie by się przydał – po wschodniej stronie Bałtyku.

K.B.

Cel uświęca środki

Mimo trwającego już od trzech tygodni bombardowania Jugosławii osiągnięto dotychczas (17.4.99), jak się wydaje, wyniki wręcz odwrotne od zamierzonych. Kosowo zmieniło się niemal w pustynię. Nie ma tam już prawie Albańczyków. Niejako za parawanem działań powietrznych NATO serbscy nacjonałisci z powodzeniem kończą wielką „etniczną czystkę” swojej prowincji. Jednocześnie cała Jugosławia zdegradowana została do rangi krajów ekonomicznie zacofanych. Jej infrastruktura praktycznie już nie istnieje. Zniszczono niemal wszystkie lotniska, strategiczne mosty, szlaki kolejowe i drogowe, wielkie zakłady przemysłowe i rafinerie nafty pozbawiając pracy i środków utrzymania setki tysięcy rodzin. Ogólne straty materialne szacuje się na kilkanaście miliardów dolarów. Według Belgradu w wyniku nalotów śmierć poniosło ok. tysiąca osób.

W obliczu bombardowań, demokratyczna opozycja polityczna zniknęła z powierzchni życia Jugosławii. Umocniła się natomiast osobista pozycja Miloševicia, który awansował do rangi ogólnonarodowego bohatera.

Reperkusje międzynarodowe również nie są różowe.

Ogólna sytuacja na Bałkanach bardzo się zaciemniła. Zwłaszcza Macedonia i Albania stanęły w obliczu kryzysu związanego z niekontrolowanym masowym napływem uchodźców z Kosowa. Raczkującej demokracji rosyjskiej zgutowano bardzo ryzykowną i niebezpieczną próbę. W samym NATO krytyczne głosy dobiegają zwłaszcza z Grecji.

A tymczasem wg Pentagonu akcja bombardowań trwać może jeszcze wiele tygodni a nawet miesięcy. Przypomina się gorzki dowcip warszawskiej ulicy lat pięćdziesiątych: „Tak będziemy walczyć o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie”.

Jednocześnie z różnych stron rozlegają się zapewnienia polityków, że po zakończeniu akcji zniszczeń, w bliżej nieokreślonym terminie, najbogatsze kraje NATO uruchomią coś w rodzaju drugiego „Planu Marshalla”, aby ożywić spustoszone obszary. A gdyby ten „Plan Marshalla” zaproponować Jugosławii – Serbom i Albańczykom – wcześniej, jako alternatywę, jeszcze przed zniszczeniami? Czy nie podzielałoby to na Belgrad skuteczniej niż bomby i nie wypadłoby w sumie dużo taniej?

Cel uświęca środki w tym jedynie sensie, że ich charakter odpowiadać musi planowanym zamierzeniom. Nie wszelkie lecz jedynie adekwatne środki umożliwiają osiągnięcie zwłaszcza szlachetnego celu, nie wypaczając go po drodze i nie przekształcając w swoje przeciwieństwo. Dowodzi tego m.in. cała historia tzw. realnego socjalizmu. Polityczne rozwiązania wymagają politycznych środków. Powrót do nich jest nieunikniony. Im wcześniej, tym lepiej, chociaż wiele jest już nie do odrobienia. A przecież podstawowym celem NATO jest zapewnienie normalnych warunków życia mieszkańcom Kosowa i całej Jugosławii i włączenie ich do demokratycznej Europy. Miejmy nadzieję, że jest to jeszcze nadal cel realny.

Andrzej ALBRECHT

Liberalizm nie sprawdza się

Blokady dróg przez zdesperowanych rolników i problemy wsi znalazły w ostatnich dniach wszechstronne i wieloaspektowe omówienia w środkach przekazu. Pomimo tego uważam, że nie tylko politycy, ale także środki przekazu nie wyciągają w porę właściwych wniosków z istniejącej, i to już od dawna, sytuacji społeczno-gospodarczej i politycznej, że widzą nadal wyizolowane drzewa, a nie dostrzegają lasu. W dalszym ciągu generalnie lansowana jest teza, że realizowany w Polsce kierunek przemian rynkowych i polityki społecznej, nakreślonej w 1989r. (jeszcze przy udziale „siły przewodniej”), a następnie „doprecyzowanej” w następnych latach jest generalnie dobry, że wystarczą drobne korekty, aby wszystko potoczyło się dobrze, a niewidzialna ręka rynku zaczęła wreszcie uszczęśliwiać, jeśli już nie wszystkich Polaków, to przynajmniej zdecydowaną ich większość.

Uważałem wcześniej i uważam obecnie, że ultraliberalny program rządzenia w Polsce od 1989r., realizowany także przez polityków deklarujących lewicowość, nie sprawdzał się od samego początku i nie sprawdza się tym bardziej obecnie. W sferze społecznej, w warstwie ideologii, zróżnicował i zatomił społeczzeństwo, spowodował głęboki zanik solidaryzmu społecznego, bardzo poważnie osłabił, a nawet zdeprecjonował myślenie kategoriami interesu ogólnego i państwowego, na piedestale postawił egoistyczny indywidualizm, bogacenie się za wszelką cenę. W sferze społecznej rzeczywistości materialnej wykreował na niespotykaną w Polsce po II wojnie światowej skalę obszary ubóstwa i wiążących się z ubóstwem konfliktów społecznych, a także groźnej i wciąż narastającej przestępczości kryminalnej. Zjawiska te na dłuższą metę zagrażają samodestrukcją społeczną. Właśnie teraz jesteśmy świadkami wstępnej eskalacji takich destrukcyjnych wydarzeń.

Ultraliberalna polityka społeczno-socjalna i gospodarcza doprowadziła w Polsce do cofnięcia uprawnień społeczno-socjalnych ogółu Polaków (do czasów sprzed II wojny światowej,

a w niektórych obszarach do czasów bezpośrednio porozbiorowych, bo Piłsudski miał znacznie więcej wspólnego z socjalistycznym solidaryzmem społecznym niż z liberalizmem.) Dotyczy to w szczególności takich obszarów jak gwarancje zatrudnienia, gwarancje zapewnienia zamieszkania, zapewnienie w pełnym zakresie opieki zdrowotnej i społecznej, gwarancje zaopatrzenia emerytalnego i rentowego, bezpłatne nauczanie na wszystkich szczeblach edukacyjnych, szerokie świadczenia społeczne w zakresie realizacji praw do wypoczynku i rekreacji, dostępu do dóbr kultury i uczestniczenia w kulturze.

Wymienione najważniejsze uprawnienia społeczno-socjalne wycofywane były lub drastycznie ograniczane z uzasadnieniem, że gospodarka liberalna w krótkim czasie zrekompensuje obywatelom odebrane lub ograniczone uprawnienia, że w nowej rzeczywistości gospodarczej każdego będzie stać na zapewnienie sobie samemu, za zarobione przez siebie pieniądze, wszystkich uprzednio gwarantowanych przez państwo dóbr i świadczeń socjalnych. Takie zapewnienia okazały się kłamliwe, o czym wie już dzisiaj każdy.

Jestem także przekonany, że liberalny program sprawowania rządów w Polsce nie sprawdza się również na polu gospodarczym i to wbrew ogłupiającej społeczeństwo propagandzie sukcesu, lansowanej z uporem godnym lepszej sprawy przez nielicznych beneficjentów przemian, zainteresowanych w utrzymaniu liberalnego *status quo*. Trudno nie zapytać, gdzie ten rzeczywisty sukces gospodarczy się ukrywa, gdy każdy „gołymi oczami” widzi, że od lat permanentnie brak jest środków na najbardziej podstawowe potrzeby infrastrukturalne, takie jak: mieszkania (katastrofalny deficyt), drogi, mosty, wiadukty (kompletny zastój i bazowanie na rozsypującej się już strukturze „komunistycznej”), kolej żelazna (zamiast rozbudowy sieci i przewozów planuje się ich ograniczanie). Zewsząd podnoszą się alarmistyczne ostrzeżenia, że brak jest środków na utrzymanie normalnego funkcjonowania fundamentalnych dla państwa i społeczeństwa instytucji i placówek (szpitale, ośrodki zdrowia, szkoły, uczelnie, ważne instytuty i placówki naukowo-badawcze, ośrodki kultury, sportu i rekreacji, muzea i pomniki kultury narodowej, inne ważne instytucje i służby, czy nawet takie składniki infrastrukturalne państwa, jak wojsko, policja, wymiar sprawiedliwości). Polskie zakłady, huty

i kopalnie produkują i eksportują coraz mniej i do tego jakość tej produkcji nie jest dość dobra, często nawet gorsza niż w okresie rynku planowanego, nie wytrzymuje konkurencji zagranicznej, bo państwo nie jest zdolne stymulować wykorzystania w produkcji krajowej osiągnięć nauki i światowego postępu naukowo-technicznego i technologicznego. Zajmujące się takim stymulowaniem instytucje (też nie najlepiej funkcjonujące w PRL, ale jednak robiące swoje) już na początku tzw. przemian zostały z premedytacją polikwidowane, jako przeżytki „starego” (sam jestem byłym pracownikiem zlikwidowanego w 1990 r. Centrum Informacji Naukowej, Technicznej i Ekonomicznej). Podobnie potraktowano naukę organizacji, zasady poprawnego tworzenia prawa i zasady prakseologii. Uważam, że m.in. w wyniku tego żyjemy w państwie nieefektywnie zarządzanym, totalnie zbiurokratyzowanym, przeżartym korupcją i rozrośniętą szarą strefą.

Jestem przekonany o tym, że nasze naczelne organa prawodawcze są producentami ewidentnych bubli. Jaskrawą egzemplifikacją biurokratycznej nieporadności mogą być, moim zdaniem, nowo wdrożone reformy, które miały polepszyć funkcjonowanie administracji, służby zdrowia i ubezpieczeń społecznych, a tymczasem jeszcze bardziej ograniczyły resztki uprawnień socjalnych obywateli oraz wprowadziły potężny biurokratyczny bałagan, a także spowodowały eskalację groźnych frustracji społecznych.

Usprawiedliwiając się liberalną polityką, państwo bez troski wyprzedaje intratne z samej natury obszary działalności, stanowiące tzw. „dochodowe samograje” (przemysł tytoniowy, spirytusowy, gry losowe, łączność, banki, wielkie obiekty handlowe w centralnych punktach itd.). W ten sposób wzbogaca najczęściej zagraniczne koncerny i ewentualnie uprzywilejowane elity własne, a zuboża społeczeństwo.

Polskie elity rządzące bezkrytycznie wierzą, lub udają taką wiarę, bo im tak wygodniej, w altruizm i bezinteresowność obcego kapitału. Wierzą też w całkowitą zbieżność interesów własnych oraz wszystkich nowych kapitalistycznych sojuszników. Tymczasem w realnym świecie taka całkowita zbieżność nigdy nie występuje. Politycy, którzy nie zdają sobie z tego sprawy, bardzo szybko mogą popaść w bezkrytyczny wasalizm, kto wie, czy nie groźniejszy od tego z okresu PRL.

Zwasalizowane ekipy rządzące dyskryminują możliwości produkcyjne, nie pilnują z należytą starannością narodowych interesów i wiele wskazuje na to, że przedkładają prywatę nad interesy państwa i ogółu obywateli, prą na salony europejskie, choćby po plecach współobywateli.

Archaiczny liberalizm, taki właśnie, jaki za wszelką cenę próbują obronić polskie współcześnie rządzące ekipy, jest w Europie w wyraźnym odwrocie i chyba nigdy na wewnętrzne potrzeby liberalnych państw nie był traktowany po II wojnie światowej całkiem serio (no może w thatcherowskiej Anglii). Kraje europejskie, bojąc się groźnych destrukcji społecznych, potrafią skutecznie bronić własnych gospodarek i interesów własnych obywateli, własnego przemysłu i rolnictwa nie zawsze zgodnie, a czasem całkiem niezgodnie z duchem ortodoksyjnego liberalizmu. Natomiast polskie ekipy rządzące bezustannie trzęsą się ze strachu lub markują taki strach, bo też im tak wygodnie, że jeśli nie będziemy przestrzegać „żelaznych” liberalnych reguł, to nie przyjmą nas do europejskiego towarzystwa (czytaj Unii Europejskiej i NATO). Co do mnie, to uważam, że gdyby nawet było takie rzeczywiste zagrożenie chociaż sądzę, że go nie ma, co wyjaśnię dalej, to i tak korzystniej jest dla polskiego obywatela chodzić w pozycji wyprostowanej poza Unią Europejską, niż wchodzić na kolanach do Unii Europejskiej i później także na kolanach poruszać się już w samej Unii.

(Wspomniałem, że uważam za nieprawdopodobne, aby UE, mając realne szanse poszerzenia terytorium, zwiększenia własnych możliwości gospodarczych i znaczenia politycznego, sama z błahych powodów zechciała z tych szans zrezygnować. Taka rezygnacja byłaby przypadkiem precedensowym w historii.)

Natomiast warto zauważyć, że doktryna liberalna funkcjonująca nie z rzeczywistego wyboru społeczeństwa, lecz w oparciu o zмовę elit, może doprowadzić do narastających trudności społeczno-gospodarczych oraz do eskalacji konfliktów społecznych. To zaś mogłoby rzeczywiście odstraszać naszych partnerów, obawiających się przeniesienia konfliktów do wewnątrz unii.

Jerzy CWiĘKAŁA

Warszawa, dnia 7.02.1999 r.

Test dla Polski?

Javier Solana przyznał w wywiadzie dla *New York Times'a*, że choć NATO prawdopodobnie nie jest w stanie zatrzymać mordów w Kosowie, to jednak „w każdym razie podjęło taką próbę”. Bardzo znamienne to słowa: najpotężniejszy, oparty o jedyne dziś supermocarstwo, pakt wojskowy świata, nie jest w stanie narzucić swojej woli małemu krajowi bałkańskiemu, o zrujnowanej gospodarce i pozbawionemu faktycznie sojuszników (poparcie Rosji dla Serbii jest wszak głównie werbalne). Jak to jest możliwe?

Nikt i nigdy dotychczas nie wygrał wojny tylko w powietrzu. Większość ekspertów (np. Jonathan Eyal z londyńskiego Royal United Services Institute) ocenia, iż już 100-tysięczna armia NATO mogłaby – dzięki swojej ogromnej przewadze nowoczesnego uzbrojenia – rozbić w puch 90-tysięczną armię Miloševića przy minimalnych stratach własnych. Jednak użycie sił lądowych jest chwilowo wykluczone z wielu powodów, a najważniejszy z nich daje się sprowadzić do przekonania, iż amerykańscy i zachodnioeuropejscy żołnierze nie mogą ginąć w obronie – jak to się mówi – „jakichś tam Albańczyków”. Zresztą nawet bombardowania prowadzone są tak, aby w jak najmniejszym stopniu narażać pilotów Paktu. Postawa NATO jest przy tym dość schizofreniczna. Z jednej strony Zachód uznał Miloševića za zbrodniarza wojennego, z drugiej – twierdzi, że ataki powietrzne zostaną przerwane, gdy delegacja tegoż Miloševića powróci do stołu obrad. Jak to? Przecież ze zbrodniarzami wojennymi się nie dyskutuje, takich oprychów wielkiej skali stawia się przed międzynarodowym trybunałem. No tak, ale trzeba ich wpięrczyć!

Politycy polscy – obserwując działania dość bezzębnej NATO – powinni zadać sobie pytanie, czy w razie potrzeby zachodni żołnierze mogliby ginąć w obronie „jakichś tam Polaków”. Oczywiście Polska jest członkiem Paktu, a Kosowo – nie. Napadniętej Polsce NATO musiałoby udzielić pomocy,

ale czy to na pewno musiałaby być pomoc sił lądowych? Czy nie jest prawdopodobniejszy scenariusz, że w wypadku – powiedzmy – ataku na Polskę z enklawy Kaliningradu i terytorium Białorusi, NATO udzieliłoby nam tylko wsparcia lotniczego, materiałowego (np. dla improwizowanych oddziałów partyzanckich) i moralnego? Czy taka pomoc nie byłaby wypełnieniem zobowiązań traktatowych, zwłaszcza wobec pewności, iż agresor linii Odry na pewno nie chciałby przekroczyć? Nie są to dla Polaków pytania obojętne.

Zaznaczam, iż jestem zdecydowanym zwolennikiem członkostwa Polski w NATO i Unii Europejskiej. A jednak nasunęły mi się powyższe pytania. Tak się bowiem składa, że choć obecnie mieszkam w Szwecji, większość swoich krewnych mam na terenie Niemiec. Jeden z nich – zamiast jak reszta rodziny zdobyć stanowisko uczciwego *managera* – uległ deklasacji, zostając oficerem Bundeswehry. Zapytałem go niedawno, jak on i jego koledzy przyjełby ewentualną decyzję walki w obronie Polaków na terytorium Polski. Otrzymałem odpowiedź, że ten typ działań natrafiłby na ogromne trudności nie tylko politycznej natury. Swoją sceptyczną opinię krewny mój zakończył twierdzeniem następującym: „– Niemieccy żołnierze już raz umierali za Breslau. Nie sądzę aby było to możliwe po raz drugi.”

Karol BAUMGARTEN

31 marca 1999

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

23.3.99

W Pałacu Staszica w Warszawie Zakład Historii Nauk Społecznych PAN zorganizował spotkanie naukowe poświęcone osobie i twórczości naukowej zmarłego przed rokiem wybitnego humanisty i uczonego Zdzisława Libery (1913-1998).

4.3.99

W Teatrze Małym w Warszawie odbyło się spotkanie i dyskusja wokół książki Jerzego Kłoczowskiego „Młodsza Europa” z udziałem autora, prof. Henryka Samsonowicza oraz redaktora Adama Krzemińskiego. Dyskusję prowadził prof. Andrzej Mencwel.

16.4.99

Z okazji Roku Słowackiego w Muzeum Literatury w Warszawie została otwarta wystawa „Juliusz Słowacki – Beniowski”.

20.4.99

Prof. Adam Jamróz został wybrany rektorem Uniwersytetu Białostockiego.

22.4.99

W Bibliotece Narodowej w Warszawie miało miejsce uroczyste wręczenie nagrody im. Jerzego J. Milewskiego Jerzemu Rejtowi za szczególne dokonania na rzecz stosunków polsko-ukraińskich.

28.4.99

Z okazji setnej rocznicy urodzin prof. Stanisława Lorentza w Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto wystawę biograficzną Stanisława Lorentza. Jednocześnie odbyła się promocja Księgi Pamiątkowej pt. „Przeszłość przyszłości”.

29.4.99

Rektor i Senat Uniwersytetu Wrocławskiego nadali tytuł *doctora honoris causa* prof. Friedrichowi Christianowi Schroederowi. Profesor Schroeder jest kierownikiem katedry prawa i procesu karnego oraz prawa wschodniego na Uniwersytecie w Ratyzbonie. Jest członkiem Kuratorium i Rady Naukowej Instytutu Maxa Plancka dla międzynarodowego i zagranicznego prawa karnego we Fryburgu. Został również wybrany dyrektorem naukowym Instytutu Prawa Wschodniego w Monachium.

31.5.99

W Śródmiejskim Forum Kultury w Łodzi odbędzie się promocja „IDEI B2” – formacji artystycznej założonej przez łódzkich studentów, działających pod patronatem łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Podczas imprezy zaprezentowali

swoją twórczość studenci Uniwersytetu Łódzkiego Ewa Czernik, Robert Dudek, Miłosz Kamil Szczeciński i Anna Zięciak.

ZACHÓD

5.4.99

Nowe prezydium Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Prezes – dr Jan Mokrzycki, wiceprezesa – Paweł Nowak, Edward Hryniewicz, sekretarz generalny – Helena Miziniak, skarbnik – Zbigniew Stączek, członkowie Krystyna Mochlińska, Ewa Brzeska, Małgorzata Sztuka, Maria Young, Wiktor Moszczyński, Mike Oborski, Bogdan Szwagrzak.

14.4.99

W Centre de Civilisation Polonaise przy uniwersytecie Paris IV-Sorbonne miał miejsce wieczór poświęcony pamięci Jerzego Topolskiego, na którym prof. Andrzej Wyczański z Polskiej Akademii Nauk mówił o wkładzie Jerzego Topolskiego do nauk historycznych, a Daniel Tollet, sekretarz generalny Centre d'Etudes Juives wygłosił odczyt pt. „Jerzy Topolski: człowiek i przyjaciel”.

21.4.99

W Atelier Z w Paryżu odbył się wernisaż wystawy, która trwała do 30 kwietnia. Swoje prace pokazali: Wojciech Śniechórski i Krzysztof Findziński z Warszawy oraz grupa z Krakowa: Ewa i Zbigniew Bajek, Stanisław Rodziński, Jacek Sroka, Stanisław Wejman, Maria Wilga, Jadwiga Żołyniak.

27.4.99

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu prof. Jan Klamuta wygłosił odczyt o współpracy naukowej Polski z krajami Europy Wschodniej. Poprzednio w stacji PAN miały miejsce następujące imprezy: 23-go kwietnia odczyt p. Krzysztofa Kohlmünzera na temat „L'élargissement de l'Union Européenne vue dans une perspective citoyenne”. Odczyt był ilustrowany wystawą „Spojrzenie na Europę polskich dzieci”. 16-go kwietnia miało miejsce kolokwium „Józef Tadeusz Milik i 50-lecie manuskryptów Morza Martwego z Qumrân”. 13-go kwietnia prof. Andrzej Wyczański, członek PAN, mówił o „La durée de l'activité professionnelle au début d'âge moderne: le cas polonais.” Wreszcie 10-11-go kwietnia miał miejsce International Mini-Workshop on Heteropolyacids. Second-Order Structure, zorganizowany przez prof. H. Ratajczaka (Paryż-Wrocław) i prof. A. Müllera (Bielefeld).

28.4.99

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wernisaż wystawy

Tadeusza Kantora, „Rysunki z lat 1947-1954”. Wystawa została zorganizowana we współpracy z Muzeum Narodowym w Poznaniu. Poprzednio w Instytucie Polskim Teatr Antrakt z Bydgoszczy wystawił sztukę Sławomira Mrożka „Emigranci”, a 24-go kwietnia zespół La Poulpe à Trois Cornes wystawił „Zabawę” S. Mrożka.

3.5.99

Towarzystwo Historyczno-Literackie organizuje odczyt w Bibliotece Polskiej w Paryżu prof. Sławomira Kalemki „Pisarze polityczni Wielkiej Emigracji wobec polityki wielkich mocarstw”.

7.5.99

W Centre du Dialogue w Paryżu p. Urszula Mazurczak, kierownik Instytutu Historii Sztuki na KUL wygłosiła odczyt: „Inspiracja poetycka w ikonografii sztuki średniowiecznej (portret uczonego-humanisty w średniowiecznej i renesansowej sztuce)”. Poprzednio, 23-go kwietnia, prof. Witold Kieżun miał odczyt na temat „Prakseologia a polityka – doświadczenia polskie”.

11.5.99

W Stacji PAN w Paryżu prof. Adam Dobroński z Uniwersytetu Białostockiego wygłosił odczyt „Biografie polskich sybiraków lat II wojny światowej”.

15.5.99

Nagrody Fundacji im. Jerzego Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku za rok 1999 otrzymali: Jan Malicki – redaktor naczelny i wydawca *Przeglądu Wschodniego*, założyciel Studium Europy Wschodniej i Azji Środkowej oraz Andrzej Nowak – redaktor i wydawca dwumiesięcznika *Arcana*.

27-28.5.99

Stacja PAN w Paryżu i Centre de Recherche sur les Litteratures Slaves zorganizowało międzynarodowe kolokwium „La fiction en prose (1760-1820) dans les litteratures de l'Europe Occidentale, Centrale et Orientale”.

Listy do Redakcji

Sydney, 16.4.1999 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Jak Panu z pewnością wiadomo każdorazowe publiczne wystąpienie antysemitów w Polsce (jak np. sławne wypowiedzi ks. Jankowskiego) powoduje *natychmiast* nową falę *anty-polonizmu* w świecie.

Jest to zrozumiałe, niezależnie od tego, że tak anty-semityzm jak anty-polonizm czy inne tego rodzaju postawy są wyrazem ciemnoty. I to bez względu na formalne wykształcenie jakie posiadają osoby wyrażające takie poglądy.

Ostatnio rozmawiałem z przedstawicielem kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości w Polsce. Pytałem czy istnieją przepisy prawne karzące tego rodzaju wypowiedzi: jeśli tak – dlaczego nie wytacza się *postępowania karnego* w wypadkach typu ks. Jankowskiego i jemu podobnych.

Okazuje się, że polski kodeks karny przewiduje karę „za podżeganie do nienawiści rasowej”. Jeśli więc np. w stosunku do ks. Jankowskiego nie zostało wytoczone postępowanie karne – to bynajmniej nie z powodu braku odpowiedniego prawa. Chodziło natomiast o to, iż obawiano się, że na ewentualną rozprawę oskarżony przyszedłby w towarzystwie *setek* zwolenników, zachodziłaby możliwość poważnych demonstracji, które w efekcie przyniosłyby wiele szkody „imieniu Polski”.

Jeśli tak jest w istocie, to Polsce szkodzi właśnie *brak takiego „pokazowego” procesu*. Niezależnie od ewentualnych protestów *ciemnogrodu* i ich skali, tylko zdecydowane karanie podżegania do nienawiści rasowej może być ostrzeżeniem dla innych. I kara – aby była skuteczna – musi być wysoka.

Samo karanie *publicznych* wypowiedzi szerzących nienawiść rasową nie spowoduje od razu ich zaniku. Będzie jednak miało charakter ostrzeżenia i w jakimś stopniu przyczyni się do postępu w tej dziedzinie. A ponadto pokaże opinii światowej, że demokratyczna Polska należy do krajów cywilizowanych.

Jaka jest możliwość przekonania naszej elity rządzącej o ważności tego problemu?

Najlepsze pozdrowienia

Jerzy BONIECKI

New York, 4 IV 1999

Wielce Szanowny Panie Redaktorze:

Nawet i przelotnie będąc poza Polską nie mogę się oderwać od *Kultury*, i nie zareagować na artykuł w marcowym numerze pt. „Ręka milionopalcza”.

Pan Andrzej K. Wróblewski z niemalą wprawą dziennikarską usiłuje (s. 4) wmówić młodszemu od siebie, że najliczniejszą grupę członków PZPR stanowili „mężowie i ojcowie, którzy ze względu na żonę i dzieci nie mogli sobie pozwolić [podkreślenie moje] nie być w partii”.

Do PZPR należało w Polsce kilka milionów osób; nie należało do niej – milionów kilkadziesiąt.

Wydaje mi się, że nie wolno zniesławiać pamięci tych wszystkich, którzy (godząc się z góry na gorsze warunki bytowania swoich rodzin) wybrali życie bez przynależności do PZPR.

Zostaje z bardzo wysokim uszanowaniem

Andrzej BIERNACKI

List o zbliżonej treści przysłał prof. Jan Venulet. Nie zamieszczamy go z powodu wyjątkowej ilości listów do redakcji. (Red.)

Milwaukee, 7.12.98

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/614 *Kultury* znalazłem notatkę Andrzeja Stacha pt. „O Polakach w Niemczech”, gdzie ze zdumieniem przeczytałem zdanie: „Z problemem rozbicia organizacyjnego Polacy w Niemczech nie potrafili ... uporać się jeszcze przed wojną...” Jest to gruba nieścisłość, bo między rokiem 1922-1939 istniał sprawnie działający Związek Polaków w Niemczech, jednoczący wszystkie główne odłamy społeczeństwa polskiego z wyjątkiem komunistów. „Związek” pod kierownictwem dra Jana Kaczmarka prowadził szeroko zakrojoną pracę społeczną i oświatową, oraz wydawał szereg czasopism stojących na dobrym poziomie. Niezależnie od wydawnictw polskich, wspólnie z przywódcami innych mniejszości narodowych w Niemczech, dr Kaczmarek zdołał stworzyć kwartalnik pt. *Kulturweler*, który w okresie międzywojennym cieszył się dużym szacunkiem znawców spraw narodowościowych. W sprawach organizacyjnych rozległą działalność dra Kaczmarka wspierał odważny przywódca Polaków na Śląsku Polskim Arka Bożek oraz dr Stefan Murek. Prasą kierował zdolny dziennikarz i publicysta Edmund Osmańczyk. Gdy w marcu 1938 r. zorganizowano

w Berlinie Zjazd Polaków w Niemczech, była to naprawdę imponująca manifestacja jedności wychodźstwa polskiego z Polakami z Opolszczyzny, Warmii, Mazur i Pogranicza. Z tego kongresu zachował się raport agenta gestapo podziwiający niespodziewaną dla niego sprawność organizacyjną Związku.

Z poważaniem

M.K. DZIEWANOWSKI

b. korespondent PAT-a w Berlinie

10 grudnia 1998

Szanowny Panie Redaktorze

W artykule „Szósty kanclerz” (*Kultura* nr 11 z 1998 r.) wspominałem o tym, że niemieccy studenci nie wiedzą, czym było Powstanie Warszawskie i że prezydent RFN Roman Herzog zapowiedział w 1994 r.; iż przyjedzie do Polski 1 sierpnia na uroczystości z okazji 50. rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim. Chciałbym dorzucić do tych przykładów jeszcze jeden, nawet bardziej zdumiewający. Otóż prowadziłem niedawno kwerendę w archiwum Instytutu Historii Współczesnej w Monachium, który uchodzi za najbardziej renomowaną placówkę naukową, zajmującą się dziejami najnowszy Niemiec. W katalogu wycinków prasowych natrafiłem na hasło „Powstanie Warszawskie”. Zamówiłem odpowiednią teczkę. Okazało się, że 80% spośród zawartych w niej publikacji prasowych – z ostatnich 30 lat – dotyczy Powstania w Getcie, natomiast reszta – rzeczywiście Powstania Warszawskiego. Brak zatem w ogóle rozróżnienia pomiędzy obu wydarzeniami, przy czym ilościowy stosunek artykułów na temat obu powstań prowadzi do wniosku, że dla niemieckiej prasy Powstanie Warszawskie jako temat historyczny ma charakter zgoła marginalny. Dodam, że głównym punktem zainteresowań Instytutu Historii Współczesnej są dzieje Trzeciej Rzeszy.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tomasz MIANOWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mojej „Repliki” na „Odpowiedź” prof. Pipesa w kwietniowym numerze *Kultury* wkradły się w rękopisie pomyłki paczące sens niektórych słów. Przepraszając za nie Czytelników, proszę przyjąć do wiadomości, że – mówiąc o narodzinach rosyjskiej opinii publicznej, twierdziłem, iż wywołała je, nie zaś „go” – rosyjska inteligencja.

Dalej twierdzę, że „nurt główny nie tym się wyróżnia iż jest najszerszy (nie zaś „najstarszy”), lecz tym, że nie zbacza z drogi”. Pisałem, że prof. Pipes został powołany (nie zaś „powołaniu”) do pełnienia funkcji doradcy najwyższych władz Stanów Zjednoczonych. Drobniejsze pomyłki druku pomijam.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Jerzy POMIANOWSKI

27 III 99

Szanowny Panie Redaktorze,

W jednym z cytatów z książki R. Scharfa, przytoczonych w przejmującym artykule J. Marciniaka „Co Żydzi zrobili?” (*Kultura*, nr 3/618, s. 26), znajdujemy słowa: „obozy zagłady były w Polsce, bo Niemcy mogli byli liczyć na obojętność Polaków”.

Słowa te wyrażają pogląd często pojawiający się w literaturze przedmiotu i w popularnych opiniach na temat Holocaustu. Chciałbym więc skorzystać z okazji, aby podzielić się zasadniczą wątpliwością co do jego sensu.

Jak wiadomo (choć jest to z reguły fakt przemilczany), Oświęcim należał do Reichu, a nie do Generalnej Guberni. Był więc integralną częścią Niemiec, od swartego skupiska ludności polskiej, jakim była Generalna Gubernia oddzielony był bardzo szczerłą granicą. Nie było w nim polskich władz municypalnych, granatowej policji, ani, tym bardziej, polskiego państwa podziemnego. Ludność polska, przeważnie zamieniona w Volksdeutsch'ów, była tu całkowicie sterroryzowana, bała się nawet odezwać we własnym języku. Warunki były tu więc zupełnie inne niż np. w Warszawie lub Krakowie. W Generalnej Guberni ludność polska była czynnikiem, z którym mimo wszystko należało się liczyć. Nie sądzę jednak, aby można było powiedzieć to samo o terytoriach polskich włączonych do Reichu.

Gdyby władze hitlerowskie chciały umieszczać obozy zagłady wśród Polaków, licząc na ich obojętność wobec losu Żydów, to dlaczego umieściły główny z tych obozów w Reichu właśnie, a nie trochę dalej na wschód? Czy nie prostsze jest wyjaśnienie, że o lokalizacji obozu zadecydowała bliskość wobec największego skupiska ludności żydowskiej w połączeniu z faktem, że była to jednak integralna część Niemiec, a więc terytorium kontrolowane dokładniej niż sąsiednia Generalna Gubernia? W razie potrzeby można było oczywiście budować obozy także poza Reichem (*vide* Majdanek i Treblinka). Przykład największego obozu zagłady – Oświęcimia – dowodzi jednak, że względnie na domniemaną obojętność, lub przychylność, okolicznej ludności polskiej nie odgrywał w tych decyzjach żadnej roli.

Artykuł, o którym mowa dotyczy głównie Oświęcimia – właśnie Oświęcim bowiem, jak słusznie pisze Scharf, stał się symbolem Holocaustu. A skoro tak, to może warto przypomnieć, że Auschwitz

był w czasie wojny organiczną częścią Niemiec nie tylko formalnie, lecz również faktycznie.

Być może przeceniam znaczenie tego faktu. Ale jeśli tak, to jest to reakcją na zupełne ignorowanie tej okoliczności w wypowiedziach publicystycznych i w naukowej literaturze przedmiotu, zarówno na Zachodzie jak i w Polsce.

Z wyrazami szacunku

Andrzej WALICKI

Kraków, 7.04.1999 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Zawsze uważałem, że treści artykułów *Kultury* stanowią rzetelną informację niezależnie od poglądów własnych autorów.

Treści „Kartek ze skażonej strefy” (nr 12/615), wieloma stwierdzeniami mijają się z obiektywnym stanem warunków w Zakopanem. Przedstawiono je tendencyjnie, tylko z punktu widzenia przeciwników „Olimpiady w Zakopanem”.

Od chęci do Igrzysk droga bardzo daleka. Wszelkie inicjatywy i dokonania obecnych władz miasta Zakopanego tylko łączą się z wizją „Miasta Igrzysk”, a równocześnie mają drogą rozwoju stworzyć warunki by rodacy w kraju zostawiali złotówki, a nie w ośrodkach narciarskich Austrii, Francji, czy Włoch.

– Rozwój to wcale nie „gwałtowna urbanizacja” Zakopanego. Aktualny Plan Perspektywiczny m. Zakopanego (opracowany w 1998 r.) nie przewiduje zwiększenia ilości stałych mieszkańców ponad obecne 30 tys.

– Rozwój to między innymi ukończenie budowy wodociągu dla Kościeliska. Inwestycję tę rozpoczęto wiele lat temu i wciąż brak pieniędzy na jej ukończenie. To także dalsza likwidacja domowych kotłowni i przyłączanie budynków do sieci ciepłowniczej, rozbudowa sieci gazowej, podłączanie budynków do kanalizacji sanitarnej itd.

– Należy stwierdzić, że miasto Zakopane i okolica (Kościelisko, Poronin) posiadają kanalizację, która ścieki odprowadza na oczyszczalnie mechaniczno-biologiczne.

– Nieprawdą jest, że na dośnieżanie – zapewne stoków Gubałówki – czerpie się brudną wodę „gnojowicę”, tak że śnieg jest brązowy i pełen zarazków. Wodę ujmuje się z potoku Zakopiarki, który przepływa przez skanalizowane tereny Kościeliska i Zakopanego (skąd ta gnojowica?), a z którego w dolnym biegu czerpie się wodę dla zaopatrzenia miasta Nowego Targu (dla celów pitnych, a nie śnieżenia).

– Urządzenia do wytwarzania sztucznego śniegu są produkcją firm, które można spotkać w każdym ośrodku narciarskim Alp. Woda dezynfekowana jest za pomocą promieni UV, których to urządzeń używa się też w przemyśle spożywczym i farmaceutycznym.

– W artykule nie zauważono, że do Zakopanego doprowadzono już kilka lat temu gaz ziemny i ciepłe wody termalne, że przy ulicy Nowotarskiej uruchomiono lokalną dużą kotłownię, która wykonytuje w/w media i zastępuje szereg kotłowni węglowych. Zlikwidowano też głównego wytwórcę „dymu i zapachu” – lokalną rzeźnię.

– Wystarczy spojrzeć z Gubałówki, by stwierdzić, że zginęła dotychczasowa czapa smogu nad miastem.

– Przebudowano nawierzchnię Krupówek, gdzie zginęły „krostopate” chodniki.

Tak więc nieprawdą jest, że niekażda zakopiańska szczerlnie „trzyma” dym z kominów, bo jest ich coraz mniej.

Ze szkodą dla obiektywności przedstawionego obrazu Zakopanego i jego problemów stało się napisanie go tylko na podstawie wynurzeń Dyrektora Byrcyna i to jeszcze przy ognisku.

Skoro obrażono się na Burmistrza, to jeszcze coś do powiedzenia mogliby mieć np. w Geotermii Podhalańskiej, SeWiku (Spółka Wodociągowo-Kanalizacyjna), Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej (zadymienie, ilość słonecznych dni), Autorka Planu Przestrzennego, Pani Bigosowa z Głodówki, czy inni.

W Zakopanem bywam nie od święta i urlopu. W ostatnich 40 latach zaprojektowałem w mieście i rejonie szereg zrealizowanych obiektów gospodarki wodno-ściekowej i z tego też powodu moja znajomość problemów, a także zaskoczenie stroniczością artykułu.

Z wyrazami szacunku

inż. Marian HRABIEC

Warszawa, 15 kwietnia 1999 r.

CIĄĆ LAS?

Skoro w Zakopanem jest tak dobrze, jak pisze mój polemista, to dlaczego jest tak źle?

Dlaczego wysiadłszy z autokaru w okolicy Doliny Białego po długiej podróży, wciągnęliśmy w płuca nie krystaliczne powietrze gór, lecz tlenek ołowiu?

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego nie opowiedział nam o tym gospodarz terenu, burmistrz miasta? Zapowiedziany, nie przyszedł na spotkanie z dziennikarzami. Kto się więc obraził na kogo?

Natomiast dyrektor TPN towarzyszył nam w ciągu długiej roboczej sesji odbytej nie przy stole, ale w objazdach, żebyśmy zobaczyły, co zobaczyć powinny. Wspomniane ognisko było zwieńczeniem pracowitego dnia.

Szkoda zresztą słów na wytyki.

Koń, jaki jest, każdy widzi. W malutkich polskich Tatrach już od dawna narciarzy jest więcej niż miejsc. Wszędzie. W kolejce do kolejki (jedynej) i na stokach.

I to się już nie zmieni. Chyba że masowa wycinka lasu. Chcemy tego?

Z wyrazami poważania

Ewa BERBERYUSZ

WYJAŚNIENIE

W *Kulturze* z września ub. roku, zmieściliśmy komentarz krytykujący zmiany w rzeszowskim periodyku *Fraza*. Komentarz rozstrzygał kto ma i jakie prawa do pisma, ale potraktowaliśmy sprawę *Frazy* jako przykład niejasności i nieczytelności zasad ruchu czasopiśmienniczego (w tym zasad dotowania poszczególnych tytułów).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Mira K., Polska: – Proponowane przez Panią haiku nie przekonują, ale jak sama Pani wie, jest to jedna z najtrudniejszych i najbardziej wymagających form poetyckiej wypowiedzi.

Piotr M., Polska: – Pańskie rymy na pewno są ideowo słuszne i są redakcje, które skłonne są podobne wiersze publikować w rubryce listów od czytelników. Nam wszakże zależy też na tym, by utwory przez nas publikowane spełniały kryteria artystyczne.

SPROSTOWANIE

W marcowym numerze *Kultury* chochlik komputerowy zniekształcił w notce o szwedzkich inwestycjach na Litwie nazwisko autorki, Anny Delick. Panią Delick niniejszym za to przepraszamy.

Redakcja

WOLNA TRYBUNA

Jerzy Witold Solecki:	<i>Jeszcze o katastrofie komputerowej</i>	139
K.B.:	<i>Narastająca panika</i>	140
Andrzej Albrecht:	<i>Cel uświęca środki</i>	142
Jerzy Cwiękała:	<i>Liberalizm nie sprawdza się</i>	144
Karol Baumgarten:	<i>Test dla Polski</i>	148
—	•	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
—	•	
A. Boniecki, A. Biernacki,		
M.K. Dziewanowski, T.		
Mianowicz, J. Pomianow-		
ski, A. Walicki, M. Hra-		
biec, E. Berberysz:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
Redakcja:	<i>Wyjaśnienie</i>	159
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159
—	<i>Sprostowanie</i>	159

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyć.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1999.

Akredytowany korespondent Kultury w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYĆ

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.

Prenumerata

1/2-roczna

roczna

Ceny na rok 1999

AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 506 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY SIÓDMY

zawiera opracowania: K. Jonca: *Postawa Niemiec w czasie wojny polsko-sowieckiej 1920 r.*; G. Mazur: *Między Stambułem a Lwowem. Z dziejów Bazy Łączności „Bey” w Stambule 1940-1941*; M. Christian: *Urząd Bezpieczeństwa w Nowej Hucie w latach 1951-52*; A. Grzywacz, M. Kwiecień: *Sikorszczycy kontra Sanatorzy 1939-1940. (Z dziejów konfliktów politycznych uchodźstwa polskiego)*; M. Jastrun: *Pamiętnik. Lwów (grudzień 1939 – grudzień 1941)*; M. Stępień: *Z notatnika*; I. Modelski: *List do gen. Sikorskiego*; A. Bocheński, A. Werner: *Jan Bloch (1836-1902)*; T. Wyrwa: *Wspólna droga Kajetana Morawskiego z Rogerem Raczyńskim. Wspomnienia*; P. Waingertner: *Zaolzie i Ruś Zakarpacka*; P. Daszkiewicz: *Francuska książka o Białowieży*; E. Kupper: *Wspomnienia gdańskiego Bówki*; Nadesłane nowości wydawnicze i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F